

ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 6/429**

**1983**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. J. LIPSKI : **POLSCY ŻYDZI**

K. BRANDYS : **MIESIĄCE**

C. MIŁOSZ : **DWA POŻEGNANIA**

J. NOWAK : **WYWIAD Z RYSZARDEM PIPESEM**

L. UNGER :

**MÓJ ANTY-RAPORT O STANIE WOJENNYM**

## SPIS RZECZY

Jan Józef Lipski:	<i>Polscy Żydzi</i> .....	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	9
Kazimierz Brandys:	<i>Miesiące</i> .....	19
Sławomir Mrożek:	<i>Odwiedziny</i> .....	41
Czesław Miłosz:	<i>Dwa pożegnania</i> .....	43

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Mój anty-raport o stanie wojennym</i> ..	52
Jan Nowak:	<i>Polska i ZSSR z perspektywy Białego Domu</i> .....	65
Kamila Chylińska:	<i>Co dalej, po klęsce i zwycięstwie?</i> ..	74
Józef Garliński:	<i>List z Londynu</i> .....	83

### K R A J

Stanisław Jańczak:	<i>Pokusa emigracyjna</i> .....	90
R.M.:	<i>Po zawieszeniu stanu wojennego</i> ....	96

### SPRAWY I TROSKI

Edward Mozejko:	<i>Perspektywy polonistyki północnoamerykańskiej</i> .....	105
—	<i>Solidarność w Wielkiej Brytanii</i> ....	115

### SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	117
Borys Bej:	<i>Ukraińcy w Polsce</i> .....	123
Jiří Lederer:	<i>Karta 77 i chrześcijaństwo</i> .....	126
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	130
Alexander Tomsky:	<i>Kronika czeska i słowacka</i> .....	133

### KRONIKA KULTURALNA

#### Nagrody:

—	<i>Nagrody kulturalne „Solidarności”</i>	135
—	<i>Francuska Nagroda „Wolności”</i> ..	136
—	<i>Nagroda im. Ireny Grabowskiej-Kruszewskiej</i> .....	136
—	<i>Nagroda konkursu kompozytorskiego im. Ks. de Monaco</i> .....	136
—	<i>Członkostwo honorowe Z.K.P.</i> .....	137
—	<i>Premiera „Indyka” w Kiel</i> .....	137
—	<i>Rozporządzenie Min. Nauki, Szk. Wyz. i Techniki</i> .....	138
—	<i>Lektury szkolne</i> .....	139

#### KSIĄŻKI

Mikołaj Sawulak:	<i>Książka o kardynale Wyszyńskim</i> ..	141
Janina Katz-Hewatson:	<i>Vatylav</i> .....	147
Andrzej Busza:	<i>Gruntowna biografia Conrada</i> .....	151
K. A. Jeleński:	<i>Następstwo pokoleń</i> .....	156
M. Broński:	<i>Platonow</i> .....	159
—	<i>Nadane nowości wydawnicze</i> .....	162



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	165
Andrzej Sacharow:	<i>Spotkanie ze Zb. Romaszewskim</i> .....	167



Zb. Byrski, J. Milewski, E. de Virion, K. Zamorski, M. Ziomecki, K. Symonolewicz-Symmons:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	169
---	--------------------------------	-----



—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	174
Andrzej J. Chilecki:	<i>Sprostowanie</i> .....	175

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1983

INSTYTUT



LITERACKI

## WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Eugeniusz Fedorowicz, Etobicoke, Ont. (Kanada) .....	F. 20,00
Kamila i Jan Halpernowie, Kolonia (RFN) — dla uczczenia pamięci Stefana Strelcyña, w drugą rocznicę Jego śmierci	F. 400,00
A. Komornicka, Londyn — w ósmą rocznicę śmierci Meża, Stefana Komornickiego .....	F. 100,00
Walter Łuszczak, Thunder Bay (Kanada), po raz 10-ty ....	F. 212,49
Inż. Z. S. Mikulski, St Gallen (Szwajcaria) .....	F. 320,00
Danuta Mostwin, Baltimore, MD (USA) — zamiast kwiatów na grób Marty Erdman — \$ US 46,50 .....	F. 344,00
Anonimowo z Kanady — na fundusz wydawniczy <i>Kultury</i> ..	F. 348,33

DZIĘKUJEMY!

## WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

A.K. Veterans Circle, Inc., Cleveland, OH (USA), nadesłał skarbnik — Bronisław Nowak — \$ 300,00 .....	F.2.220,00
Bezimiennie z RFN .....	F. 595,94
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz Samoobrony Społecznej, po raz 16-ty — \$ 50,00 .....	F. 370,00
Lena i Witold Rożek, Pacifica, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób Sławomira Niesterowicza — na pomoc prześlado- wanym rodzinom w Polsce — \$ 25,00 .....	F. 185,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — na pomoc dla więźniów po- litycznych w Polsce — Frs 30,00 .....	F. 108,00
Janusz Sikorski, Lugo, RA (Włochy) — na pomoc dla po- trzebujących pomocy w Polsce i ich rodzin, sumę zebraną wśród Polaków po mszy św. w Forli .....	F. 263,55

## WPLATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ 100,00 .....	F. 740,00
E.M., Francja .....	F. 200,00
Stowarzyszenie Pomocy „Solidarności” w Wiedniu — na Fun- dusz Samoobrony Społecznej .....	F. 654,10



Irena i Andrzej Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — dla uczczenia pamięci Vsevoloda-Stanisława Bachkovsky'ego, zmarłego w Santa Barbara w kwietniu 1983: — na Fundusz <i>Kultury</i> — \$ 25,00 .....	F. 185,00
— na Fundusz „Żeby Polska była Polską” — \$ 25,00 ..	F. 185,00



Czesława i Jan Seremakowie, Santa Monica, CA (USA): — na Fundusz <i>Kultury</i> — \$ 50,00 .....	F. 370,00
— na Fundusz „Żeby Polska...” — na pomoc aresztowa- nym, pozbawionym pracy i ich rodzinom — \$ 100,00	F. 740,00

## Polsey Żydzi

Przed 40 laty stanęli do swej ostatniej dla większości z nich walki bojownicy z warszawskiego getta. Walkę tę podjęli nie w obronie życia, bo uratować je mogli ucieczką — lecz w obro- nie ludzkiej godności. Był to więc czyn przede wszystkim sym- boliczny, o znikomej wadze praktycznej, natomiast o ogromnym znaczeniu moralnym zarówno dla Żydów, jak i dla całej ludz- kości, w tym przede wszystkim dla narodu polskiego.

Refleksja nad sensem powstania w getcie warszawskim jest naszym obowiązkiem, jeśli wartości, w imię których stanęli do walki powstańcy getta uważamy za wartości również nas obo- wiązujące. Jest to więc obowiązek nie tylko wobec pamięci poległych, ale też wobec nas samych. A ponadto wielu z nas było świadkami tragedii Żydów w Polsce, co też zobowiązuje — choćby tylko do świadczenia. Gdyby naród polski i Warsza- wa zapomniały o nich, o ich ofierze — nie byłibyśmy godni wyznawania tych wartości, w obronie których ginęli powstańcy getta.

Krótko, jasno, dobitnie sformułował te wartości ostatni z żyjących przywódców Powstania w getcie warszawskim, Marek Edelman, który po złamaniu oporu getta przez hitlerowców — opuścił wraz z nieliczną grupą bojowców martwe już getto ka- nałami, by raz jeszcze wziąć broń do ręki w Powstaniu Warsza- wskim 1944 roku. W jego liście otwartym wyjaśniającym, czemu

Tekst wygłoszony podczas mszy św. w intencji poległych i zamordowa- nych mieszkańców Getta w Warszawie w kościele dolnym św. Stanisława na Żoliborzu dn. 16 kwietnia 1983 roku.

odmówił swego udziału w oficjalnych obchodach rocznicy powstania w getcie — czytamy:

*„Czterdzieści lat temu walczyliśmy nie tylko o życie — walczyliśmy o życie w godności i wolności”.*



Podstawowe wartości ludzkie, a o nich to mowa, mają to do siebie, że albo się je przyjmuje, albo odrzuca; albo służy się im — albo się je zwalcza. Bywa też, że się je ignoruje. Natomiast nadmiar słów i komentarzy, wygłaszanych w najlepszych intencjach, raczej im szkodzi niż pomaga. Ograniczę się więc do minimum, niezbędnego do naszej dalszej wspólnej refleksji.

Bojownicy getta chwytając za broń nie mogli w ten sposób uratować życia ani innym, ani sobie. Szanse utworzenia sobie i innym zbrojnie drogi do wolności były tak znikome, że praktycznie aż żadne. Pozostał więc jedyny sens walki: powiedzieć „nie” i pozostać w ten sposób aż do końca wolnym od konieczności wypełniania rozkazów morderców. Tę wolność mogła dać tylko broń w ręku. Toteż Gandhi, bezwzględnie konsekwentny przeciwnik użycia siły i broni — pytany o swój stosunek do walki warszawskiego getta tym razem zrobił wyłom w swej konsekwencji; właśnie dlatego, że walka ta nie miała na celu i nie mogła mieć tryumfu i zwycięstwa, i że jej sens wyczerpywał się w jej symbolicznym sensie moralnym.

Tu jednak konieczne jest ostrzeżenie. Jeśli pełni podziwu dla bohaterów getta, broniących orężnie godności ludzkiej, przyjmujemy pogląd, iż godności zabrakło tym, których hitlerowcy mordowali bez oporu z ich strony — popełnimy niebezpieczny moralny błąd i bynajmniej nie opowiemy się po stronie tych wartości, o które walczyli powstańcy getta. Śmierć bezbronnej ofiary ma również swój pełny wymiar ludzkiej godności — lub przynajmniej może mieć ten wymiar. Bohaterstwo powstańców warszawskiego getta, którym chwała po wszystkiej czasie, nie powinno nam przesłaniać ofiary milionów zabijanych bez oporu.

Dla nas, którzy patrzyliśmy na śmierć i jednych i drugich — pozostaje obok obowiązku pamięci i czci konieczność odpowiedzi na szereg gorzkich pytań i wspomnień, rodzaj rachunku własnego sumienia narodowego.

Przede wszystkim my wszyscy, którzy przeżyliśmy drugą wojnę światową w Warszawie — pamiętać będziemy, że w tych ostatecznych momentach walki i zagłady nie stanęliśmy czynnie w obronie mordowanych. Pozostaje to do dziś ciężkim doznaniem.

Dowództwo Armii Krajowej i Delegatura Rządu Rzeczypospolitej na Kraj nie miały moralnego prawa, a tym bardziej racjonalnych uzasadnień, by w obronie współmieszkańców stolicy i całego kraju spowodować rozszerzenie zagłady na całą ludność Polski. Zarazem jednak pozostał wstyd i wyrzut sumienia, jak zawsze, gdy w obawie o własną skórę godzimy się bez czynnego sprzeciwu na zbrodnię dokonywaną przy nas. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę, że walka i śmierć żołnierzy AK niosących pomoc gettu, przeraźliwie i ostatecznie realna dla poległych — miała przecież wymiar i znaczenie jedynie symboliczne. A ten wstyd i wyrzut sumienia dręczy wielu z nas. Łatwo wówczas pogodził się z myślą, że nie musimy zginąć pod murami walczącego getta.

Sumienie narodu polskiego byłoby chore i obumierające, gdybyśmy nie zadali sobie innego pytania: czy jeśli nie w walce z bronią w ręku, to w dziele pomocy i ratunku zrobiliśmy tyle, ile było można?

Oddając hołd powstańcom getta oraz pomordowanym jego bezbronnym mieszkańcom — mamy prawo i obowiązek oddać dziś hołd i tym Polakom, którzy stracili życie ratując Żydów. Dużo było w polskim narodzie poległych heroicznie na tym najbardziej ryzykownym, najbardziej godnym czci dla jego bohaterów odcinku polskiej wojny. Trzeba było wówczas bohaterstwa ogromnego, by w Polsce walkę na tym właśnie odcinku podjąć. Czy można od każdego z milionów zwykłych ludzi żądać bohaterstwa? Są jednak czasy i sprawy, które domagają się bohaterstwa. My, którzy pamiętamy, spytajmy się, czy nie zbyt wiele było jednak obojętności, co prawda zmieszanej ze strachem, lecz przecież obojętności? Czy wszyscy zrobiliśmy tyle ile można było, czy też mniej, lub nic — w czasie, gdy i ginący ludzie i nasze własne normy moralne wołały o więcej, niż można.

Krzywdzi się jednak nieraz Polaków, wyciągając w świecie zbyt daleko idące uogólnienia ze zjawisk współpracy niektórych Polaków w tropieniu Żydów — lub w ich szantażowaniu. Przystępny i amoralny margines istnieje niestety we wszystkich społeczeństwach, a jego ofiarą padali wówczas w Polsce nie tylko Żydzi, lecz i generał Grot-Rowecki i tysiące innych żołnierzy konspiracji. Nieodpowiedzialne uogólnienia w tym przedmiocie mamy prawo odrzucić, tak jak winniśmy odrzucić uogólnienia krzywdzące inne narody. Antypolonizm nie jest moralnie niczym lepszym, niż antysemityzm lub antyukrainizm.

Rocznica powstania w getcie jest nie tylko rocznicą powstania, i nie tylko rocznicą ostatecznej zagłady getta i nawet nie tylko umowną rocznicą zagłady milionów ludzi. Jest rocznicą

faktycznej zagłady społeczności, którą polsko-żydowski pisarz Adolf Rudnicki nazwał kiedyś „narodem Żydów polskich”, oplakując jego koniec. Niedobitki, które ocalały nie są już tą zbiorowością ani nie są w stanie jej zregenerować.

Śmierć jest, czy też bywa straszna. Śmierć tysięcy i milionów przeraża. Ale zagłada narodów budzi przerażenie szczególne. Żydzi polscy zapewne nie stanowili zbiorowości aż tak odrębnej od Żydów reszty świata, by ich przeciwstawić przez ostre wyodrębnienie pozostałym — ale w każdym razie stanowili szczególną część narodu żydowskiego, część, której nie można było uśmiercić, nie zabijając zarazem czegoś i w nas, narodzie polskim.

Współżyliśmy na tych ziemiach od dawna, co najmniej od ponad 700 lat. Spotykając polskiego Żyda prawie nigdy wiedzieć nie możemy, czy jego ród nie jest dłużej autochtoniczny niż nasz. Pierwsza Rzeczypospolita była krajem dużej tolerancji i humanitarnym, szczególnie w epoce swego rozkwitu. Dzieje nasze nie notują w tym czasie tego, czego pełna jest historia Europy: krwawych prześladowań Żydów, wygnań, ograniczania rozwoju ich kultury.

Gdy Polska utraciła niepodległość — symbolem wspólnych dążeń stali się: pułkownik Berek Joselewicz, jeden z naszych bohaterów narodowych — i jego rówieśnik, mickiewiczowski Jan-kiel z „Pana Tadeusza”. Setki nazwisk Żydów polskich wpisały się do dziejów walk powstańczych o wolną Polskę — i setki i tysiące pracowały dla niej, wzbogacając naszą narodową kulturę i życie społeczne.

Przypomnę tu postać symboliczną dla współżycia narodów, Michała Landego. Podczas wielkiej manifestacji patriotycznej 8 kwietnia 1861 roku, gdy niesiony na czele pochodu krzyż padł wraz z tym, który go niósł — podniósł go młody uczeń szkoły rabinackiej Michał Landy, by paść od następnej salwy. Grób jego znajduje się na cmentarzu żydowskim przy ul. Okopowej, gdzie chcielibyśmy móc złożyć w tych dniach kwiaty ku czci poległych i zamordowanych w getcie warszawskim.

Dla tego chłopca krzyż — mimo całego dystansu różnic w wierze, tradycjach, a nawet przesądach — był symbolem miłości wspólnej ojczyzny i wspólnych wartości, toteż nie brzydził się go ani się nie lękał, wziął z szacunkiem do rąk znak obcej mu wiary.

Nie zawsze jednak tylko w takich aktach wyrażało się współżycie narodu polskiego i żydowskiego. Jad antysemityzmu zaczęła już od połowy XIX wieku zatruwać nasz etos narodowy. W niepodległej Rzeczypospolitej dochodziło niestety do wydarzeń gorszących, których nie możemy wspominać bez wstydu: bojówki antysemitki, pogromy, nienawiść tak wielka, że aż ka-

zała głoszącym swą katolickość bojówkarzom pobić w kościele katolickiego kapłana, gdyż pochodził z Żydów i za Żyda się uważał, propaganda antysemitki. Kto wie, ilu więcej Żydów przeżyłoby uratowanych na ziemiach polskich, gdyby nie ta truczna.

Po wojnie — pogrom w Kielcach. Zapewne mają rację ci, którzy przypisują go prowokacji — ale prowokacja udać się nie może, gdy nie ma dla niej gruntu. Jeszcze w 1968 roku przeciw ruchowi studentów i intelektualistów użyto propagandy antysemitki. Ci, którzy to wywołali, nie odnieśli na szczęście wielkich sukcesów, raczej znikome, niestety — nie żadne.

To już jest stała praktyka: przeciw polskim dążeniom niepodległościowym i wolnościowym usiłuje się wywołać falę antysemityzmu. Tak jest do dziś. Wczoraj i dziś antysemityzmu próbowało się użyć jako kłody na drodze opozycji, KOR-u, Solidarności, przeciw wszystkiemu, co chce być w Polsce wolne i niezależne.

Znalazł on pożywkę i możność regeneracji w latach stalinowskich, gdy wielu Żydów czy też osób żydowskiego pochodzenia znalazło się w aparacie władzy, ucisku i przemocy. Podobnie jak w Czece i GPU znalazły się setki Polaków na wysokich nieraz stanowiskach, z Feliksem Dzierżyńskim na czele. Nie obciążamy narodu polskiego ich zbrodniami — i pamiętajmy, że Żydzi w aparacie bezpieczeństwa to akurat tacy sami Żydzi — jak ich polscy koledzy z tego samego aparatu to Polacy. I jedni i drudzy to służy obcego najazdu i idei nienawiści, gotowi popełnić zbrodnię na każdym: na Polaku, Żydzie, własnej matce.

Tragizm tej rocznicy, którą obchodzimy — to tragizm śmierci i zagłady, a również tragizm straconej szansy. Tyle setek lat współżycia — i tak jednak mało było przez te wieki wzajemnego rozumienia się, poznania i miłości — mimo pięknych przykładów. Aż dziwne, jak stosunkowo mało przeniknęliśmy się, jak mało nam, Polakom, znana jest wielka, bogata kultura Żydów polskich. Kultury umierają jednak inaczej niż ludzie. Do dziś dnia mamy na przykład szanse duchowej hellenizacji — i Europa korzystała dotąd i oby dalej chciała korzystać z tej szansy. Mamy więc nadal szansę na to, co nazwałbym częściową judaizacją naszej kultury, przez co mam na myśli także jej wzbogacenie, by bez utraty własnej tożsamości przyswoić sobie, poznać, zrozumieć to, co było wielkie w kulturze Żydów polskich. Zmniejszy to tragizm zbyt mało mimo wszystko płodnego współżycia naszych narodów przez wieki.

Cześć i hołd, które składamy poległym i pomordowanym będą czczym gestem, jeśli nie połączymy go z pamięcią o tym, czym żyli i co kochali, jeśli nie będzie połączony z serdecznym

aktem miłości i wobec tych, co przeżyli, i tych, co odeszli, i tego wszystkiego, co ukochali, co było głęboką treścią ich dusz i co może jakoś stać się i naszym, polskiego narodu bogactwem. Z miłością i czcią brany nie od kogo innego przecież, jak od braci, z którymi przeżyliśmy na tej ziemi stulecia.

Jeśli wolno mi tu jako metafory użyć wyrażenia, które biorę wprost z dogmatyki Kościoła katolickiego, z jego *credo*, a co wierzący przyjąć by mogli nie tylko w metaforycznym sensie: oby to zbliżenie narodu zamordowanego i narodu wciąż jeszcze żywego oraz ich kultur dokonało się w duchu wiary w świętych obcowanie.

Jan Józef LIPSKI

## LE KOR

Du Comité de défense des ouvriers  
au Comité d'autodéfense sociale.

Une Opposition démocratique en Pologne

Książka, wydana staraniem pisma *Alternative* i Komitetu Koordynacyjnego Solidarności we Francji, zawiera najważniejsze oświadczenia KOR-u, wypowiedzi jego członków, z których część oczekuje dziś procesu w warszawskim więzieniu, reportaże o codziennej działalności KOR-u i liczne fotografie. Cena F. 55,00. Do nabycia w księgarniach bądź u wydawców:

L'ALTERNATIVE

1, place Paul-Painlevé, 75005 Paris  
lub

Komitet Koordynacyjny Solidarności we Francji,  
10, Passage des Deux Sœurs, 75009 Paris

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 20 kwietnia 1983

Zegar Dziejowy. W pięćdziesiątą rocznicę Rewolucji Październikowej sprzedawano w Moskwie reprodukcje plakatów z lat 1917-1920. Jeden, z roku 1920, przywiózł mi wtedy w prezencie znajomy włoski turysta. Powiesiłem go sobie na ścianie obok drzwi, i odtąd przyglądam mu się niekiedy, łącząc po pokoju podczas mojego „perypatetycznego” pisania. Nazywa się *Poslednij czas*, jest dość pomysłowy graficznie. Przedstawia tarczę zegarową, w której cyfry zastąpione są przekreślonymi kolejno krzyżami głowami Mikołaja II, Kierenskiego, Korniłowa, Kołczaka, Judenicza, Denikina. Obie wskazówki, zwieńczone czerwonymi gwiazdami, tworzą u nasady sierp i młot. Mała znajduje się już na dwunastej, duża zbliża się do jedenastej z dwiema nieprzekreślonymi jeszcze głowami Pana (czyli Polaka) i Wrangla. W dole tarczy zegarowa opiera się na plecach pierzchającego panicznie tłumowi wyfraczonych kapitalistów w wysokich, czarnych cylindrach.

Mój domowy Zegar Dziejowy ilustrują dobrze dwie mowy Trockiego z maja 1920, wygłoszone w Moskwie i Homlu, *Wojna z Polską* oraz *Sowiecka Rosja i burżuazyjna Polska* (wydano je natychmiast w broszurkach, na początku lat trzydziestych podarowała je wraz z innymi materiałami Królewskiej Bibliotece w Sztokholmie ówczesna ambasadorsza sowiecka Aleksandra Kołontaj, fotokopie podarował mi teraz w Sztokholmie polski pracownik Biblioteki, rozpakowawszy nietkniętą przez pół wieku paczkę). „Ostatnia godzina dziejowa” wybiła, polski Pan jest chwilowo górą, ale chwycimy go wkrótce za gardło, obciśniemy

obie głowy czarnemu orłowi carskiemu, obetniemy także głowę białemu orłowi polskiemu, przystał do nas nawet patriotyczny generał carski Brusilow (oklaski), przepędzimy „polskiego Kierńskiego” Piłsudskiego, staniemy na trupie białogwardyjskiej Polski by podać rękę niemieckiemu proletariatu, maszerujemy pod sztandarami Historii, niech żyje światowa rewolucja, niech żyje robotniczo-chłopska Polska, niech żyje robotniczo-chłopska Rosja!

Po Zegarze Dziejowym — Wojenne Trofeum. Włoskie wydanie książeczki Adama Zagajewskiego *Polonia: uno stato all'ombra dell'Unione Sovietica* poprzedził przedmową świetny dziennikarz jugosłowiańsko-włoski Frane Barbieri. Opowiada w niej usłyszany w roku 1976 od profesora Edwarda Lipińskiego epizod, z którym stykam się po raz pierwszy. Bierut miał jakoby w pewnej chwili, powołując się na wkład polski do wojny przeciw Hitlerowi, poprosić Stalina o trochę więcej luzu dla Polski, o zgodę na znaczącą polską „specyfikę narodową w ramach nie naruszalnego nigdy socjalizmu”. Stalin odpowiedział: „Kto jest głównym zwycięzcą w tej wojnie? Bez wątpienia, Związek Sowiecki. Jakie jest główne trofeum wojenne, zdobyte przez ZSSR? Polska. Jak można się domagać byśmy się wyrzekli tak drogiego trofeum?”. *Se non è vero, è ben trovato*. Cały program Polaków dziś — w cieniu Zegara Dziejowego, który w ostatniej wojnie wybił zahamowaną w poprzedniej ostatnią godzinę i został szybko nakręcony, jest wciąż nakręcany, na wiele następnych godzin pochodu imperialnego — sprowadza się do zasady wszystkich podbitych we wszystkich imperiach: trofeum musi z każdym dniem bardziej parzyć rękę zdobywcy. Jak w słynnej radzie Rousseau dla Polaków: bądźcie niestrawni, nie przestańcie ani na chwilę być niestrawni, w tym wasz jedyny ratunek.

22 kwietnia

W wycinkach z Paryża stronica *Figaro* z okazji francuskiego wydania *Homo Sovieticus*. Nieciekawa wypowiedź wstępna samego Zinowiewa stanowi jakby odprysk drukowanych w nowym numerze *Kontynentu* fragmentów jego przyszłej książki, która będzie „obroną epoki stalinizmu dokonaną piórem antystalinisty”. Ciekawe natomiast są uwagi Thierry Maulniera o *Homo Sovieticusie*. Zwłaszcza ta: „Związek Sowiecki odmalowany przez Zinowiewa jest królestwem absurdu, lenistwa, nudy, nędzy. Lecz zdaje się że na przekór wadom systemu opisanym bezlitośnie przez Zinowiewa, ZSSR wygrywa zawsze w obliczu słabości i

tchórzostwa swoich zachodnich przeciwników. Podejrzliwość i ironia Zinowiewa tak sprawnie odbierają nam wiarę w szanse jakiegokolwiek oporu, że można by je zastosować do samego autora, a raczej do Zinowiewa który od KGB otrzymał zadanie przekonania nas, za pomocą zawrotnej gry luster, że opozycja dysydentów jest sama na usługach piętnowanego przez siebie systemu”. Coś bardzo podobnego napisałem niegdyś w moim dzienniku, zestawiając *Homo Sovieticus* z *Sobowótorem* Dostojewskiego. I przypuszczalnie coś bardzo podobnego nawiedza czasem jak nocny koszmar samego Zinowiewa, niepewnego już (wzorem pana Goladkina) czy jest wrogiem i ofiarą KGB, czy też piewą i mimowolnym współpracownikiem „organów”.

Demonizowanie wszechmocnych i wszechobecnych „organów” nie jest zjawiskiem świeżym, ale przybrało ostatnio zatrważające rozmiary, wywołując zapewne w gmachu na Łubiance uczucie głębokiej (choć niezasałużonej doprawdy) satysfakcji. Bo rzecz w tym że mniej tam demonicznych geniuszów, niż sądzą rozmilowani w rafinacjach intelektualno-ideologiczno-policyjnych znawcy „imperializmu totalitarnego”, a więcej topornych chamów w służbie policyjnego państwa, specjalistów od „mokrej roboty”. Kiedy obserwuję gwałtowne rozmnożenie się wizji rozmaitych misternych „siec”, z których ich twórcy nie mogą się wyplątać jak Zinowiew z własnej „zawrotnej gry luster”, przychodzi mi na myśl nieboszczyk Ryszard Wraga. Był inteligentnym, wnikliwym, dobrze zorientowanym wywiadowcą polskim na odcinku sowieckim; i płodnym publicystą. Z czasem jednak dał się zawładnąć całkowicie obrazowi demonicznej Łubianki. Wszystko w jego oczach było „zaplanowane” i „rozpracowane” w Moskwie, we wszystkim węszył „prowokację”, „sidła” i „pułapki”, wszędzie widział „wtyczki”. Bunt Tity, na przykład, długo uważał za „sowiecką żeligowszczyznę”. Podczas naszego ostatniego spotkania w Neapolu męczył mnie kilka godzin wywodami, że Terca i Arzaka podrzuciła Kulturze demoniczna Łubianka w ramach jakiejś niezmiernie skomplikowanej i subtelnej operacji policyjnej; tak skomplikowanej i subtelnej, że dzisiaj mogłaby się stać tematem powieści Siniawskiego, gdyby autor *Opowieści fantastycznych* pozazdrościł laurów Zinowiewowi. Na pożegnaniu, w progu, oznajmił mi tajemniczym szeptem, że za radą amerykańskiego agenta literackiego nosi się z zamiarem napisania pamiętników. Miał już dla nich tytuł, entuzjastycznie zaaprobowany przez agenta literackiego: *All My Life I Spied Russia*. Gdy zostałem wreszcie sam, zacząłem dla odprężenia obmyślać nowelę o nim. Pamiętam że miała się kończyć sceną, w której autor gotowego już rękopisu *All My Life I Spied Russia* odczytuje uważnie swoje dzieło, dochodzi do wniosku że zostało rów-

niez „zaplanowane” przewrotnie w odnośnym departamencie demonicznej Łubianki, pali je wolno i dokładnie stronica po stronicie, po czym wznosi przed lustrem kielich na cześć swego cudownego wymknięcia się *in extremis* z „pułapki” zastawionej przez rzekomego agenta literackiego, w rzeczywistości emigranta rosyjskiego na sowieckim garnuszku. Zakończenie alternatywne przewidywało ocalenie dzieła, ale za to tragiczną śmierć jego autora w napadzie skrajnej rozpacz, na pograniczu zaćmienia i zamącenia władz umysłowych.

24 kwietnia

Wiosenna niedziela definitywnego „wyparowania” w naszym parku miejskim, zamienionym w rocznicę wyzwolenia Włoch na kolorowy i hałaśliwy Luna Park. Wróciłem ze Skandynawii przed tygodniem „na ostatnich nogach”, z gardłem zatkanym i obolałym od ciągłego gadania, dyskusowania, głośnego czytania, z głową spuchniętą od rozkręconych migawek Sztokholmu, Lundu, Kopenhagi. Elias Canetti twierdzi w *Głosach Marakeszu*, że dobrzy podróżnicy są „istotami bez serca”, połykają zachłannie wszystko co podróż podsuwa im przed oczy, podniecają się wszystkim co dla nich nowe, miotają się z wyczulonym słuchem i uchłonięną uwagą, są we władzy nienasycenia obojętnego na „podtekst” odwiedzanego podróżowania za młodu, na pewno taki, sam mógłbym o tym zaświadczyć sięgając do wspomnień własnych wояżów w przeszłości. Owocem takiego podróżowania są w dużym stopniu *Amerykańskie cienie* Wojciecha Karpińskiego, które w tych dniach przeczytałem: zachłanność ocierająca się niemal o inwentaryzację, gorączka zagarnięcia maksimum, swoistego glob-trotterskiego łupiestwa. Ale w miarę starzenia się podróże stają się bardziej selektywne i sentymentalne, odżywa w nich z rosnącą natarczywością struna „poszukiwania straconego czasu”. Tyle w ciągu ośmiu skandynawskich dni widziałem rzeczy nowych, z tyłoma ludźmi rozmawiałem, tyle nieznanym mi historii usłyszałem, a przecież Bogiem a prawdą przywiozłem do domu tylko trzy ostro zarysowane obrazy: stawu pod Sztokholmem, który pokazał mi A., wiedząc że zobaczę w nim mglistą podobiznę naszej wspólnej młodości; wczesnego poranku w Lund, gdy na samotnym spacerze powiało na mnie (jak przed laty, o zmierzchu, w Civitavecchia) zapachem żywej w zwojach pamięci, sennej prowincji; zamku w Elsynorze o ślepych lecz otwartych oczach okiennych, z odbłaskami gasnącego popołudnia.

25 kwietnia

Po samobójstwie Koestlera i jego żony postanowiłem na nowo przeczytać *Ciemność w południe*. Repetycja dała, w trzydzieści pięć lat później, te same wyniki: lektura jednym tchem, z zarwaniem nocy do białego dnia; świadomość, że Koestler zbudował swoją błyskotliwą powieść na sugestywnym bałamuctwie. W ciągu minionych lat poddawano wielokrotnie krytyce na podstawie różnych świadectw koestlerowski „klucz” do procesów moskiewskich („ostatnia dialektyczna przysługa oddana partii”), sam zająłem się nim obszernie w przedmowie do *Wielkiej Czystki* Alexa Weissberga, toteż nie ma potrzeby nad grobem wybitnego jednak pisarza wdawać się jeszcze raz w stare spory. Intrygować dziś może raczej pytanie, jak doszło do oszałamiającej kariery „klucza”. W sedno rzeczy utrafił Nicola Chiaromonte, pisząc już w roku 1945 w nieznanym mi dotąd szkicu na łamach *Politics*, że w *Ciemności w południe* udało się Koestlerowi stworzyć popularną formułę Bolszewika, jedną z tych formuł które cieszą się tak wielkim powodzeniem, gdyż zamiast grubo ciosanej prawdy dostarczają ludziom złudzenie finezyjnego rozumienia rzeczy bułwersująco niezrozumiałych. Znamy, znamy te popularne formuły także z rodzimego podwórka, ale zamilczę o nich dla świętego spokoju.

Nicola zatytułował swój szkic *Koestler or Tragedy Made Futile*. Orwell w szkicu o Koestlerze pisze, że pod piórem Europejczyka *Ciemność w południe* wznosi się na wyżyny tragedii, podczas gdy pisarz angielski lub amerykański zrobiłby z niej „najwyżej traktat polemiczny”. Kto miał rację? Tragedia spłaszczona do poziomu „błahości”, „czczości”, czy wzniesiona na należne jej wyżyny? Myślę że ani jedno ani drugie, Rubaszow zawisa gdzieś po środku. Nie jest postacią naprawdę tragiczną, prędzej zgranym graczem rewolucyjnej władzy, dość nikczemną figurą zagnaną w potrzask własnej „filozofii” wyzwolonego z wszelkich ludzkich i boskich więzów rozumu. Tragiczny był Bucharin na konfrontacji ze swoim pupilem Ajchenwaldem i w czasie paryskich rozmów z Nikołajewskim, Bucharin rozmyślający w więzieniu o „naturze człowieka”, o sensie i celu życia, a w Paryżu odkrywający wagę Dziesięciorga Przykazań. A jednak tkwi w Rubaszowie coś karykaturalnie tragicznego, właśnie w owym spłaszczeniu do poziomu „błahości” i „czczości”. *He is not only alone, he is also hollow* — powiada o nim Orwell. Puści jak on ludzie samooskarżali się i opluwali na procesach, przyznawali się do win niepopołnionych, nie w imię „dialektyki” i „ostatniej przysługi oddanej partii”, ale w imię najskrytszej nadziei że



zostaną jednak za swoją autodegradację nagrodzeni, że *in articulo mortis* władza rewolucyjna oszczędzi ich — kto wie? — przeniesie nawet stopniowo z kategorii torturowanych do kategorii torturujących, przywróci zgranym prawo do dalszego skromnego choćby udziału w grze. Tragizm karykaturalny i plugawy, wobec którego oficer carski, rozmówca Rubaszowa przez ścianę celi więziennej, urasta do rozmiarów rycerza bez skazy. Taka jest może jedyna nowość mojej powtórnej lektury *Ciemności w południe*: większa jeszcze, niż za pierwszym razem, sympatia do oficera carskiego\*.

27 kwietnia

Przypada w tym roku podwójna setna rocznica: śmierci Marksa i urodzin Kafki. Sto lat temu Stwórca, powoławszy przed swoje zachmurzone oblicze Brodatego Proroka i odprawivszy go gniewnie gdzie należy, mruknął pod nosem trochę rozpogodzony: „A teraz poślę im na ziemski padół udęczonego Wiecznego Wędrowca, aby otrząsnęli się z ludzkiej pychy i zuchwałości, położyli kres rojeniom o rajy na ziemi i przypomnieli sobie ciężar swej niedocieczonej dla ludzkich umysłów egzystencji”. Po czym dorzucił zamyślony: „Poślę go do stolicy Golema, tam niech zatoczy koło wiecznej ziemskiej wędrówki ku mojej chwale i bliżnim na pożytek”.

W kilku artykułach o podwójnej rocznicy natrafiłem na sprężenie uproszczone: nowy doskonały świat z prorocत्व i projektów Marksa, budowany przez nowych samowystarczalnych narzeczcie ludzi, przekształca się w praktyce w „kafkowską” zmore. W tym sensie „kafkowskie” jest autentyczne zdarzenie z kronik komunizmu, które Milan Kundera przytacza za Josefem Skvorcekym. Pewien praski inżynier zostaje wysłany do Londynu na konferencję naukową. Jedzie, bierze udział w obradach, wraca do Pragi. W kilka godzin później otwiera w biurze *Rude Pravo* i czyta: „Czeski inżynier taki a taki, delegat na konferencję naukową w Londynie, dał prasie angielskiej oświadczenie oczerniające własną ojczyznę socjalistyczną i postanowił zostać na Zachodzie”. Rzecz pachnie dwudziestoma latami więzienia. Ostupienie, przerażenie. Do pokoju wchodzi sekretarka inżyniera, na jego widok błędnie i wpada w panikę. Inżynier pędzi do *Rudego Prava*. Redaktor przyznaje że zaszło widocznie jakieś nieporozumienie, ale rozkłada ręce: dostał komunikat bezpo-

\* Po raz 1-szy *Ciemność w południe* ukazała się w *Kulturze* Nr. 16/17 (1949 r.).

średnio z MSW, nic nie może poradzić. Inżynier pędzi zdyszany do ministerstwa. I tam przyznają, że zaszła niewątpliwie omyłka, nie mogą jednak także nic na nią poradzić, skoro wiadomość otrzymali od wywiadu ambasady czeskiej w Londynie. Inżynier domaga się sprostowania. Odmawiają mu, ministerstwo nie ma zwyczaju prostować swoich komunikatów. Na pocieszenie zapewniają go, że nic mu się złego nie stanie, że może być najzupełniej spokojny. Ale jakże ma zachować spokój, jeśli tegoż jeszcze dnia odkrywa że jest śledzony, że na ulicy chodzą za nim tajniacy, a w domu założono mu podsłuch telefoniczny. Nie sypia po nocach, grozi mu całkowity rozstrój nerwowy. Decyduje się wreszcie, nie zważając na ogromne ryzyko, uciec nielegalnie z kraju. I staje się rzeczywiście emigrantem.

Kundera zaopatruje praskie zdarzenia (dla podwładnych czerwonego Zamku na Hradczanach „banalne”) w komentarz. „Kafkowskie” jest w nim to, że „oskarżony szuka własnej winy”; „kara szuka zbrodni”, gdy u Dostojewskiego „zbrodnia szukała kary”. Według Kundery jest błędem uważać powieści i opowiadania Kafki za parabolę religijne, nie ma bowiem podstaw do dopatrywania się alegoryczności tam, gdzie w grę wchodzi konkretne sytuacje życia ludzkiego. Mimo że błędna, interpretacja religijna jest przecież znamienita: władza zachowująca się jak bóstwo rodzi automatycznie własną teologię, budzi w stosunku do siebie uczucia religijne, skłania do opisu świata językiem teologicznym. „Kafka — powiada Kundera — nie pisał alegorii religijnych, lecz pojęcie „kafkowski” (zarówno w rzeczywistości jak w fikcji) jest nieodłączne od własnego aspektu teologicznego (a raczej pseudo-teologicznego)”. Autor *Żartu* radzi zawężyć wizję Kafki do społecznego i ludzkiego konkretnego swoistego przeżycia totalitaryzmu.

Jestem takiemu zawężeniu przeciwny. Obojętne czy powieści i opowiadania Kafki nazwiemy parabolami religijnymi, nazwa ma tu mniejsze znaczenie, niż szczególna atmosfera otaczająca kafkowskie zmysł rzeczywistości, często i ze słusznym naciskiem podkreślany. Atmosfera obecności sił wyższych, którym człowiek opłatywany przez rzeczywistość chciałby choć raz zajrzeć w oczy, ponosząc wciąż klęskę, a mimo to nie dając do końca za wygraną. „Nasze prawa nie są powszechnie znane; niezmiernie to bolesna rzecz być rządzonym przez prawa, których się nie zna”. W tym zdaniu z *Problemu naszych praw* tkwi cała istota Kafki, można je zastosować i do *Procesu* i do *Zamku*. Istnieją zatem „gdzieś”, „jakieś”, przez „kogoś” stanowione prawa, tropione przez nas z daremnym lecz nieustającym uporem. Kto śmie głosić że je odkrył *hic et nunc* i bierze się do ich kodyfikowania, skazany jest na życie w świecie jednowymiarowym, więcej — wystawia

się na pokusę przeobrażenia go w świat „skodyfikowanej” przemocy i „skodyfikowanego” gwałtu. To prawda że w kafkowskich wizjach nie ma miejsca na nagrodę za uparte poszukiwanie, ale jego ważność i nieuchronność są u Wiecznego Wędrowca jakby jedynym światłem w nieprzeniknionych ciemnościach. Kafka zakłócił zeszlówieczny sen człowieka o własnej samowystarczalności.

Więc był pisarzem religijnym? Trzeba w jego wypadku słowa Pascala: „Nie szukałbyś mnie, gdybyś mnie nie był już znalazł” sparafrazować w ten sposób: „Szukam cię, nigdy nie przestanę cię szukać, bez żadnej nadziei znalezienia”.

### 29 kwietnia

Orędownicy „sieci” niestrudzenie rozstawianych przez wszechmocne i wszechobecne „organy” powinni przeczytać, pokonując częste obrzydzenie lub mitygując je równie częstymi wybuchami śmiechu, powieść Rogera Peyrefitte *La soutane rouge*. Dowiedzą się z niej, że krakowski ksiądz Attyyla (przyszły papież Jan Antoni II) odbył szkolenie na specjalnym kursie KGB w miejscowości Karín, gdzie zaprzyjaźnił się z innym duchownym kursantem, litewsko-amerykańskim księdzem Larvenkusem (przyszłym arcybiskupem i bankierem watykańskim). Na szczęście chytry i krzepki Litwin z głową do interesów i potencją seksualną ogiera nie omieszkał później, dla równowagi, zapisać się na podobny kurs CIA w Stanach.

### 30 kwietnia

Dziś na kolacji mój triesteński przyjaciel V., wielbiciel astrologii, jasnowidzenia, profecji.

— Możecie sobie to nazywać „parapsychologią”, czy jak wam się podoba, ale zjawisko istnieje i zawsze istniało. Nawet w Związku Sowieckim pogodzone się z oczywistością. Breżniewa trzymała tak długo na nogach gruzińska adeptka „parapsychologii”. Gdyby nie była umarła wcześniej...

— Sęk w tym, czy mistrzowie potrafią wykształcić uczniów. Czy innymi słowy zachodzi obawa, że wychowanek albo wychowawca jasnowidzącej Gruzinki przedłuży życie Andropowowi. Nie zamierzam wcale kpić, przeżyłem kiedyś w Indiach historię, która usposobiła mnie poważnie do tych spraw i dała mi dużo do myślenia. Z astrologią, jasnowidzeniem i profecją jest trochę tak,

jak z taumaturgia dla wierzących. Nie wolno oczekiwać jednego cudu po drugim, nie wolno nadużywać dobroci Boga. Nie to że wiele się wtedy ryzykuje, po prostu przestaje się być prawdziwym wierzącym. Podobnie z twoją astrologią. Bieda z następcami autentycznych astrologów, pchają się samozwańcy i szarlatani. Znasz pewnie życie wielkiego Michela Nostradamusa.

— W najdrobniejszych szczegółach.

— Jeśli tak, to nie muszę ci przypominać skandalu z jego synem.

— Jakiego znowu skandalu z jego synem?

— Wielki Michel Nostradamus miał syna, też Michela, któremu starał się przekazać swoją wiedzę tajemną. Po śmierci ojca młodzieniec zaczął występować jako Michel II Nostradamus. Był absolutnie pewny otrzymanego w spadku daru. Podczas wojen religijnych zapowiedział, że miasto Pouzin, oblężone przez wojska królewskie, spłonie w pożarze. Wkrótce po tym proroctwie złapano go na gorącym uczynku podpalania niezamieszkałych domów na przedmieściach Pouzin. Postanowił, jak widzisz, dopomóc losowi wypisanemu w gwiazdach. Oburzony baron de Crèvecoeur, dowódca garnizonu, kazał go rozerwać końmi. Tak niesławnie zakończyła się próba założenia dynastii profetycznej.

### 3 maja

Prawie wszędzie, w telewizji i w gazetach, ta sama reakcja na 1 maja w Polsce. Najpierw grymas szczerej czy udawanej zgrozy: w obrazie „socjalizmu realnego” brakowało jeszcze, dla zaokrąglenia, ludzi pracy okładanych pałkami policyjnymi, rozpędzanych przy pomocy hydrantów i gazów łzawiących, za czelność urządzania własnego obchodu Święta Pracy. Potem wykrzyknik: a zatem Solidarność żyje dalej i to jak żyje! Wreszcie pytajnik: dojdzie w tych warunkach do podróży papieskiej? Istnieje ukryte *iunctim* między wykrzyknikiem i pytajnikiem: podróż papieską uważano tu w duchu za celebrację złożenia Solidarności do grobu. Tu, to znaczy na Zachodzie. A także tam, na szczytach władzy w PRL. Odkąd dostrzeżono możliwość zdobycia pośredniej, nic to że żałobnej, sankcji dla faktu dokonanego 13 grudnia 1981, nadzieja zysku zrównoważyła lęk przed ryzykiem. Pierwszomajowe wahnięcie naruszyło gwałtownie tę równowagę: znowu ryzyko jest o wiele większe od nadziei. Po szesnastu miesiącach prób przekonania Polaków biciem, że muszą chęć nie chcąc pogodzić się z „mniejszym złem”, wróciliśmy do punktu wyjścia. Czyli do martwego punktu. Z nowym akcentem, który daje się usłyszeć w zdaniu Wałęsy: „Jesteśmy dojrzałsi, poprzednim ra-

zem wystarczyło nam zjawienie się papieża, tym razem odczuwamy potrzebę konkretnych rezultatów". Na przód sceny narodowej wyskoczył ponownie i dość nieoczekiwanie „trzeci aktor”, przygotowany (zdawało się) na łożu boleści do pobożnej agonii ze splecionymi na piersiach dłońmi.

W rozumnym artykule Macieja Poleskiego *Program i organizacja* (z marca br.) sprawa wizyty papieskiej przeanalizowana jest w czterech wariantach „gry politycznej”. Na zarzut małoduszności narazi się pewnie warszawski analityk za ujmowanie ewenementu religijnego i moralnego w kategoriach „gry politycznej”. A jednak ma rację. To jest „gra polityczna”, choćby się pragnęło najusilniej, aby Jan Paweł II mógł raz jeszcze ucałować ziemię ojczystą i pobłogosławić rozmodlone tłumy wiernych zgodnie ze swoim głębokim przekonaniem o misji (i charyzmie) wyłącznie duszpasterskiej. I to „gra polityczna” z udziałem „trzeciego partnera”, którego Poleski wezwał do auto-galwanizacji. Odbędzie się wizyta, czy po 1 maja zostanie odroczone? Dzisiejsza korespondencja z Watykanu wskazuje, że plany nie uległy zmianie. Jaruzelski też się przypuszczałnie nie cofnie, cierpnąc na myśl o dostarczeniu dowodu, że „ślepa ulica” panuje nad „dalekowzrocznym sztabem”. „Cud przebudzenia narodu — powiada Poleski — drugi raz się nie zdarzy, po prostu dlatego że naród już nie śpi”. Nie zdarzy się również, jak pokazał wybuch pierwszomajowy, generalski kontr-cud uśpienia narodu. Pomiedzy niepotrzebnym już drugim cudem i niemożliwym kontr-cudem rozegra się czerwcowy akt dramatu narodowego.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Poetce Barbarze Sadowskiej, matce zabitego Grzesia, jej jedyne go syna, wyrazy najgłębszego współczucia składają przebywający za granicą

Przyjaciele

## Miesiące

Wrzesień, październik, Nowy Jork

W Paryżu miałem co tydzień kilkuminutową audycję w radio France Internationale. Mówiłem po polsku do słuchaczy w Kraju. Pod koniec sierpnia, przed wyjazdem do Nowego Jorku, nagrałem ostatni tekst. Zaczynał się tak:

„Dziś muszę się pożegnać na dłuższy czas ze słuchaczami. Od września będę w Stanach Zjednoczonych, w Nowym Jorku. Zostałem zaproszony przez uniwersytet nowojorski, Columbia University, jako *writer-in-residence*. Można by to przełożyć: 'pisarz zaproszony przez uniwersytet' albo 'pisarz rezydujący na uniwersytecie'. W Stanach Zjednoczonych istnieje taki zwyczaj. Uniwersytet zaprasza pisarza, aby mu stworzyć dogodne warunki do pracy literackiej i zarazem ułatwić kontakty z młodzieżą studiującą. Mam też wygłosić cykl odczytów o polskiej literaturze współczesnej. A ponieważ trudno mówić o współczesnej literaturze nie mówiąc o utworach i tradycjach literackich, które ją poprzedzały i inspirowały, będę mówił także o literaturze dawniejszej, po prostu o polskiej literaturze. A że trudno mówić o jakiegokolwiek literaturze nie mówiąc o kraju w którym powstawała, więc będę mówił o tym kraju położonym między Niemcami a Rosją — o Polsce”.

„Od 4 grudnia zeszłego roku byłem w Stanach Zjednoczonych. Potem w Paryżu. Dość często spotykam się z pytaniem, kiedy zamierzam wrócić do Warszawy. Odpowiadam, że nie wiem, trudno mi ustalić określoną datę. W Polsce nadal jest wielu ludzi uwięzionych, a wśród nich wielu moich przyjaciół. Również tak bliscy przyjaciele jak Adam Michnik. Nie można się z tym pogodzić. Ciężko byłoby wrócić i żyć normalnie póki

oni i inni nie wyjdą na wolność. Odkładam powrót z miesiąca na miesiąc, bo nie tracę nadziei, że ten ohydny absurd wkrótce się skończy. Muszę mieć tę nadzieję”.

Nazajutrz po przyjeździe do Nowego Jorku dowiedziałem się z radia o wypadkach w Polsce 31 sierpnia, w drugą rocznicę Porozumień Gdańskich. W 53 miastach doszło do starć ludności z milicją, było czterech zabitych i kilkunastu rannych. Dokonano około pięciu tysięcy aresztowań. Ludność manifestowała w spokoju, w mieście Lubin milicja wystrzeliła serię z broni maszynowej do tłumu, który się śmiał. W trzy dni później prasa zamieściła wiadomość o wytoczeniu spraw karnych czterem internowanym działaczom KOR-u: Kuroniowi, Michnikowi, Lityńskiemu i Wujcowi. Oskarżono ich o próbę obalenia siłą ustroju państwa. Paragraf przewiduje wyroki do kary śmierci łącznie. Zaczne oskarżenie z tego samego paragrafu wytoczono Lipskiemu i Chojeckiemu, przebywającym na Zachodzie. Znam wszystkich sześciu. Stykałem się z nimi w ubiegłych latach we wspólnych akcjach protestacyjnych, w działalności wydawniczej oraz w *Zapisie*. Najczęściej z Michnikiem i Chojeckim. Myślałem podobnie jak oni i dążyłem do tego samego. Można by mnie śmiało oskarżyć razem z nimi. Rozmawialiśmy otwarcie o wielu sprawach, również politycznych, i z pewnością było to zarejestrowane na taśmach. Funkcjonariusze, którzy je przesłuchiwali, doskonale wiedzą, o czym mówił Kuroń, Michnik czy inni. O wszystkim prócz obalenia siłą ustroju państwa. Ale właśnie przeciw nim zastosowano ten najgroźniejszy paragraf. Budzili nienawiść właśnie przez to, że działali nie przy pomocy siły, lecz inteligencji. W tym, co ich prawdziwie obchodziło, byli przenikliwi od intelektualistów. Policja pobłażliwie traktuje sferę intelektu i etyki, naprawdę boi się tylko inteligentnego działania. Wtedy się mści. Oskarżyć ich o próbę zmiany ustroju państwa za pomocą inteligencji byłoby mniej podle.

W Polsce jest rzecz, której nie da się wyrazić lepiej niż słowami „nocne rodaków rozmowy”. Od dawna tak odczuwałem sens tamtejszej egzystencji. Czym się żyło przez te lata w Warszawie? Co miało wartość rzeczywistą, nie urzędową ani importowaną? Rozmowy. O Polsce, o sobie, o ludziach. Rozmawiało się nocą i w dzień, przy wódce albo na trzeźwo. Było w tych rozmowach coś obsesyjnego, można by je uznać za nałóg. Tym bardziej że nie zawsze obracały się wokół spraw wielkich, czasem grzeźły w małościach. Mimo to każdy ich potrzebował, nikt nie mógł obejść się bez nich; ich konieczność wpływała z psychicznych nurtów, jak okultyzm. Nieraz mówiłem wracając do domu: dziś było dobrze, dziś utworzyliśmy łańcuch. Myślę,

że w tych rozmowach zaklinaliśmy złe siły, chociaż powodowały nami nie tylko dobre duchy. Najważniejsze jednak było to, żeby powstał obwód izolowany i zamknięty. Chcieliśmy stworzyć ze słów przestrzeń, która należałaby do nas, i w tej przestrzeni być wolnym. Osądzanie państw, ludzi i książek zastępowało nieobecność sprawiedliwości. Czuliśmy się zbyt blisko źródeł niesprawiedliwości, aby nie wiedzieć, że z kranów płynie zatruta woda. Pod „małą stabilizacją” czy „drugą Polską” kryło się to samo błoto. Skażone były wszystkie źródła, prawdę dawały nam tylko słowa wypowiedane przez nas samych. Zimą Adam Michnik przychodził do mnie zmarznięty w letniej kurtce. Kiedyś zadał mi pytanie: co według mnie jest źródłem etycznym w człowieku. Odpowiedziałem: stosunek do samego siebie. Michnik zaczął się jąkać. Szarpiąc kosmyk włosów nad uchem wykrztusił: — A ja myślę, że sto... sto... stosunek do innych ludzi. — Prawdopodobnie obaj mieliśmy rację i mówiliśmy o tym samym: stosunek do innych ludzi jest odbiciem stosunku do siebie, i odwrotnie. Mówiliśmy o tym samym.

Od ogłoszenia stanu wyjątkowego Michnik był osadzony w Białołęce razem z Kuroniem i innymi. Niejednokrotnie usiłowałem sobie wyobrazić życie internowanych w obozach, rozmowy jakie prowadzili. I w końcu za każdym razem dochodziłem do wniosku, że Polska sprawiedliwa istnieje tylko w ich rozmowach. Nigdzie indziej jej nie ma i nie będzie. Najlepszą Polskę zawsze tworzyły słowa, które nie mogły się spełnić. Ale tworzyły ją, nie byłoby Polski bez tych słów.

Liczba zabitych — pięciu. W Gdańsku znaleziono zwłoki młodego robotnika. Przypuszcza się, że milicja zatłukła go pałkami. Powtórzono mi slogan lansowany w aparacie władzy: „Dziesięć tysięcy zabitych — dziesięć lat spokoju. Dwadzieścia tysięcy zabitych — dwadzieścia lat spokoju”.

Dziesiąty miesiąc z dala od Polski, bez oznaczonej daty powrotu. Przypuszczenie, że mógłbym nie wrócić, powoduje rodzaj psychicznych mdłości. Z Berlina pisałem kiedyś w liście, że łatwiej wytrzymałbym dwa lata więzienia w kraju, niż życie emigranta. Mówiąc „Kraj” zwykle ma się na myśli kilka pejzażów, miejsc, osób i pewien tryb życia. W tym sensie jestem przyzwyczajony do kraju jak do własnej skóry i paznokci. Bądź co bądź przeżyłem w nim tyle lat, ile upłynęło od Wiosny Ludów do I wojny światowej. Ale nie o to idzie. Kraj dla mnie jest miejscem najprawdziwszego życia, życia najbardziej serio, w którym toczy się walkę — czy grę — o siebie. Sprawdziany rzeczywiste istnieją przede wszystkim tam. Kiedy mówię „walka”, „gra”, rozumiem przez to ocalanie własnego serca i mózgu. Moż-

na by je też nazwać grą o swoją wartość albo duszę. Prawdziwe niebezpieczeństwa, próby ognia i wody, prawdziwi wrogowie — z tym miałem do czynienia w kraju. Również tam wchodziło się i wychodziło ze strefy zaćmień. Na balu sylwestrowym (kiedy? chyba około 1960) młoda aktorka, z którą tańczyłem, powiedziała: — Nie trzeba tak pisać, jak w „Obywatelach”. Trzeba pisać szczerze, jak w „Obronie Grenady”. — Nie była intelektualistką, ale była pachnąca i ładna. Uśmiechnąłem się, zmieniłem temat. Pisać szczerze... Nie chciało mi się tłumaczyć, że stan błędu miał cechy wewnętrznej szczeroci.

Być może mój *Sitzfleisch* i zakorzenienie w kraju biorą się także stąd, że przyzwyczałem się do życia na pół i pomiędzy. Pośród niepełnej wolności a niepełną niewolą, między niezupełną biedą a niezupełnym dostatkiem. Tak wyrabia się żywotność niedosytu, czasem dosyć owocna. Przez lata wiele spraw w kraju było jakby pomiędzy krańcami, na pół czy trochę na niby; w niektórych okresach zdawało się nawet, że komunizm jest w Polsce niezupełny. I może ta niepełność była naszym żywiołem. Bardzo możliwe, że tu pies leży pogrzebany.

W zeszytym tygodniu pewna żona, Polka, zaatakowała swego męża, Amerykanina, pytaniem: dlaczego w Ameryce coraz mniej pisze się o Polsce, dlaczego, kiedy ten kraj ginie w oczach, mówi się i pisze wyłącznie o Libańczykach? Amerykanin zamyslił się: — Bo to jest kraj, któremu nie można pomóc. A Libańczykom jeszcze można pomóc.

Małżeński dialog toczył się wieczorem, gdy telewizja amerykańska, nadając obrazki ze współczesnego życia w Polsce, pokazała stadninę w dniu targu na rasowe ogiery.

*Piątek, 8 października.* W Polsce uchwałą sejmu zostały rozwiązane Niezależne Samorządne Związki Zawodowe „Solidarność”.

Nowy Jork, październik, ciepłe, wilgotne powietrze z przewiewem wywołującym lekkie poty. Mieszkamy w domu profesorskim na 119 Ulicy, o trzysta kroków od uniwersytetu. Budynek, z początku wieku, nazywa się Butler Hall, ma piętnaście pięter, trzy windy i czterech portierów w uniformach z lampasami. Na piętnastym piętrze znajduje się modna restauracja, w hallu na parterze fontanna w kształcie łabędzia z uniesionym dziobem i dwie palmy. My mieszkamy na czternastym piętrze. Widok na Harlem i Central Park, w głębi majaczy zgrupowanie wysokich graniastostupów, to koniec Piątej Alei. Prostopadle do naszej ulicy biegnie pustawa Amsterdam Avenue, przypomina-

jąca nieco Trasę W-Z szeroką jezdnią, brakiem sklepów i ciężką architekturą. Dalej, równolegle, połączony z nią numerowanymi przecznicami, ciągnie się Broadway, pełen handlowych reklam, ciemnych i jaskrawych twarzy, krzykliwy, zaśmiewony, z wyschniętymi skwerkami po środku i huczącym subwayem pod spodem. Między Broadwayem i Amsterdam Avenue wznoszą się monumentalne neoklasyczne gmachy Columbia University. Przed Biblioteką na rozległych schodach siedzą gromadki studentów, w dole zielenieje boisko do gry w piłkę. Dużo jońskich kolumn, fryzów i urn ozdabia masywne budynki z różowej polerowanej cegły.

Obecność kraju w organizmie jest czymś nieustającym, niby jednym ze zmysłów, jak słuch, albo wymiarów, jak głębokość. I zarazem bólem doznawanym w każdej minucie dnia. Polska jest coraz bardziej wewnątrz. Z zewnątrz dochodzą informacje, komunikaty, listy, i one nakładają się na obrazy utrzymane w pamięci. Polska, w której mnie nie ma, przestaje być moim doświadczeniem, jest Polską z opowiadań. Żyje się z kilkuwarstwową zbitką — własnej przeszłości, cudzych relacji, faktów i wyobraźni. Wszystko to pogmatwane i bolesne, pełne złych przeczuć. Wczoraj na Broadwayu, siedząc na skwerze obok dwóch Murzynów i czekając aż M. załatwi sprawunki, nagle powiedziałem szepem do siebie: *prywislanskij kraj...*

W kwietniu podczas obiadu u przyjaciół zjawił się ksiądz ze Śląska, ornitolog i hodowca ptaków. Podziękował za dania, poprosił tylko o kieliszek wina. Pięćdziesięcioletni, ze szpakowatą, jakby kanciastą głową, słuchał i przyglądał się nam mądrym wytrzeszczem zza szkieł. Mówić zaczął po chwili. — Szanowna pani — zwrócił się do M. — w Polsce słychać krzyk bitych ludzi. Groza wieje od kraju, proszę łaskawej pani. Pytają nas kobiety o słowa nadziei, a my, księża, nie potrafimy jej dać. Kołujemy, milczymy za konfesjonałem. Straszna nienawiść jest w Polsce, proszę szanownych państwa, naród nienawidzi władzy, zaś władza narodu. Chłopiec siedemnastoletni, za to że wywiesił białoczerwony sztandar, idzie na trzy lata, innemu milicja łamie żebra. Król jest znowu nagi, proszę łaskawej pani. Ile to już razy król był nagi? Po śmierci Stalina raz, w roku 1970 w grudniu dwa, i także w 80-tym przed sierpniem. Spadały z niego różne szatki. Teraz jest nagi do kości, został się tylko szkielec z kosą. To zrobił pan generał. Żołnierze wypuszczani do rodzin na Boże Narodzenie płakali: „Mamo, mamó” przy opłatku. A mama nie pomoże. Głodu się obawiamy, proszę państwa, i zarazy, żeby nie spadły na kraj, jako że we wsiach już się pojawiła wszawica i świerzb. Cud tylko, mówi Prymas, może ocalić ten naród. A księża nie umieją czynić cudów, proszę łaska-

wej pani. Jedno co mogą, to współcierpieć z ludźmi. W obozach i więzieniach, a jakże. Wstyd, że inaczej się dzieje. O, władza jest chytra: my księży aresztować nie będziemy, powiedział jeden pan pułkownik, bo to byłaby iskra na proch. Rosjanie boją się tej iskry, dalej chcą z Ameryką dzielić świat, i jak się z tego wymknąć Polsce? Czołgi pilnują miast, zaś w miastach zbiera gniew. Delegację spółdzielców pan wojewoda podjął na bankiecie chlebem, jarzynkową sałatką i wodą mineralną. „Gdybym was po dawnemu ugościł, ludzie ukamienowałyby was na ulicy”. Prawda że sąsiad przysyła nam żywność. I pachnie ta żywność na szosach, kiedy jadą cuchnące ryby z Rosji. Słychać też, że profesorowie z Krakowa prosili o audiencję pana generała. Żeby zakończył tę wojnę i pozwolił wybrać Prezydenta, jak w Finlandii. Ale ich nie dopuścił do siebie pan generał. Prywislanski kraj, proszę łaskawej pani.

Mówiąc to ksiądz zdawał się uśmiechać wypukłymi oczami. Po czym spojrzął na M.: — A w obozach kobiety są najtwardsze. — Wypił łyk wina. — Chwała niewiastom.

Księdza-ptasznika więcej nie spotkałem. Wczoraj na Broadwayu przypomniał mi się jego monolog, którego wtedy słuchałismy jak opowieści z „Dziadów”. I właśnie na tej ławce, obok dwóch kłócących się Murzynów, uświadomiłem sobie, że po dziesięciu miesiącach Polska zaczyna tracić dla mnie kształt rzeczywistości, staje się literackim przekazem dramatu. Ja usiłuję go odczytać i przyswoić — sam sobie na pamięć. Myśl, że dla ludzi w kraju ten dramat jest codziennością, niepokoi jak wyrzut.

*Poniedziałek, 11 października.* Wszystkie kanały telewizyjne podają w dziennikach na pierwszych miejscach wiadomość o strajku w Stoczni Gdańskiej. Wybuchł dzisiaj. Strajkuje dziesięć tysięcy robotników. Połączenia telefoniczne z Trójmiastem odcięte. Przed bramą Stoczni zebrał się tłum. Cała brama w kwiatach. Hasła: „Solidarność” żyje — uwolnić Wałęsę. Do późnego wieczora urywa się telefon. Dzwonił Zbigniew Byrski, Jankowie Kottowie i Magda Dygatówna, córka Stasia.

*Środa.* Strajk w Gdańsku przerwany pod groźbą sądów wojennych. Rząd ogłosił militaryzację Stoczni.

Co kilka dni jeżdżę subwayem do różnych dzielnic miasta i doznaję za każdym razem wstrząsu. Można by go określić jako równoczesne zdumienie i obawę. Słowo *zgroza* nie oddałoby ściśle moich wrażeń, gdyż jest w nich także podziw a nawet momenty zachwyty. Naturalnie zależy to od samopoczucia, bywają dni lepsze i gorsze. Miłosz cytuje zdanie Simone Weil: „Ja cierpię.

Lepiej tak powiedzieć niż powiedzieć: ten krajobraz jest brzydki”. Brzydota nowojorskich ulic wydaje się jednak czymś ewidentnym, obiektywnym. Miasto zapewne rosło w pośpiechu, najtańszym kosztem; ceglane, klockowate pudła musiały pomieścić jak największą ilość lokatorów, dopiero później dorabiano do nich — od góry i od dołu — włoski renesans czy barok. Stoją dziś te potwory dziesięciopiętrowe, szare, żółte, brunatne, oblepione pstrymi reklamami albo ślepe, puste w środku, o zabitych dyktą oknach pod secesyjnym gymsem lub z ozdobną balustradą u krawędzi dachu. Od brzydoty się zaczęło. Od starej brzydoty kolejowo-fabrycznej. Kiedyś budowano tu gmachy publiczne z attykami i kamiennymi lwami u wejścia, usiłowano naśladować Europę, wiktoriańską czy republikańską, wszystko miało być dostojne i zasobne. Ale nie wytrzymało. Miasto rozdziło się w opętaniu, w parciu dzikich żądzy i do dziś nosi na sobie infantylne znamię pościgu za szczęściem. Amerykańska utopia! Jeszcze jedna utopia niezrealizowana i skarykaturowana?

Ale jednak... jednak w tym manickim dążeniu jest coś patetycznego, tu czuje się ryzyko i dramat, każdy bar czy sklepik walczy o najwyższą stawkę. Bankructwo albo bogactwo, miliony albo nędza... Nędza? No, może w cudzysłowie. Wśród 10 milionów amerykańskich bezrobotnych wiele rodzin żyje z zasiłków państwowych już w drugim pokoleniu.

Kiedy w centrum Manhattanu dziwiłem się stu piętrowym wieżowcom, gdy pytałem, dlaczego miasto wybrało sobie taką właśnie formę, i czy ów kierunek w górę był istotnie konieczny, odpowiedziano mi: to sprawa cen gruntu, niebo jest najtańsze. Ach, więc szaleństwo może być praktyczne... te dziesiątki wielokilometrowych Chmielnych, na które nasadzono szklane wieże Babel, wzięły się z kalkulacji. Chwilami, o dziwo, czułem się tam przytulnie. W dole, jak gdyby na dnie, między drapaczami o szczytach ginących we mgle, porusza się żywy tłum, chodniki są dość wąskie, tak że ludzie mijają się z bliska, a przechodząc przez jezdnię ocierają się niemal o maski samochodów oczekujących na zmianę świateł. Również jezdnie nie są zbyt szerokie, auta suną wzdłuż chodników na wyciągnięcie ręki. Z obu stron pada miękkie światło od wystaw. Drapacze, mimo wszystko, na parterach stają się domami, można wejść do antykwariatu czy kwaciarni, albo do małego coffee-shopu, żeby wypić kawę za pięćdziesiąt centów. Ciepło jest w brzuchu Manhattanu.

Są tu także handlowe świątynie, które nazywam *pionowymi ulicami*. Pewnego razu, wjeżdżając eskalatorem na górę, zobaczyłem w dole salę pełną ludzi siedzących na białych krzesłach przy białych stolikach, podczas gdy długowłosa skrzypaczka w

złotej sukni produkowała się na estradzie. Nie byłoby w tym widoku nic dziwnego, gdyby nie fakt, że widziałem go pod sobą wznosząc się coraz wyżej i mijając jedną nad drugą galerie sklepów, księgarni, restauracji. Na tej pionowej ulicy można było kupić tort, parasol, pisma Gandhiego, podręczny komputer, obejrzeć film i zjeść pizzę z mrożoną herbatą. Na eskalatory wchodzi się przez wysypany białym żwirem westibul z sadzawką i drzewkami eukaliptusu. Właściwie nic nowego, tylko kompozycja przestrzeni zmieniona. A jednak nie da się powstrzymać zachłyśnięcia. W tym spotworniałym mieście, gdzie kolej podziemna przypomina miejskie ścieki, ktoś nieustannie wymyśla formy przyszłego życia. To jest imponujące. Mimo to budzi się podejrzenie, czy jest do gruntu poważne. Nasuwa się sporo pytań. Są szczęśliwi czy udają szczęśliwych, infantylni naprawdę czy tylko z postanowienia, tworzą nowy kształt życia czy usiłują wyminąć to, co w nim odwiecznie bolesne? Nie wiem. Ile w nich jest odwagi, ile strachu, ile nieświadomości? Nie wszystko rozumiem. Lepiej byłoby powiedzieć: nie znam istoty rzeczy. Co chyba polega na psychologicznej nieobecności w ich dziejach i kulturze. Nie mam pojęcia kogo przedstawiają ich pomniki, kim jest generał siedzący na koniu przy Piątej Alei w wejścia do Central Parku. W Berlinie i Leningradzie rozpoznawałem od razu: tu Fryderyk a tam Piotr. O Ameryce nie mam nawet takiej wiedzy, jaką daje poczucie krzywdy. Bardziej czuję Niemców i Rosjan. Znam ich złe głębie — pamiętam i rozumiem przez skórę.

Pewien amerykański historyk i politolog, którego dziadek miał sklepik w Sarnach („*you know, mydło i powidło*”), wysunął kiedyś przypuszczenie, czy nie okaże się, że żyliśmy w epoce podwójnego żartu historii. Miał na myśli sowiecki komunizm i amerykańską demokrację. — Jeżeli dalej będą robić ze światem to co robią, nasi potomkowie w XXII wieku uznają dzisiejszą ludzkość za tłum idiotów, którzy po obu stronach dawali się nabierać.

A jednak... jednak... w amerykańskim *żarcie* odczuwam powagę. Cóż może być bardziej serio niż postawienie człowieka frontem do wszystkich szans, dobrych i złych, jakie daje mu ludzka natura, wrzucenie go do tygła, w którym gotują się grzechy i cnoty namiętnej, zachłannej cywilizacji — co może być bardziej poważne? W żadnym mieście nie widziałem na ulicach tylu obłąkanych. To ci, którzy nie wytrzymali ciśnienia. I tylu proroków wzywających do opamiętania. Tutaj ludzkość jest wybebeszona, ze swoją brzydota, zbrodnią, triumfem i złudzeniami — to miasto pogneźbia i fascynuje, ale nie kłamie. Wszelkie marzenia i koszmary są tu na wierzchu, ogląda się je gołym okiem,

skrzyżowane ze sobą w nowojorskiej kratce. Być tutaj to znaczy widzieć życie.

Kent w stanie Connecticut. Trzy słoneczne dni o 120 kilometrów od Nowego Jorku, w domku przerobionym ze stodoły, trzy dni w chłodnym, czystym powietrzu. Pejzaż niemal podgórski. Łagodnie sfalowana ziemia schodzi do asfaltów zalesionymi stokami, na których tłoczą się barwy klonów, rdzawe, szkarłatne, żółte, fioletowe. Cisza. W dole błyszczy jezioro z przystanią i motelem. Na asfaltowych drogach nie ma ludzi, tylko samochody się mijają. Wśród żywoptotów tabliczki z nazwiskami właścicieli domków. Domy są po większej części parterowe, drewniane i prawie wszystkie białe, z gankami i mansardami, z przodu i z tyłu wystrzyżone trawniki. — Ameryka jest parterowa, zawsze to mówiłam, a w Warszawie nie chcieli mi wierzyć — monologuje M. Tak, parterowa, malowana. Lekko, wesoło i pogodnie. Takie domki chciałem budować w dzieciństwie. Tutaj mieszkają w nich ci, których nie pożarł Nowy Jork. Udało im się wydrzeć z jego cielska złotą łuskę i zamienić ją na domek z trawnikiem. Teraz co tydzień uciekają z miasta, aby przeżyć dwudniową sielankę. Zaparkowane auta stoją przed białoróżowym kortem, panowie o różowych twarzach odbijają białe piłeczki, z nieba o zachodzie pada różowy blask na białą linię pośrodku asfaltu. Asfalt co pewien czas wbiega w błyszczący plac z kościołem, pocztą i supermarketem. Tu znowu zaparkowane samochody z dziećmi i psami w środku. Opaleni mężczyźni w koszulkach i kobiety w dżinsach rozmawiają głośno, ładując zakupy do bagażników. Za chwilę w domkach zapalą się światła.

Wszystko to należy zapamiętać. Wraz z wynikami ankiet socjologicznych, które podają fakty z życia mieszkańców domków, mówiące o depresjach i alkoholizmie, o nerwicowych tragediach „zielonych wdów”. Trzeba zapamiętać kort, śmiech dzieci, spaniele w samochodzie i motel nad jeziorem. Stany Zjednoczone są jednym z nielicznych przedsięwzięć w historii ludzkości, które się udały. Z uwzględnieniem psychodepresji, nerwic i alkoholizmu samotnych kobiet w domkach. Także podskakujący, obłąkany Murzyn na Broadwayu jest w tę imprezę wliczony.

Wolność — niewola. Właściwie pod tę antynomię można by podłożyć inną, mniej patetyczną: energia — inercja. Życie w wolności nie jest rajem. Tzw. wolny świat zapewnia wolność człowiekowi w zamian za bezustanne napięcie energii i gdyby się zabawić w dociekania etymologiczne, nasunąłby się wniosek, że istoty wolności trzeba szukać... gdzie? w jej pierwszej sylabie.

*Nie-wola* oznacza pozbawienie woli. Otóż mój pobyt na Zachodzie tym się wyróżnia, że zmusza mnie do ciągłego wysiłku, do natężania woli życia. Co ma swoje dobre strony, bo powoduje stan psychiczny, który nazwałbym „odwróceniem uwagi”. Codzienna konieczność osiągnięcia drobnych praktycznych celów i stałe zaafierowanie czynnościami odwracają uwagę od myśli... hm, powiedzmy: ostatecznych. Tutaj nie ma czasu na strach przed bezsenssem czy jakimś tam przemijaniem, lub, z przeproszeniem, śmiertcią. Nie ma czasu i miejsca, żeby się bać końca własnej osoby albo świata. W Polsce żyłem jakby odwrotnie. Pewna łatwość i wygoda mojej tamtejszej egzystencji wynikała z poczucia nieskuteczności. Można było żyć z nisko ustawioną poprzeczką, w trybie „półobrotów” i „odfajkowania” (to są słowa-klucze, które tłumaczą zagadkę systemu) a takie życie nie tworzy napięcia woli, są w nim „luzy” i „zwisy”. *Czy się stoi, czy się leży...* W porównaniu z eksploatacją sił psychicznych, jaką narzuca wolność, niewola może być nawet komfortem. Ale w jej rozrzedzonej substancji człowiek zostaje często sam na sam z niebytem i wtedy... Boże, ile jest czasu w socjalizmie. Niewola ma swoją metafizykę i arystokratyzm. Pamiętam zimne, puste wieczory przeleżane pod pledem, w nudzie i bezwładzie, godziny kontemplacji mętnych cieni płynących po suficie. Spleen. O takiej porze rozległ się kiedyś dzwonek do drzwi. Nie miałem chęci otworzyć, leżałem nieogolony, zwlokłem się dopiero po trzecim dzwonku. Janek St., który przyjechał z Wenezueli, wszedł z kwiatami, przyjrzał mi się i powiedział: — Przepraszam cię, czy nie jesteś chory? — Nie, skądże, byłem zdrowy. Jak niewolnik, jak socjalistyczny hrabicz.

Katedry gotyckie mówią: wobec majestatu Boga jesteś prochem, uklękni przed Nim w pokorze i zachwycie.

Zbory protestanckie mówią: Bóg jest na twoją miarę, szanuj Go, bądź surowy dla siebie i oszczędzaj, bierz przykład z nas. Synagoga mówi: Bóg jest w środku.

Wczoraj na 58 Ulicy w mieszkaniu amerykańskiego filmowca znowu dopłynęła Polska *opowiadana*. Streszczono mi relację młodej kobiety ze środowiska uniwersyteckiego, która kilka dni temu przyjechała z Warszawy na trzymiesięczne stypendium. O biciu i zabijaniu. W czasie wystąpień ulicznych policja, rozwścieczona, wali pałkami przyglądających się ludzi, nie tylko manifestantów. Nikt nie jest bezpieczny. Granaty z gazem wrzuca się do mieszkań, gdy w oknie poruszy się firanka. O zatrzymanych, których można wykupić po wpłaceniu 80 tysięcy złotych, przy czym zebrać tę sumę coraz trudniej. O kościołach jako o miejscu porozumień i spotkań. W dzielnicy kościół stał się klubem i salonem,

niektórym zastąpił kawiarnię, tam się widuje znajomych, tam się rozmawia. O ludzkiej ofiarności. Starsze panie przechowujące ulotki w pojemnikach na śmiecie. Aktorka Maja Komorowska, która przez całą zimę rozwoziła po kraju paczki dla internowanych w obozach. O nowych postawach wśród inteligencji. Kolegium redakcyjne pewnego miesięcznika na wielogodzinnym zebraniu rozważało problem dalszego istnienia pisma: jeżeli to jest *okupacja*, pismo nie powinno wychodzić (kolaborować); jeżeli to jest *zabór*, należy pismo wydawać (praca organiczna). O dwudziestoletnim robotniku zastrzelonym przez tajniaka podczas manifestacji w Nowej Hucie. Cytowano czyjeś zdanie: „Oliwą dla tego mechanizmu jest krew, inaczej mechanizm się zacina”.

W Nowej Hucie tłum dziesięciotysięczny przez cały dzień walczył z uzbrojoną policją. Podpalono kioski, rozmontowano szyny tramwajowe. Pomnik Lenina zasmarowano białą farbą, podczas gdy zomowcy rozpylali z armatek farbę niebieską, żeby nią znaczyć demonstrantów. Działo się to w miejscu symbolicznym, wybranym 35 lat temu na fundament socjalizmu w Polsce. Nową Hutę założono pod bokiem starego Krakowa, by młoda klasa robotnicza promieniowała na twierdzę konserwatywnej reakcji. I oto po 35 latach...

Wszystko co mają na sobie członkowie władz państwowych, od gatek do zapek, a także samochody, którymi jeżdżą, i wille, w których żyją, urodziło się z pracy ludzkiej w Polsce, nawet jeśli zostało sprowadzone z zagranicy (ktoś zapracował na dewizy). Ludziom pracy w Polsce rząd nie jest w stanie zapewnić pary butów na zimę. Aby jakoś wyrównać niedobór, rząd nabywa w Japonii hełmy, pałki i tarcze oraz armatki powodujące wstrząs mózgu. Kupuje je za dewizy zapracowane przez polskich robotników, przeznaczając dla nich tarcze, pociski i hełmy, realizując w ten sposób ideę sprawiedliwości społecznej w państwie socjalistycznym.

Opowiadano również o wypadkach przymusowego wcielania członków „Solidarności” do ZOMO. Takie wypadki zdarzają się głównie na prowincji. ZOMO — odpowiednik SS w Polsce Ludowej — przejawia w starciach ulicznych z ludnością okrucieństwo i furję, świadczące o zezwierzęceniu. Do tych wyborowych oddziałów (rynsztunek japoński) rekrutuje się kryminalistów zwolnionych z więzień. Co potwierdzałoby hipotezę o naturalnych związkach łączących systemy totalitarno-ideologiczne ze światem przestępczym. Podobno pierwsze hitlerowskie bojówki szturmowe miały w swoich szeregach właskawionych przestępców. Uczy historia najnowsza, że wystarczy jeden umyślowo chory, dwóch ideowców i trzystu morderców, aby przejąć władzę i zalepić usta milionom ludzi.



Wciąż zdumiewająca jest świadomość, że M. i ja, i nasi niezbyt już liczni rówieśnicy, że prawie całe nasze życie upłynęło na doświadczaniu tej krwawej ohydy. Pół stulecia! Pomyśleć tylko, że właśnie nam musiało się to zdarzyć. Hitleryzm i komunizm. Czy nie za wiele na jedną generację? Mistycy chrześcijańscy z dawna przepowiadali nadejście Antychrysta, ale tego że przyjdzie dwóch Antychrystów, jeden po drugim, a poniekąd równocześnie, tego nie było w żadnej przepowiedni. Jak trzeba uważać ze swoim urodzeniem.

Polacy przyjeżdżający z Kraju często mówią: wojna, przed wojną. „Przed wojną” oznacza dni przed 13 grudnia 1981. Pierwszy raz zetknąłem się z takim określeniem jeszcze w zimie, kilka tygodni po przyjeździe do Nowego Jorku. Z reżyserem filmowym Feliksem Falkiem siedzieliśmy w coffee-shopie na Lexington Avenue. Falk, autor „Wodzireja” przyjechał do Stanów już po 13 grudnia i on właśnie użył parokrotnie tego wyrażenia. W pierwszej chwili poczytałem je za warszawski dowcip, ale gdy Falk powtórzył swoje „przed wojną” trzeci czy czwarty raz, wtrąciłem: — O jakiej wojnie pan mówi, panie Feliksie, przecież to była oblawa policyjna. — Falk bardzo się zdziwił. Wyjaśnił, że mówi się tak w całej Polsce, nikt nie mówi inaczej. No więc przesadzają, pomyślałem, widocznie trzeba im heroizacji, dlatego awansują na wyższy szczebel ten sołdacki czy ubecki zamach. Otóż myliłem się. Mieli słusność. Nazwę *wojna* podsunął im trafny instynkt językowy i wycucie chwili historycznej. Głębokość wstrząsu, jaki nastąpił 13 grudnia 1981, wstrząsu w życiu poszczególnych ludzi i narodu, złamanie dotychczasowej konstrukcji czasu, trybu codziennych zajęć i perspektywy myślenia, raptowny koniec rzeczywistości — to daje się porównać jedynie z datami klęsk narodowych, przegranych wojen i powstań: z rokiem 1794, z wojną polsko-rosyjską 1830-31 i polskoniemiecką w 1939. To samo zawalenie się świata. Z dziury po wybuchu zaczyna coś uchodzić, wylewać się na zewnątrz: emigracja.

Trzeci dzień w Stony Brook, 55 mil od Nowego Jorku. Znowu partery... domki parterowe z wystrzyżonymi trawnikami, przed każdym domkiem po dwa samochody i ani śladu człowieka. My, my tylko drepczemy po wypolerowanym asfalcie. Październik, dużo zeschłych liści, jesień melancholijna, szeleszcząca. Marzenia. Przenieść ten cichy komfort pod Warszawę, czy odwrotnie, z Warszawy tutaj sprowadzić przyjaciół i osiedlić? Idąc wybieramy domki: o, ten byłby dla Kijowskich, ten dla JMRów, tamten dla Zbyszków Herbertów, a ten najmniejszy dla Julka.

Można by tak przeżyć długie lata, odwiedzać się, oglądać razem telewizję, pielęgnować w sobie widoczek Ojczyzny i co jakiś czas dojeżdżać do Nowego Jorku. Tak przecież żyją mieszkańcy tych domków... (co nawiasem mówiąc nie jest ściśle, bo mieszkańcy amerykańskich domków wcale się nie odwiedzają, słowiański rodzaj przyjaźni nie jest tu praktykowany). Miałoby się też do dyspozycji dziesiątki kin w okolicy, restauracyjki, sale koncertowe. Nie mówiąc o milionie tomów w bibliotece tutejszego uniwersytetu. Tak bowiem się dzieje w owym kraju największych kontrastów, że nauka, technika i wiedza specjalistyczna są na zawrotnym poziomie, gdy równocześnie nauczanie powszechne woła o pomstę. W stanie Indiana pewien młody człowiek wytoczył proces dyrekcji high school'u, ponieważ nie nauczono go w szkole czytać ani pisać. W Olsztynie nie do pomyslenia.

Więc spacerując wśród domków wyobrażam sobie, jakby to się żyło po amerykańsku. Nie jest trudno zostać Amerykaninem, trzeba tylko wpaść w uderzenie. I o niektórych sprawach zapomnieć. I trochę stępieć. Wejść w rytm zarabiania-kupowania-splacania i nie pamiętać np. o tym, co my nazywamy „historią”. Amerykanie są wolni od Historii, zostawili ją w swoich Starych Krajach. Przez ostatnie sto lat miały z nią do czynienia ich korpusy ekspedycyjne, daleko poza granicami Stanów, gdzieś w Europie, gdzieś w Azji. Poczucie historii nie tkwi w ich mentalności i gdy dajmy na to mówię „żyrondyści” albo „heglowska dialektyka dziejów”, pisarz amerykański milczy i wiem, że trafiam w płot (tak było z Filipem Rothem). Trzeba by więc i o tym zapomnieć. Nauczyć się pragmatycznego myślenia, przyjacielskiego uśmiechu z klepieniem *how are you* i kilku amerykańskich idei wydrukowanych w Konstytucji: „Wszyscy ludzie urodzili się równi” Tak, tak... zarabiać-kupować-splacać-zarabiać. Zbierać punkty.

Nie — myślę — to nie dla nas. My tego się nie nauczymy, nas tamto już złapało, przydusiło. Drepczemy samotnie po amerykańskim asfalcie wśród malowanych domków, mijają nas rozpedzone plymouthy i buicki, a w nich za szkłem ci, którzy odziedziczyli te domki wraz z konstytucyjnym uśmiechem dla narodzonych w równości, i także ci, co się wydzwignęli, co zostawili nędzę i poniżenie na podwórkach dzieciństwa. Im najłatwiej stać się Amerykanami. Kogo razi prymitywizm Amerykanów, niech zrozumie, że główny korpus ich społeczeństwa tworzyły i tworzą miliony żywotnej biedoty na dorobku, pnącej się do coraz wyższych standardów. To jest kraj dla nich, to jest ich kraj. Nie są jego mózgiem — mózgiem są specjaliści w instytucjach i laboratoriach. Ale oni są wolą życia i sukcesu, oni są krwią tej cywilizacji.

— Nie może pan się przyzwyczać do Nowego Jorku? — mówił mi przez telefon profesor Feliks Gross — ale wie pan, nikt się nie może przyzwyczać! Tylko że potem nie może się odzwyczać!

Biorę książkę z nocnego stolika i przez dwie godziny czytam „Czarodzieja z Lublina” („The Magician of Lublin”) Isaaka Bashevisa Singera, który przenosi mnie znowu w strefę snów, ale jakich! Ulica Smocza, ulica Gęsia... Dzika, Nalewki, Gnojna... Główna część akcji dzieje się w Warszawie końca XIX wieku, właśnie na tych ulicach, zamieszkałych wówczas przez Żydów. Pamiętam je sprzed wojny. Czarne, krzykliwe, pełne straganów i długich przechodnich bram podobnych do bazarów, przed którymi wystawały grupki żydowskich tragarzy-atletów z grubymi sznurami przewieszonymi przez ramię. I szyldy, mnóstwo szyldów. Gdzieś wisiał słynny szyld z nazwiskiem: „Sura Ciepłotyłu”... Po kocich łbach przetaczały się platformy z belami sukna i bawełny sięgającymi do pierwszego piętra, zachrypli woźnice o włochatych piersiach pod rozchełstanymi koszulami poganiali konie. Lecz w przeciwieństwie do nowojorskiego Harlemu, gdzie biały przechodzień nie powinien się zapuszczać, te żydowskie ulice były bezpieczne i człowiek o nieżydowskiej twarzy mógł się po nich spokojnie przechadzać. Nigdy nie potrafiłem sobie dokładnie odtworzyć nowych dzielnic wybudowanych tam po wojnie, unikałem ich. Na ubitych zwałach gruzów wzniesiono bloki mieszkalne. Gdyby udało się odkryć fale dźwiękowe przeszłości i gdyby ożyły głosy ludzkie z lat i miejsc, których już nie ma, jakie wołania zatrzęsłyby tymi blokami.

Głosy zamordowanych — usłyszałem je w pewien ciepły majowy wieczór. Dwa tygodnie upłynęły od mojego przyjazdu do Paryża, gdy dał mi znać Krzysztof Pomian, że organizuje się publiczne zebranie dyskusyjne na temat polsko-żydowskie. Zaproszono mnie do udziału; w sali naprzeciw kościoła Saint-Germain-des-Prés o ósmej wieczór zebrano się około dwustu osób. Za stołem na podwyższeniu zasiadliśmy z redaktorem *Esprit* Pauliem Thibaud, Pomianem, Aleksandrem Smolarem oraz dwoma przedstawicielami społeczności żydowskiej we Francji (jednym był członek Izby Deputowanych, drugim młody pisarz). Naprzeciw w rzędach siedzieli ludzie przeważnie w starszym wieku i jakby o znajomych twarzach, choć o żadnym z nich nie mógłbym powiedzieć, że kiedykolwiek go widziałem. Twarze Żydów są zawsze znajome z widzenia, przebija w nich jakiś wspólny rys, może odbicie żydowskich twarzy, które się spotykało przed wojną. Piętnasto- dwudziestominutowe przemówienia następowały jedno po drugim, nie przerywane dyskusją. Dyskusja miała się odbyć

w drugiej części zebrania. Przedemną wystąpił Francuz, lewicowy pisarz żydowskiego pochodzenia. Mówił o antysemityzmie w Polsce przedwojennej. Przytaczał fakty. Fakty skądinąd prawdziwe, niejednokrotnie pisałem o nich w „Miesiącach” i w innych moich książkach. Teraz jednak w dusznej sali czułem niemal fizycznie, jak z owych prawdziwych faktów wyłania się uogólniona nieprawdziwość. Polska prześladowająca Żydów, Polacy — naród żydożerców... W trzecim rzędzie stary człowiek o nagiej czaszce i bezręsy, zapadniętych oczach przytakiwał z dłońmi zwiniętą przy uchu. Gdy przyszło mi z kolei zabrać głos, poczułem zmęczenie nim otworzyłem usta. Rozsupływać splątanie wzajemnych obsesji, odrabiać wieki przesądów, tutaj, w tej nabitej sali... wszelkie racjonalne argumenty byłyby daremne. Wygłosiłem kilkanaście zdań. Powiedziałem, że nie ma i nigdy nie było *jednej* Polski. Podobnie jak nie było *jednej* Francji — była Francja Zoli i Francja Maurrasa. Istnieje Polska nienawidząca i ciemna, Polska ksenofobii i nietolerancji, oraz równocześnie z nią, obok niej — Polska rozumu i światła. Mówiłem o inteligencji polskiej i jej demokratycznych tradycjach. Mówiłem, że Polska jest narodem, który nie zabijał ludzi — to nie Polacy wymordowali Żydów polskich, jakkolwiek Żydzi zostali zgładzeni na ich ziemi. Mówiąc, przez cały czas spodziewałem się protestów czy zwischenrufów ze strony publiczności. Nie. Słuchali. Uświadomiłem sobie, że właśnie tego chcą słuchać i takich słów oczekują, że w gruncie rzeczy chcą, aby okazały się prawdą. Długo nikt mi nie przerywał. Dopiero pod koniec mego przemówienia ten łysy starzec podniósł się z krzesła i wybełkotał coś, czego na razie nie pojąłem. Uciszano go, dalej jednak bełkotał, jękał się, miał przy tym wadę wymowy. I wreszcie zrozumiałem. Krzyczał, że Polacy zdradzili swoich Żydów. — *Trabi... ab... abandonné...!*

Przewodniczący zwrócił mu uwagę, że dyskusja odbędzie się po przemówieniach, ale odezwało się parę innych głosów i zamieszanie trwało dłuższą chwilę. Po czym wystąpił kolejny mówca. W sali nie było powietrza, wielu mężczyzn zdjęło marynarki. Dalszych przemówień słuchałem nieuważnie, wciąż mając w uszach tamte głosy — głosy *zdradzonych* ze Smoczej i Pawiej. Zdradzonych? To znaczy, że zdrady doznało poczucie wspólnoty, jakieś stare, wiekowe przywiązanie... I na tę myśl robi się zimno w głowie. Argumenty? Proszę, szukajcie argumentów przeciw bólowi serca.

Nie opłakali ich. Po ośmiuset latach życia na wspólnej ziemi Polacy nie uronili łzy nad Żydami zamienionymi w popiół. Ich ocalałym synom i braciom zapewne największy ból sprawiło milczenie. Milczenie Polaków po zagładzie. Nie w

dniach zagłady, lecz właśnie po zagładzie. Po wojnie. Nie odprawiano nabożeństw w miasteczkach, nie znoszono kwiatów. Wprowadzano się do mieszkań w pustych żydowskich domach, cmentarze zarastały trawą. Milczał Kościół i naród. Postanowiono zapomnieć — udawać, że Żydów nie było.

Nie miałem odwagi ponownie zażądać głosu. Przypuszczam, że nikt w całej sali nie był zdolny do wypowiedzenia słów, których zabrakło, tych kilku najtrudniejszych i ważnych. Nie miałem odwagi i nie miałem pewności. Może nie oplakano w Polsce zamordowanych Żydów, bo przyszli inni, żywi? Ci, którzy przybyli z obcą armią, by aresztować i rządzić? Na cmentarzach zostały szczątki kamiennych tablic, ale już nie duchy żydowskie krążyły w miasteczkach, lecz wieść, że Rosjanie przywieźli nowych Żydów, przebranych, o zmienionych nazwiskach, Żydów w rogatywkach, którzy zdjęli koronę z głowy białego orła i kazali rozlepić na rynkach plakaty z napisem: „AK zapłuty karzeł reakcji”. Więc może strach i nienawiść zastąpiły litość?

Jeżeli przyczyna była taka, jeśli dlatego tylko nie czczono w polskich miasteczkach pamięci Izraela, starszego brata... to we wschodniej stolicy ktoś musiał szyderczo uśmiechać się pod wąsem i zwięzonymi oczami śledzić z oddalenia prawidłowy rezultat zabiegu.

Kiedy publiczność około północy zaczęła się rozchodzić, kilka osób w rządach jeszcze domagało się głosu. Chudy mężczyzna w rozpiętej koszuli zrywał się wołając, że w jakiejś miejscowości pod Warszawą (w Kobylce? w Zielonce?) nazajutrz po wkroczeniu Niemców proboszcz wezwał ludzi do podpalenia bożnicy i tłum posłuchał wezwania.

Z tym krzykiem w głowie wyszedłem. Myślę dziś, że w tłumie nie wszyscy posłuchali wezwania. Myślę, że ludzie, którzy nie chcą zabijać i podpalać, znajdują się w każdym tłumie i Bóg jest po ich stronie.

W nowojorskiej telewizji pokazywano tłumy młodzieży w Teheranie, wyjące w miarowym rytmie, z wystrzelonymi w górę pięściami, na cześć złowrogiego starca, który błogosławił im z balkonu powolnym gestem zaklinacza. W ciemnych, długich szatach, z pelgającą nienawiścią w oczach, wzywał na żer unosząc się jak sęp nad placem zapchanym dziesiątkami tysięcy młodych sępów-ludojadów. Ci wiedzą co robić na świecie. Pokazano też dziewczyny spowite w czarne chusty zasłaniające twarz: studentki uniwersytetu w Teheranie. O, bajko z tysiąca i jednej nocy... Struchlałem jednak dopiero na końcu. Zademonstrowano salę rozpraw w czasie procesu — siedmiu czy ośmiu mężczyzn, sfilmowanych na godzinę przed egzekucją. Głowy mieli wystrzy-

żone w hańbiące dziury i łaty, na twarzach widać było ślady błota i obrzęki po biciu. W ławie podsądnych siedzieli osuwając się, jakby na chwilę przed zemleniem. Wśród nich dwaj piękni ciemnoocy chłopcy w poszarpanych koszulach, jeden z czołem oznaczonym farbą. Przeszło mi przez myśl: Żydzi... Myliłem się. Byli to homoseksualiści skazani na śmierć przez powieszenie.

### listopad

Szaleńcy działają, wariaci rosną w siłę. Przed miesiącem w Chicago zmarło siedem osób po zażyciu kapsułek środka przeciwbólowego „Tylenol”. Nieznany sprawca wstrzykiwał do kapsułek cyjanek potasu. „Tylenol” wycofano ze sprzedaży. W parę tygodni później wariaci zajęli się dziećmi. W święto Halloween dziatwa w przebraniach i maskach chodzi po domach śpiewając, dorośli zawczasu szykują smakołyki dla małych gości. Ni to Zaduszki, ni to Ostatki. W tym roku w ofiarowanych dziatwie ciasteczkach i czekoladkach znaleziono 41 igieł, kawałków szkła, żyłek i gwoździ. Wariaci nie odpoczywają w dni świąteczne.

Co jest uderzające — że prasa i telewizja nie usiłują sugerować opinii publicznej istnienia „spisku”. Gdzie indziej z pewnością wykorzystano by taką okazję, by zwalić winę na masonów, syjonistów czy obcych agentów. Tutaj inaczej. Komunikaty stwierdzają tylko, że śledztwo utknęło na martwym punkcie. Żadnych oskarżeń. Sprawa postawiona otwarcie: jesteśmy bezsilni. To budzi szacunek.

Swoją drogą wariaci, ich ożywiona i pomysłowa działalność pod koniec XX wieku jest czymś zastanawiającym. Rok lub pół roku temu pewien wariat zakradł się rano do sypialni królowej angielskiej w pałacu Buckingham, obudził ją i porozmawiał kwadransik. Nie w tym rzecz, iż pałac królewski w Londynie jest gorzej strzeżony niż przed stu laty. Rzecz w tym, że sto lat temu żaden wariat nie wpadłby na taki pomysł. Idą nowe czasy.

Breżniew umarł. W przegródce z pocztą znalazłem dwa listy. Jeden, wysłany z Warszawy, szedł cztery tygodnie.

„Uciekamy od nicości, która zżera. Jesteśmy zdeklasowani, brzydcy, mówimy o butach i jedzeniu. Czy Tomek może chodzić w Twoich butach, które zostawiłeś? Z trudem zachowujemy dawny fason, ale ciągle jeszcze się staramy. Dziś niedziela, gdybyście przyszli do nas, zjedlibyście naprawdę pyszne domowe ciasto z orzechami. A ojciec Kolbe został dzisiaj świętym”.

To pisze ktoś, kto zawsze umiał trzymać fason. Pyszne domowe ciasto... W liście brzmi rozpacz, znam się na tym. Więc

tak się zabija życie. Bo to było życie. Nie bardzo się je lubiło, ale to jednak było życie. Okresami zdawało się nawet barwne i gęste od treści. Pamiętam połowę lat 50-tych, kiedy w całym kraju zahuczało od dyskusji, zaroilo się od klubów i kabaretów politycznych, literackich, a na ulice wyległa zwycięska klasa społeczna — młodzież. Leżałem wtedy z silną grypą i po dziesięciu dniach spędzonych w domu pierwszy raz wyszedłem, a właściwie pojechałem do Hali Gwardii na występ teatru Villara, który akurat przybył z Paryża. W wielkiej hali było pełno młodzieży. Nie mogłem pojąć: co to? Wszyscy inaczej ubrani i uczesani, dziewczyny cienkie w pasie, o małych głowach z końskimi ogonami, chłopcy w wąziutkich czarnych spodniach, jakieś misterne czuby, grzywki, dekolty głęboko wycięte, przydymione okulary, białe falbany halek... Kiedy zdążyli się tak zmienić? Wkrótce okazało się, że mówią i chodzą inaczej niż my, że tańczą inaczej niż my i że mają własne teatrzyki. A jeszcze później dowiedziałem się o istnieniu nocnego klubu „Largactil”, gdzie studenci, dziewczyny, profesorowie filozofii, malarze i cudzoziemcy tworzyli rozdyskutowany, pijący i śpiewający tłumek. Przypominam sobie, jak po jednej z takich nocy Marek Hłasko spał w kawiarni „Czytelnika” ze skacowaną głową na biurku wniebowziętej z zachwytu naczelnej redaktorki. O, to było naprawdę życie. Od młodych padał czar, zafascynowani i uwiedzeni ełranżerzy pisali o nich w zachodnich gazetach, to było życie ze szwungiem i z pieprzem. Zdawało się, że słacono już haracz za socjalizm, teraz socjalizm ukaże swoją ludzką twarz, uśmiechniętą twarz młodzieży. Sceny teatralne błyszczały pełnym repertuarem światowym, teatr TV dawał interesujące spektakle, w kinach szły filmy amerykańskie, szwedzkie, włoskie. Przybywało knajp i aut. I paszportów zagranicznych. I neonów. Świetlny napis CENTRO-DLEW nad placem Zwycięstwa przestał być jedynym neonem stolicy. Latem studenci jeździli na zarobek do winnic francuskich.

Gdy STS wystawił swój program „Uśmiechnięta twarz młodzieży”, było już chyba po wszystkim.

Nie pamiętam dat. Nie przypominam sobie, odkąd przestałem chodzić z Krakowskiego Przedmieścia przez Nowy Świat do „Czytelnika” na Wiejską. Lubiłem te spacery. Na Osie Królewskiej spotykałem wielu znajomych, bliższych i dalszych, albo nieznanym, którzy mnie znali. Sprzyjało to poczuciu „bycia u siebie”. Któregoś dnia spostrzegłem, że ulica się zmieniła. Miałem wrażenie, jakbym mijał wciąż tych samych przechodniów, o takim samym bezosobowym wyglądzie. Ani jednej twarzy znajomej, nawet z widzenia. Nie wiem, w którym roku nowa masa społeczna zapanowała w miastach. Przemiany socjalne zazwyczaj

dość długo trwają i nie od razu się je dostrzega; uświadomienie przychodzi nagle, w jednym dniu. Właśnie tego dnia, po spacerze przez Nowy Świat na Wiejską, zrozumiałem, że żyję już w innym mieście. Zaczęło się mówić: *chłopo-urzędnicy*. Socjologicznie nazwa może niezbyt ścisła, tu jednak nie idzie o nazwę. To był typ psychofizyczny, wszechobecny na ulicy, w sklepie, w restauracji, w urzędzie, na wyższej uczelni. Mogłem się jeszcze pocieszać argumentem nieuniknionej ceny za przeobrażenie struktury społecznej. Ale nie chodziłem Nowym Światem.

Mimo wszystko — trwało życie. Budowano domki, kupowano Fiaty. W sklepach sprzedawano artykuły w efektownych, szeluszających opakowaniach, w kinach nadal szły zachodnie filmy. Wyrastały nowoczesne gmachy i hotele, trasy z estakadami przewijały się przez centrum miasta. Twarz młodzieży nie była już beztrosko uśmiechnięta, ale wciąż jeszcze pozostawało rozumowanie: to nie będzie życie w wolności, ale z tego będzie *rzeczywistość*.

Zrobili wszystko, nie tylko aby ją zrujnować, również wszystko aby ją zakłamać. Pisząc „Nierzeczywistość”, coraz rzadziej wychodziłem z domu. Mówię, że nie przypominam sobie dat. Ale pamiętam miejsca. Powiedziałem Tadeuszowi Konwickiemu: — Obejdzie się bez interwencji z zewnątrz. Jak się znacznie walić, sami wpadniemy w ich gardziel. — Staliśmy wtedy niedaleko kamiennej bramy pałacu w Oborach.

Ucieczka od nicości... domowe ciasto z orzechami... Nieraz w ciągu tygodni i miesięcy mój tryb życia w Warszawie sprowadzał się do pisania, lektur i rozmów z przyjaciółmi. Od czasu do czasu lubiłem przejść się po Łazienkach albo w Ogrodzie Saskim. Lubiłem też wstąpić do księgarni na Krakowskim, zapytać o ciekawsze nowości. Można było wypić kawę w „Telimnie” lub wejść do sklepu obok i kupić parę butów. Były także dni, kiedy miasto wydawało się bardzo piękne. To jednak było życie, które dawało nadzieję, jak gdyby fizyczną, taką jaką daje obecność ludzi, rzeczy i światła. Nadzieję dostępną dla wszystkich. Teraz pozbawiono ich butów i nadziei.

*Niedziela*. Siedzi naprzeciw mnie trzydziestoletni mężczyzna w swetrze, naukowiec z Polski. Rozmawiamy o Kraju, o Wałęsie i generale w czarnych okularach.

— Wie pan, że on jest ze szlachty? Herbu Ślepowron. Dziwne, prawda? — Mówi powoli, ścisłym głosem, w chwilach namysłu skubie ciemną bródkę. Mówi: — Rów jest bardzo głęboko wykopany, takiej nienawiści między władzą a społeczeństwem nie było chyba nigdy. Młodzież żyje myślą o zemście i

nawet gdyby coś się zmieniło na lepsze, nie obejdzie się bez odwetu. Po tym, co z nami zrobili, musi zapaść wyrok. Takiego sponiewierania nie wybacza się ani nie zapomina, to jest niemożliwe psychologicznie. Ale niech pan nie myśli, że po naszej stronie rowu panuje *caritas*. Nie... tam są także piekła. Wzajemne podejrzenia, insynuacje. Zawieść. Trzeba uważać na słowa: co się mówi, gdzie i do kogo. I lepiej nie nosić zagranicznych butów. Kolega mi powiedział: „Czego tu jeszcze siedzisz, dostałeś stypendium, to spierdalaj, nie zajmuj miejsca innym”. Ten sam kolega nazwał policyjnym kapusiem znajomego, który gdzieś tam twierdził, że kluczem do wyjścia do impasu jest ekonomiczna reforma. Nieostrożnie. Wyrwać się z takim obiektywizującym rozumowaniem to już oznacza współpracę, od razu jest się zakwalifikowanym jako sprzedawczyk, względnie gnida. Ale też są i tacy, co w jedną noc „przechrzcieli się na realizm”. Wszyscy patrzyli sobie na usta, na ręce. Na buty także. Nie ma oddechu w tym powietrzu. Ja dlatego między innymi wyjechałem.

Namyśla się, zmienia temat. Pyta, czy pamiętam, że po ogłoszeniu sankcji amerykańskich rzecznik prasowy rządu, ten z dużymi uszami, oświadczył, iż sankcje uderzą w społeczeństwo polskie, dla rządu i tak wystarczy żywności. Jechał tego dnia takśówką na Mokotów. Kierowca w czasie jazdy przyglądał mu się w lusterku. Na całej trasie raz tylko się odezwał: — Uszaty powiedział, że ślepek się przeżywi. — Jedno zdanie.

Uśmiecha się, skubie bródkę. Proszę, żeby powtórzył. Zapisuję na kartce to zdanie i przychodzi mi na myśl, że pisarzom rzadko udaje się osiągnąć taką lapidarność. Ale notując spostrzegam, że w tym zdaniu tylko jedno słowo dałoby się bez straty przełożyć na angielski czy francuski, inne są nieprzetłumaczalne. To wiele mówi o losie polskiej literatury na rynkach zachodnich. Jest nieprzejrzysta i jakby upośledzona. Zakodowana już nie myślowo, już nie w warstwie treści, ale od samych zrostów słownych. „Ślepek się przeżywi”... Nie miałem racji pisząc w „Nierzeczywistości”, że dowcip w Polsce jest pochodzenia inteligentckiego, że kawały wymyśla się w garderobach aktorskich, w kularach redakcyjnych. Nie tylko. Powiedzenia o „uszatym i ślepaku” nie wymyślił inteligent, to jest rodzaj pieśni gminnej przemienionej w anegdotę, w uliczny epigram. Zamiast kos ostrzy się języki.

„Ach, łotry, szelmy, ach, łajdaki, żeby was piorun trzasł!” Proszę, przetłumaczmy. Na angielski, na francuski, ale tak, żeby Francuz czy Amerykanin poczuł taki sam dreszcz w plecach, jaki ja czuję za każdym razem. Mam w pamięci chwilę, kiedy te słowa padły w roku 1968 ze sceny warszawskiej, i nie zapomnę, co się wtedy stało z salą. Wymienić utwór teatralny w klasycz-

nym repertuarze światowym, który podobnie by wstrząsał po półtora wieku paryską albo londyńską publicznością, nie byłoby łatwo. „Zbójcy”?... „Hernani”?... Żarty. Słyszę głosy: bo to są rymy polskie, utrafiające po latach w kontekst polityczny, w niecenzuralną analogię, przez co budzą tak silne emocje... Znam wielu ludzi inteligentnych, którzy twierdzą, że nasze ciche misteria wokół arcydzieł polskiej literatury i żale nad ich niedocenieniem w świecie są bezzasadne, w gruncie rzeczy bowiem jest to literatura o cechach zgoła nie uniwersalnych, wręcz peryferyjnych, literatura z obsesją podbitej prowincji. Na co powiadam, że owszem, a jakże, literatura z obsesją — ale właśnie ta obsesja jest uniwersalna, przeżycia i sny podbitego narodu są uniwersalne, niewola jest kondycją uniwersalną, równie wszechludzką jak wolność. I dalej o „Wielkiej Improwizacji” i „Beniowskim”, o „Weselu”, „Popiołach” i... „Niemytych duszach”. Oraz o tym, że „Echa leśne” zrozumiałby lepiej algierski fellagh, wyrosły w latach partyzanckiej wojny z kolonami, aniżeli zachodni intelektualista, wyhodowany na Beckettcie czy Joyce’ie.

Duchowość rosyjską scala poddanie się państwu. Polska duchowość jest pęknięta. Wobec najdrastyczniejszego i najbrutalniejszego ujawnienia się niesprawiedliwości odczuwa jednocześnie pogardę i kompromitację, nienawiść i bezsilność. Polakom od dwustu lat zdarza się rzecz niemożliwa. Mają pamięć wielkiego republikańskiego narodu Europy Środka i poczucie naturalnych związków ze współczesnym światem cywilizowanym, zarazem będąc w położeniu niewolników grzmoconych pałką przez dozorcę. To nie jest przetłumaczalne na języki obce.

Kilkanaście lat temu pisałem w „Dzokerze” o ślepotcie i głuchocie Zachodu na zjawisko niewoli narodowej, której Zachód od dawna już nie zna: stała się tematem dla oper, przeszła w libretta „Egmonta” lub „Wilhelma Tella”. Literatura prawdziwie współczesna — mówi głos Zachodu — skupia dziś uwagę na niewoli jednostki, z jej międzyludzkimi uwarunkowaniami, z metafizycznym zamknięciem w bycie i śmierci. Naród w niewoli? To jest cierpienie krajów zacofanych.

A gdzie pewność, że cierpienia krajów zacofanych nie wchodzą do kulturalnego universum, a jaki kraj ma gwarancję, że za dziesięć lat nie spadnie do rzędu zacofanych, i co to w ogóle znaczy w kulturze *zacofanie*? W kulturze może być tylko inność, odmienność...

Okcydentaliści głuchną na tematy niewoli narodowej, bo to jest dzisiaj niewola rosyjska, a okcydentaliści Rosji się boją. Pięciu wystraszonych głuchych w Oslo odmówiło Wałęsie pokojowej nagrody Nobla i przyznało ją dwójgu wysłużonym pro-

fesjonalistom. Wałęsę zobaczyłem wczoraj w telewizji, otyłego, jakby postarzałego o dziesięć lat i bez znaczka „Solidarności” na piersi. Ten człowiek przez niemal rok w osamotnieniu stawiał opór prawu wojennemu i doprawdy nie wiem, kto idei pokoju ofiarował więcej niż on. Teraz, po uwolnieniu, Wałęsa będzie musiał stoczyć swoją trzecią walkę, może z sobą samym — walkę, która rozstrzygnie o jego miejscu w historii. Arcybiskup Paryża Jean-Marie Lustiger porównał go do Joanny d’Arc. Elektromonter z gdańskiej stoczni, któremu Matka Boska kazała objąć przywództwo nad polskim ludem, wydaje się sylwetką nieledwie fantastyczną w epoce rakiet i laserów. Bo też jest postacią z fantastycznego teatru polskich dziejów. Ma już bogatą ikonografię. Ze swymi długimi wąsami i różańcem na piersi, dzierżąc w jednym ręku krucyfiks, a w drugim olbrzymi długopis z umieszczoną w nim statuetką Papieża — mógłby być figurą z ludowych obrzędów pasyjnych. „To człowiek wiary i modlitwy — powiedział o Wałęsie arcybiskup Paryża — obdarzony mocą mistyka, a zarazem rozumem realisty. Cechuje go siła słabych i mądrość prostych, większe od potęgi silnych i rozumu mędrców”.

Takim Wałęsa pozostanie w obrazie ubiegłych lat — bez względu na to, co z nim teraz zrobią i dokąd zaprowadzi go Kościół.

Po śmierci Katarzyny uwolnili z więzienia Kościuszkę, po śmierci Stalina wypuścili Gomułkę, po śmierci Breżniewa — Wałęsę. Kto następny? Kandydatów umieszczono już w celach.

*Kazimierz BRANDYS*

## KONKURS

Fundacja im. Airey Neave ogłasza konkurs na stypendium dla osób zajmujących się problematyką wolności w powiązaniu z prawodawstwem i problematyką praw człowieka. Fundacja została ustanowiona dla uczczenia pamięci Airey Neave, posła do Parlamentu Brytyjskiego, który zginął w marcu 1979 roku w wyniku zamachu bombowego irlandzkich terrorystów. Kandydaci proszeni są o przesyłanie propozycji tematycznych do dnia 30 czerwca 1983 na adres:

Hon. Sec., (K),  
Airey Neave Memorial Trust  
House of Commons  
London SW1, Great Britain

## Odwiedziny

Siedzę sobie jak zwykle przy stole, herbatkę piję, a tu w progu Archanioł z ognistym mieczem.

— Niech Archanioł uważa, żeby się od miecza szafa nie zajęła, bo jest łatwopalna — powiadam, próbując obrócić to w żart. Sposób już sprawdzony, używałem go nieraz, co prawda w innych okolicznościach. Wystarczy zastosować tak zwane groteskowe ujęcie.

Ale on nic, tylko patrzy na mnie.

Widocznie on nie z towarzystwa — pomyślałem. — Nie widział teatru absurdu, nie zna się na dowcipach.

Odsunąłem herbatkę i zastanawiam się, co robić.

Potraktować go materialistycznie? Z natury rzeczy, to znaczy z natury tego zjawiska — niemożliwe. Materializm przecież takie zjawiska neguje. Zanegować, owszem, można. Ale nie teraz, kiedy on patrzy na mnie i miecz trzyma, a jak trzyma, to może i nim coś zrobić.

Może kompromis? Ostatecznie psychoanaliza takich rzeczy nie neguje, ale wyjaśnia je racjonalnie. Gdyby udało się go psychoanalizą, byłbym uratowany. Miecz, w dodatku ognisty, pasuje jak ulał, symbol jest wyraźny.

— Rozumiem — powiadam do niego. — Ten miecz nie ulega wątpliwości, klasyczny przypadek. A teraz, kiedy już sobie uświadomiłem i zinterpretowałem, niech sobie anioł już idzie.

Ale on nic, tylko stoi i patrzy na mnie.

— Co jest... — pomyślałem trochę zdenerwowany. — Nie po to przecież mamy różne kulturalne osiągnięcia, nie po to studiowałem, żeby teraz nie wiedzieć o co chodzi i żebym sam musiał się głowić. Zaraz, zaraz... A może czegoś zapomniałem? A może jednak da się go jakoś stąd wyinterpretować? Tylko szerszej, nie psychoanalizą, co do której już się słyszy różne wątpli-

wości. Trzeba go ustawić jakoś bardziej synkretycznie i nowocześnie.

— Nie znam się na współczesnej fizyce — zwracam się do niego ugodowo. — Ale podobno już jest coś takiego jak indeterminacja między cząstkową a falową istotą materii. Więc jeżeli anioł jest czymś w tym rodzaju... Takim właśnie powiedzmy fenomenem pośrednim... granicznym przypuśćmy, a może nawet więcej, to znaczy mniej... *Continuum*, znaczy się, ale też i nie całkiem *continuum* z drugiej strony...

Nie, też nie. Anioł wpatruje się we mnie nieubłaganie. I wcale mu się nie dziwię, bo nawet dla mnie samego to zabrzmiało nieprzekonywująco, w dodatku się zaplątałem. Czas mija i czuję, że mam go coraz mniej.

— Czy mogę wyjść do toalety? — zapytałem.

Nie zabronił, ani też nie zezwolił. Przyjąłem to więc jako zezwolenie. Ostatecznie jestem tylko człowiekiem, to moje ograniczenie, ale i moje prawo. A do toalety chyba za mną nie pójdzie, z tym mieczem w takim miejscu mu nie wypada. I w ogóle jemu tam nie wypada.

Zamknąłem się na haczyk i nagle mnie olśniło.

Przecież on wcale nie wymaga ode mnie, żebym ja zrozumiał kim on jest. Tym mniej, żebym ja mu to wyjaśnił. Kim on jest — przecież on sam wie najlepiej. A w każdym razie znacznie lepiej niż ja kiedykolwiek się domyślę. Przecież anioł jest czymś większym ode mnie, człowieka zaledwie, a jakże mniejszy może pojąć większego? Więc jeżeli on czegoś ode mnie wymaga, to tylko tego, czego ode mnie wymagać można, czyli tylko tego, na co mnie stać. A wszystko na co mnie stać w najlepszym wypadku, to zrozumieć kim jestem ja sam.

Spuściłem wodę dla pozorów i wróciłem do anioła. Ale jego już nie było.

— Teraz przyjdzie dopiero przed samym końcem — pomyślałem sobie. — Wie, że tego się nie da zrobić na poczekaniu.

Sławomir MROŻEK

## Dwa pożegnania

Dnia 10 kwietnia 1983 roku niedaleko miejsca gdzie mieszkam, pod San Francisco, umarł Wiktor Sukiennicki, niegdyś mój profesor filozofii prawa na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie. Kilka dni później przyszła wiadomość o śmierci Jerzego Andrzejewskiego, z którym łączyły mnie lata przyjaźni. Jeżeli teraz wspominam razem tych ludzi, to dlatego, że wyobrażają oni dwie fazy mojego życia — wileńską i warszawską, tak różne jak różne były te dwie postacie.

To, co mnie zbliżało do Sukiennickiego było Andrzejewskiemu obce: nigdy nie był w Wilnie, o tamtejszych powikłaniach najwyżej dowiadywał się z lektury, a Wielkie Xięstwo Litewskie nie miało dla niego większej wyrazistości niż Xięstwo Sabaudii. Natomiast Sukiennicki należał do tych nielicznych, którzy zdając sobie doskonale sprawę z odchodzenia Litwy historycznej w przeszłość, byli do jej tradycji przywiązani i z uporem temu swojemu przywiązaniu dawali wyraz.

Te kilka wileńskich ulic, mała przestrzeń pomiędzy uniwersytetem a Instytutem Badań Europy Wschodniej, Zamkowa, Plac Katedralny, Arsenalna. I przygotowujące się opcje, w niewiedzy o tym co nastąpi. Należać do luminarzy czy nawet do trochę znanych osobistości naszego miasta znaczyło, że po 1939 roku wypadnie albo w ten czy inny sposób kolaborować, albo pojechać do łagrów, tak jak pojechał Sukiennicki, na Syberię, pod Krasnojarsk. A tymczasem odbywała się drobna, błogosławiona ludzka krzątania. Sukiennickiego znałem właściwie mało. Dla niego byłem po prostu zdolnym studentem i jeszcze w Kalifornii przypominał mi mój egzamin, na którym mówiłem o angielskich filozofach XVIII wieku, rzekomo błyskotliwie, co przyjąłem z niedowierzaniem, bo nie pamiętałem ani egzaminu, ani żadnego z tych

nazwisk. Literackich upodobań Sukiennicki miał niewiele i wątplię, czy przywiązywał wagę do skromnej sławy nas, wileńskich poetów. Wydaje mi się, że raczej by mi wtedy na jego pochwałę zależało. Odnosiłem się do niego inaczej niż do większości profesorów, bo podobnie jak Stanisław Swianiewicz wchodził w skład szanowanej przez nas elity, choć jakie warunki trzeba było spełnić, żeby zostać do niej zaliczonym, nie umiałbym skrótkowo określić. Myślę, że Sukiennickiego jako osobę wprowadziła do mojej wyobraźni Nika, a także Franciszek Ancewicz, czyli Draugas, który często o nim mówił. Bezpośrednio do jakiejś głębszej wymiany między nami nigdy nie dochodziło, bo też zainteresowania nasze były rozbieżne, co nie znaczy, że nie myślałem o nim i przed wojną, i później w Ameryce, co prawda jako o człowieku dość trudnym, choć zawsze prawym, bardzo upartym, kostycznym, sarkastycznym i pewnie mało szczęśliwym. W Ameryce zbliżał nas tylko jeden temat: Litwa historyczna.

Na niedługo tylko przed śmiercią Sukiennicki zaprzestał swojej imponującej akcji odczytowej, poświęcając wszystkie siły korektom swego ogromnego rozmiarami dzieła o latach pierwszej wojny światowej na ziemiach byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Materiałów zebrał obfitość w zbiorach dokumentów i bibliotekach zachodniego świata. Z pozoru temat najzupełniej ezoteryczny, tym bardziej że Sukiennicki napisał swoje dzieło po angielsku, szkolarską i dość chropawą angielszczyzną. Iluż znajdzie się specjalistów, którzy zechcą udzielić uwagi obszarowi, który nie jest ani Rosją, ani Niemcami i tylko psuje ładnie zakreślone granice tak zwanych *fields of research*, czyli pól badania? A jednak, kiedy się sobie uświadomi, że niemiecka okupacja tych terenów podczas pierwszej wojny nie została bez wpływu na niemieckie plany dwadzieścia lat później, że tam to zderzały się federacyjne marzenia Piłsudskiego z posunięciami Niemców, Rosjan i miejscowych nacjonalistów kilku narodowości, że za przebiegającą przez te ziemie linią frontu odbyła się premiera Rewolucji (pierwsza Rada żołnierska, w Mińsku), przewidywania co do znaczenia takiej książki nie muszą być zbyt pesymistyczne, a już historycy polscy znajdą w niej dane wręcz bezcenne, dziś ukrywane albo fałszowane z powodów oczywistych. Autor nie pracował dla najbliższej przyszłości. Zależało mu po prostu na tym, żeby książka była i czekała. Chyba nie pomyłę się, przypisując mu zamiar napisania epilogu do dziejów jego ojczyzny, tak żeby stało się wiadome, w jaki sposób Wielkie Xięstwo, które dotrwało do 1914 roku przynajmniej jako idea, przestało istnieć. Prosił mnie o przedmowę i ta prośba mojego profesora została spełniona. Chciałbym jakoś przyczynić się do szybszego wydania dzieła, które nosi tytuł *East Central Europe in World War I*,

1914-1918: *From Foreign Domination to National Freedom*. Losy jego nie są jednak w tej chwili pewne i choć gotowe są już odbitki korektorskie, sporo chyba jeszcze czasu upłynie, nim ukaże się drukiem.

Andrzejewski to znowu kilka ulic w śródmieściu Warszawy. Zaprzyjaźniliśmy się przed wojną, razem bywaliśmy w Laskach, miotani tam sprzecznymi chęciami, jako że pragnęliśmy uduchowienia, ale świątobliwość tamtejszego regulaminu rodziła w nas dziką tęsknotę do wódki i befsztyków. Dalszy ciąg naszych wspólnych przygód to już czas okupacji, po mojej ucieczce z Wilna w lipcu 1940 roku. Najpierw Dynasy, gdzie zamieszkałem z Janką i gdzie Jerzy bywał prawie co dzień. Tam odnotować należy trzy zdarzenia. Podczas pierwszej wielkiej łapanki do Oświęcimia zachowaliśmy się jak pogodni głupcy. Wracając rano, o ósmej, ze stacji EKD, nie wiedzieliśmy, że o paręset metrów za nami wszędzie zaczyna się łapanka. A gdybyśmy zatrzymali się, żeby kupić papierosy? Ledwo wszedłem do domu na Dynasach, na zewnątrz zaczęły się krzyki, brali każdego mężczyznę. Nasz dozorca, Urbański, został wzięty tuż przed domem. Dwa miesiące później Urbańska dostała wiadomość o jego śmierci. Z tego transportu, który Oświęcim dopiero budował, mało kto przeżył. Ta i inne podobne oblawy godne są przypomnienia dzisiaj, kiedy słyszy się w Ameryce głosy niedowierzania, że jak to, nie-Żydów też brali? Drugie. Andrzejewski był redaktorem i wydawcą pierwszego podziemnego pisma literackiego w okupowanej Warszawie, co lojalnie stwierdzam, bo moja rola ograniczała się do pisania artykułów. On urządził przepisywanie na maszynie z wieloma kopiami i organizował kolportaż. Nieduży był zasięg tego pisma, czytane głośno w „kółkach”, ale zawsze. Trzecie. Na Dynasach sporządziliśmy we trójkę wydanie pierwszego okupacyjnego tomu wierszy na powielacz. Były to moje utwory podpisane nazwiskiem Jan Syruć. Po czym Dynasy znalazły się w dzielnicy niemieckiej i nastąpiło wysiedlenie. Kolejną siedzibą był pokój podnajmowany w ładnym mieszkaniu przy ulicy Kredytowej, róg Mazowieckiej, w nowym domu, który został wykończony tuż przed wybuchem wojny. Mieszkanie należało do Antoniego Bohdziewicza, filmowca, mego kolegi z Wilna. Więc Kredytowa, Mazowiecka, Plac Napoleona, Zgoda, i wszystko inne, niż przed rokiem 1939, bo sporo ruin (Świętokrzyska), a wielość nowych restauracji i kawiarni we władzy głównie aktorów i aktorek. Niektórych lokali tej dzielnicy nie mogę dokładnie umiejscowić i nie jestem pewien, czy pochodzą z jawy czy ze snu. Ale niewątpliwie rzeczywisty był ten, w którym za barem urzędował to Kempa (zginął w 1944), to aktor, którego pierwszy raz wi-



działem w Wilnie w Reducie jako Cyda, Milecki bodaj. Jak najbardziej rzeczywista była też „Adria” na Mazowieckiej albo, jak się mówiło, „U aktorek”. Tam barmanem był Antoni Bohdziewicz, co dawało pewne alkoholowe awantaże. A na dwóch fortepianach grali dwaj bardzo wytworni młodzi ludzie, Witold Lutosławski i Andrzej Panufnik. W ogóle lokal był wytworny. Elegancy niemieccy oficerowie, zamożni czarnorynkowcy i konspiratorzy. Tam to, nie gdzie indziej, składaliśmy z Jerzym ślubowanie na ręce Wacława Zagórskiego, wówczas działacza „Wolności”, czyli jednej z grup PPS. Andrzejewski mieszkał wtedy na Krakowskim Przedmieściu, więc widywaliśmy się ciągle. Ale później nastąpiły znów przenosiny moje z Janką na ówczesny koniec Alei Niepodległości. Jerzy z kolei przeprowadził się na Bielany, dzieliła nas odtąd cała Warszawa i spotkania odbywały się rzadziej.

Z Andrzejewskim odbyłem trzy wycieczki. Jedną przed wojną, na wiosnę 1937 roku, kiedy po straceniu pracy w Wilnie przenieśliśmy się do Warszawy. Usiłuję teraz przypomnieć sobie, gdzie mieszkałem, bo nie w mieszkaniu Bolka i Haliny Micińskich, które odziedziczyłem dopiero jesienią po ich wyjeździe do Francji. Andrzejewski od pewnego czasu siedział wtedy w Wiśle na Śląsku, w pensjonacie, i pisał. Za jego namową zjechałem do Wisły, namówiwszy przy tym na to samo Stefana Napierskiego, czyli Marka Eigera, redaktora *Ateneum*, pisma, którego byłem współpracownikiem. Zamieszkaliśmy w tym samym pensjonacie. Właścicielką jego była sympatyczna pani o francuskim nazwisku, czymś Jerzego zaciekawiająca, tak że nawet wprowadził ją do tego, co wtedy pisał pod nazwiskiem Marty Lenoir (zawsze z upodobaniem wymyślał dźwięcznie brzmiące nazwiska).

Którego dnia wybraliśmy się we trójkę na Baranią Górę, do źródła polskiej rzeki. Dzień ten został mi w pamięci na trwałe jako pewna niepowtarzalna aura. Góry, powietrze wczesnej wiosny, „grzanka” śląska pita w gospodzie — i wiadomość, podana właśnie przez radio o śmierci Piusa XI, która nas przejęła. Papięz ten był kochany przez intelektualistów, co łączyło się jakoś z jego jasnym stanowiskiem wobec hitleryzmu, różnym, jak miało się okazać, od stanowiska jego następcy, Piusa XII. Przedmiotem naszych rozmów na Baraniej było poczucie zagrożenia, osierocenia, czyli trafne były te nasze intuicje.

Druhá wycieczka odbyła się latem 1941 roku z okupowanej Warszawy do wsi Chrobrze pod Pińczowem, dokąd zaprosił nas pisarz chłopski Józef Morton, następnie do Krakowa i Krzeszowice, gdzie mieszkał Kazimierz Wyka. Podróżowanie wtedy, podobnie jak przed wynalezieniem maszyny parowej i samochodu, oznaczało, że przestrzeń stawia opór i daje się pokonywać tylko z tru-

dem. Wszystkie lepsze wagony w pociągu były *nur für Deutsche*, parę pudeł dla tubylców wypełnionych ludzką masą nie dawało nadziei na miejsca siedzące. W Jędrzejowie bodaj musieliśmy czekać całą noc na połączenie, na wąskotorówkę do Pińczowa. Poczekalnia na stacji była tylko dla Niemców, wskazano nam baraczek o kilkanaście metrów za budynkiem stacyjnym. Kiedy otworzyliśmy drzwi, buchnęły stamtąd zaduch i gęste chrapanie. Ludzie spali pokotem na podłodze i to w paru warstwach. Tutaj Jerzy, zawsze schludny i w swoich upodobaniach wybredny, odkrył moją żmudzką obojętność na niewygodę, do której odniósł się z obrzydzeniem. Bo położyłem się na tej gmatwaninie ciał i natychmiast zasnąłem, obudziłem się wyspany, a on noc spędził siedząc gdzieś na ławce. Podobnie było w Chrobrzu ze spaniem w stodole, gdzie dręczyły go pchły, ja natomiast spałem jak zarżnięty. Po kilku dniach w Chrobrzu pojechaliśmy do Krakowa, wskutek jakichś komplikacji połączeniowych wysiadając na stacyjce o parę kilometrów od miasta. Spacer stamtąd pozostaje dla mnie jednym z bardziej radosnych wspomnień w życiu, nie wiem dokładnie czemu, może dlatego, że była to chwila zupełnego zapomnienia o okupacji, kiedy piliśmy w przydrożnej knajpie ogródkowej i grała nam cygańska kapela — w roku 1941 Cyganie jeszcze chodzili na wolności. Radosne też było dla mnie wejście do Krakowa prosto do kawiarni artystów na Łobzowskiej, gdzie kelnerką, która podeszła do naszego stolika, była piękna Giza Ważykowa. Zналиśmy się sprzed wojny, w Krakowie mieszkała na „aryjskich papierach”, miała zginąć w parę lat później. Pisałem gdzieś już o wrażeniu, jakie zrobił na mnie wówczas Kraków — miasta mniej sterroryzowanego niż Warszawa. Andrzejewski ze mną następnie w prasie polemizował, twierdząc, że odbierał Kraków zupełnie inaczej. Wydaje mi się jednak, że miasta pod okupacją można byłoby ułożyć w tabelę według nasilenia odczuwanej w nich grozy. Z tych, które dane było mi poznać, na pierwszym miejscu postawiłbym Suwałki, gdzieś w pobliżu Ostrołękę, czyli ziemie przyłączone do Reichu. Zaraz obok Warszawa. Na tej tabeli Kraków 1941 roku stałby niżej, a już Krzeszowice, gdzie spędziliśmy z Jerzym kilka dni u Kazimierza Wyki, omawiając sprawy podziemnego ruchu wydawniczego, wydały mi się idylliczne, choć tam gubernator Frank miał swoją siedzibę.

Trzecia wyprawa odbyła się w kwietniu 1945 roku z Krakowa do Łodzi („kto późno do Łodzi, sam sobie szkodzi”, jak wtedy mówiono, jako że Łódź była zastępczym centrum). Napisałimy wtedy scenariusz „Robinson Warszawski”, oparty na rozmowach z pianistą Władysławem Szpilmanem, który ukrywał się w pustej Warszawie po upadku Powstania aż do wejścia Rosjan.

Chodziło o pokazanie samotnego człowieka w krajobrazie ruin, w dziczy stworzonej przez ludzi, ale bardziej jeszcze niebezpiecznej niż Natura dla Robinsona Crusoe. Scenariusz został przyjęty i jechaliśmy do Filmu Polskiego, żeby sfinalizować umowę. Później „Robinsona” nakręcono, ale całkowicie marnując pomysł (ten był mój), bo dodając coraz więcej postaci, jako że jeden człowiek nie wystarcza, żeby pokazać klasowe rozwarstwienie społeczeństwa (!). Wtedy swoje nazwisko wycofałem. Tymczasem jednak podróżowaliśmy do Łodzi. Zgodził się nas zawieźć pewien młody krakowianin swoim samochodem, który przetrwał wojnę rozebrany na części i schowany, a teraz właśnie został przez niego wydobyty z ukrycia. Zaopatrzeni w odpowiednie przepustki dotarliśmy do Łodzi bez przeszkód, tam jednak okazało się, że większą część czasu musimy spędzić na bronieniu samochodu przed zakusami osobników potężnych, za nic mających prawo własności krakowianina. Nie wiem czy Łódź ówczesna gdzieś została w pamiętnikach utrwalona. Jej główna ulica, Piotrkowska, składała się z nowozałożonych prywatnych sklepów, jeden przy drugim, bogatych w towar i robiących, zdaje się, znakomite interesy. Właścicielami ich byli Żydzi, repatriowani ze Związku Sowieckiego, ludzie dostatecznie doświadczeni, żeby nie mieć złudzeń ani co do ustroju, ani co do tolerancji dla prywatnej inicjatywy w Polsce. Po prostu postanowili w okresie przejściowym odkuć się z nędzy, zanim ruszą dalej, co też wkrótce zrobili, emigrując do Izraela albo do Ameryki.

Sztab Filmu Polskiego mieścił się w pałacyku poprzednio należącym do jakiegoś barona przemysłu. Tutaj nie mogę oprzeć się porównaniom zoologicznym, zresztą spotykanym w książkach dla dzieci. Kot zbój i przechera, którego spotkał Pinocchio czy miodopłynnie przemawiające lisy dostarczyłyby najlepszych wzorów dla zespołu założycieli tego przedsiębiorstwa. Byli to spryciarze, którzy z niejednego pieca chleb jedli, nieraz eks-więźniowie łagrów na dalekiej północy, teraz natomiast mistrzowie szabru. Ich teren operacyjny rozciągał się na całe Ziemie Zachodnie i sięgał aż do Berlina, gdzie, korzystając z tego, że byli jednostką wojskową, wcześniej wzięli udział w grabieniu sprzętu Ufy. Ale i w Łodzi nie gardzili niczym. Uważali że z chwilą, kiedy nasz samochód został zaparkowany na ich podwórzu, był ich. Andrzejewski i ja poczuwaliśmy się do lojalności wobec krakowianina, który rozpaczał. Pertraktacje, debaty, intrygi, odwołania się do jednych autoritetów przeciwko innym, jakby chodziło o jakąś ogromną sprawę, trwały długo, z dużym nakładem energii, wreszcie jednak nieszczęśnika wybronił.

Następnie Warszawa, ściślej Praga, i stamtąd prowizorycznym drewnianym mostem w labirynt ruin. Podczas Powstania

żaden z nas nie był w samym mieście. Po kilkunastu pierwszych dniach Andrzejewski z rodziną wyszedł z Bielan polami, tak samo my z całą grupą mieszkańców dzielnicy, polami koło Fortów Mokotowskich. Teraz razem chodziliśmy po naszym kiedyś wspólnym śródmieściu, nie umiając rozpoznać ulic, a że silne to było przeżycie, świadczy mój wiersz *W Warszawie*, tymi widokami inspirowany.

Te zwięzłe relacje mają pokazać różne okoliczności historyczne, w jakich dane nam było razem wędrować. Istniał jeszcze projekt wspólnej książki w formie listów pisanych wtedy, kiedy mieszkaliśmy na przeciwległych krańcach Warszawy, i wymienianych przy każdym spotkaniu. Miały one być swobodnymi wynurzeniami, głośnym rozmyśleniem o sensie tego, co się działo. Listy dochowały się, przynajmniej w części. Moje są złe, Andrzejewskiego jeszcze gorsze, ale razem mają wartość, by tak rzec, wychowawczą: dowodzą, że dla ludzi uwikłanych w ówczesne wydarzenia rzeczywistość w tych proporcjach w jakich ją dzisiaj widzimy była prawie niedostępna, to znaczy myślano o niej i pisano w formach zaczerpniętych z innej, przedwojennej epoki. Wynikają stąd trudności dla tych, którzy chcą tworzyć literaturę „na gorąco”, dlatego niewiele utworów tego rodzaju wytrzymuje próbę czasu.

Nasza przyjaźń była dość trwała, zdolna utrzymać się mimo tarć i sporów. Opisałem Andrzejewskiego okrutnie w *Zniewolonym umyśle*, przyczyniając się do jego przebudzenia. Kiedy po 1956 roku zjechał do Paryża, przyznał mi rację i znów wszystko wróciło do normy. Bywał u mnie w domu w Montgeron i spotykaliśmy się w Quartier Latin przy winie. W pobliżu rue de Seine, gdzie mieszczą się nieduże galerie sztuki, mieliśmy kiedyś długą rozmowę z właścicielką jednej z nich, uroczą starszą panią polskiego pochodzenia, postacią znaną, jako że była niegdyś modelką Modiglianego. Do Paryża przyjechała w roku 1912 i te wszystkie dziesięciolecia minęły niemal bez śladu, skoro została wierna przywiązaniom wczesnej młodości: uwielbiała Orzeszkową i rozmawialiśmy głównie o *Nad Niemnem*.

Sztuki teatralne i filmy, które oglądaliśmy razem w Warszawie. Szczególnie tajne przedstawienia w Warszawie podziemnej. W tym największe po dziś dzień moje teatralne przeżycie, *Pastorałka* Schillera w jego reżyserii i zakonnic w Henrykowie, które prowadziły zakład poprawczy dla nieletnich przestępczyni i dały Schillerowi wolną rękę w ćwiczeniu tych dziewcząt jako aktorów. Decyzję powzięła matka przełożona, sama niegdyś znana w Warszawie jako śliczna młoda aktorka, Umińska. W latach dwudziestych była bohaterką głośnej a tragicznej historii. Zastrzeliła w Paryżu swojego przyjaciela, literata Żyznowskiego, z

litości, bo był chory na raka. Francuskie jury ją uniewinniło, po czym wstąpiła do klasztoru. Tu niemiecka okupacja, tu dzieje Umińskiej, tu Schiller. Na każdym przedstawieniu bywało około 50 osób za specjalnymi zaproszeniami. „Ona ma wejście wielkiej aktorki” — powiedział do mnie Jerzy, kiedy na salę przed rozpoczęciem przedstawienia weszła matka przełożona, rzeczywiście wspinała.

Najściślej może nas wiązały wspólne wygłupy, nie bez udziału wódki albo bimbrow. Pojedynek na miny, Gombrowicza *Ferdurke* urzeczywistniający, czy solowe występy taneczne, niektóre raczej niewskazane. Na przykład w 1942 czy 1943 roku, kiedy raz wracaliśmy ze Stawiska, dokąd Iwaszkiewicz zwykł był zapraszać literatów i muzyków, Andrzejewski zaczął tańczyć na środku wagonu i śpiewać, nie wiadomo dlaczego po francusku: „Je suis Goebbels, je déclare la guerre totale”. Sytuacja zaczęła robić się niebezpieczna, bo wagon miał przedział dla Niemców, tak że schwyciłem go i wypchnąłem na pierwszym przystanku, obaj padliśmy na czworaki w śnieg. Szczególnie wyraziście Andrzejewski zostaje jednak w mojej pamięci jako autor i wykonawca często tańczonej przez siebie arii wyrażającej jego tęsknoty do jakiejś naprawdę wysokiej godności:

*Dajcie mi tiarę,  
Tiarę, tiarę, tiarę,  
I pantofelki,  
Felki, felki, felki*

I właściwie myślę, że zbliżało nas głównie podobne poczucie humoru.

Powstrzymałem się od jakichkolwiek wzmianek o książkach Andrzejewskiego, o podobieństwach czy różnicach w naszych poglądach na literaturę tudzież politykę. Nie sądzę, żeby moment, zaraz po jego śmierci, był najlepszy po temu.



O ostatnich miesiącach i tygodniach życia tych dwóch osób myślę ze drżeniem, jakie czujemy wszyscy wobec nieuniknionego, zwłaszcza kiedy przybiera kształt choroby i niemocy. Z Andrzejewskim podczas wojny nigdy nie mówiliśmy o śmierci. Wielki strach opanował go później, w miarę starzenia się i zupełnie obsesyjne były jego monologi o tym, jak wygląda ciało w stanie pośmiertnego rozkładu. Kiedy dowiedziałem się, że prawie zupełnie oślepił i że ta przypadłość została dodana do jego alkoholizmu, też nabytego w starszym wieku, bardzo mnie to przejęło. Ślepotą

jest jedną z gorszych rzeczy, jakie mogą się zdarzyć człowiekowi książki i pióra.

Sukiennicki zawsze był czymś w rodzaju śledziennika, ze skłonnością do sceptycyzmu przybierającą z upływem lat na sile. Moja ostatnia z nim telefoniczna rozmowa pozostawiła mi niepokój i pytanie, czy zawsze musimy odchodzić w pełnej niewiedzy, w poczuciu przegranej i w wielkiej wewnętrznej samotności. Przede wszystkim jednak Sukiennicki, niezależnie od raka, który go niszczył, był chory na wygnanie. Niektórzy znoszą je lepiej, inni gorzej, bo świata, który ich otacza niemal nie zauważają. Brał do serca dramatyczne przypadki Polski, za Solidarności i później, ale w jego losie nic to zmienić nie mogło. Zapytany w Palo Alto przez moją znajomą, gdzie stale mieszka, czy w Kalifornii czy w Londynie, odpowiedział: „Nie, proszę pani, ja nie mieszkam ani w Palo Alto ani w Londynie, na stałe to ja mieszkam w Wilnie”.

*Czesław MIŁOSZ*

**MARJAN ZDZIECHOWSKI**

**DZIEŁA WYBRANE**

**Tom I**

**WIDMO PRZYSZŁOŚCI**

Przedmowa Stanisława Kościałkowskiego

Przez ostatnie dwadzieścia lat swego życia Zdziechowski, jak sam się wyrażał, spełniał „niewdzięczną rolę Kassandry”, niestru-dzenie przestrzegając przed zbliżającą się katastrofą, która grozi unicestwieniem wszystkich wartości duchowych i moralnych. Dzisiaj — gdy przestrogi te spełniają się coraz szybciej — przypomnienie tego niepospolitego człowieka, myśliciela i uczonego staje się jak najbardziej aktualne i konieczne.

Wydanie Dzieł wybranych rozpoczynamy od pośmiertnego tomu, którego druk został ukończony w Wilnie we wrześniu 1939 roku. W październiku drukarnia została wywieziona, z nakładu zaś zachowały się nieliczne egzemplarze.

Str. 253.

Cena F. 78,00.

Wyd. L'AGE D'HOMME, Lozanna, 1983 r.

Zamawiać można przez każdą księgarnię lub bezpośrednio u wydawcy:

**L'Age d'Homme,**

**Métropol 10, CH 10003 Lausanne, Suisse**

lub

**5, rue Férou, 75006 Paris, France**

## Archiwum polityczne

### Mój anty-raport o stanie wojennym

#### Oktładka:

Z lewej strony: „Narody Zjednoczone, Rada Gospodarcza i Społeczna. Komisja Praw Człowieka, 39 sesja, 31 stycznia - 11 marca 1983. Punkt 12 porządku dziennego”.

Z prawej strony: „Rozdzielnik ogólny. E(CN) 4/1983/18  
21 luty 1983. Oryginał: angielski”.

#### Tytuł główny:

„Sprawa gwałcenia praw człowieka i podstawowych swobód, gdziekolwiek na świecie, ze szczególnym uwzględnieniem krajów i obszarów kolonialnych i zależnych”.

#### Podtytuł:

Raport o sytuacji w Polsce, przedstawiony przez p. Hugo Gobbi, zastępcę sekretarza generalnego ONZ.

#### Na dole:

GE. 83-11111.

#### Spis rzeczy (Na verso okładki):

I. Wstęp, II. Informacje (*communications* po francusku) otrzymane od rządu polskiego. III. Zestaw podstawowych faktów w Polsce po proklamowaniu stanu wojennego. IV. Twierdzenia (*allegations* po francusku) zawarte w informacjach otrzymanych ze źródeł nierządowych. V. Wnioski. Razem stron 17 (ostatnia niepełna).

Pięć załączników: I. Dekret o stanie wojennym. II. Ustawa o związkach zawodowych. III. Przemówienie radiotelewizyjne gen. Jaruzelskiego z 12 grudnia 1981. IV. Ustawa o zawieszeniu stanu wojennego z 18 grudnia 1982. V. Memorandum rządu polskiego przekazane sekretarzowi gen. ONZ w Nowym Jorku 22 grudnia 1982. Razem stron 52.

Całość — 69 stron, warta jest bliższego poznania. Ze wstępu dowiadujemy się (co niektórzy wiedzą, ale zawsze warto przypomnieć), że:

1) na swojej 39 sesji, 10 marca 1982 roku, Komisja, „głęboko przejęta wiadomościami o łamaniu praw człowieka w Polsce”, uchwaliła, 18 głosami za, przy 13 przeciw i 10 wstrzymujących się, rezolucję zalecającą sekretarzowi generalnemu ONZ opracowanie (osobiście lub poprzez osobę do tego wyznaczoną) wszechstronnego studium na temat sytuacji praw człowieka w Polsce, wyrażając przy tym pragnienie „aby rząd polski w tym dziele współpracował”;

2) wychodząc z założenia, że „w Polsce nie zachodzą fakty masowego gwałcenia praw człowieka”, delegat Polski uznał tę rezolucję za „jawne pogwałcenie Karty Narodów Zjednoczonych, jaskrawą ingerencję w wewnętrzne sprawy socjalistycznego państwa i prowokację polityczną”, wobec czego jest ta rezolucja „nielegalna, nieważna, politycznie szkodliwa i moralnie dwulicowa”, w związku z czym rząd polski odmawia współpracy w jej wykonaniu;

3) 21 grudnia 1982 sekretarz generalny ONZ wyznaczył p. Hugo Gobbi, zastępcę sekretarza generalnego ONZ, do „zbadaania w jego imieniu sytuacji w Polsce”;

4) 3 stycznia 1983 p. Gobbi skierował list do przedstawiciela PRL, w którym informuje go o swej misji i podkreśla, że w jej wykonaniu zdecydowany jest przestrzegać „maksimum bezstronności i obiektywizmu”, w związku z czym liczy na pomoc rządu polskiego i wyraża zamiar udania się do Polski w drugiej połowie stycznia;

5) 6 stycznia 1983 przedstawiciel Polski odpisał p. Gobbi, że aczkolwiek „rząd polski niezwykle sobie ceni stosunki z sekretarzem generalnym ONZ” i „nieodmiennie przestrzega zasad międzynarodowych”, to jednak rezolucję z 10 marca 1982 uważa nadal za „nielegalną, niebyłą, szkodliwą i dwulicową” i ponawia „odmowę Polski brania udziału w jej realizacji w jakiegokolwiek formie”;

6) P. Gobbi nie mógł udać się do Polski w proponowanym terminie;

7) ale zredagował swój raport w oparciu, z jednej strony, o *communications* rządu polskiego i, z drugiej strony, o *allegations* rozmaitych organizacji międzynarodowych, takich jak np. Międzynarodowa Organizacja Pracy, Czerwony Krzyż, Światowa Federacja Wolnych Związków Zawodowych, a także, jak wynika z tekstu sprawozdania, z opracowań Amnesty International oraz prasy.

Część II zawiera dokumenty przesłane przez rząd gen. Jaruzelskiego (znane, ale nie warto ich przypominać), część III — zestaw faktów po 13 grudnia, które p. Gobbimu wydały się zasadnicze (też znane i też nie warto przypominać). Część IV zawiera „twierdzenia” (*allegations*) ze źródeł nie rządowych (też

znane i też nie warto przypominać, każdy czytelnik prasy codziennej wie na ten temat znacznie więcej niż p. Gobbi).

Część V zawiera wnioski p. Gobbi. Zanim je jednak zreferuję, zauważę tylko, że wszystkie załączniki (52 strony) są oficjalnymi dokumentami rządu polskiego i ani jeden nie pochodzi ze źródeł niezależnych, np. „Solidarności” czy organizacji twórczych, czy choćby Kościoła, źródła co najmniej równie *credible* co gęsto cytowany rzecznik gen. Jaruzelskiego.

### Moralnie nieobojętne

W tym tzw. kontekście nic dziwnego, że wnioski p. Gobbi stanowią dokument unikalny, nawet jak na Narody Zjednoczone (do których jeszcze obszernie powrócimy). Wnioski zastępcy sekretarza gen. ONZ składają się z 9 (słownie — dziewięciu) paragrafów. W oficjalnym dokumencie przeznaczonym dla Komisji Praw Człowieka ONZ zastępca sekretarza generalnego oświadcza, co nie jest zaskoczeniem, że nie mógł się udać do Polski, i że nie był wobec tego w stanie osobiście sprawdzić *allegations*. Zmuszony więc był ograniczyć swą analizę sytuacji w Polsce do jej aspektów „normatywnych”, to znaczy do sposobu w jaki postępowanie władz polskich w dziedzinie praw człowieka ma się — ich własnym zdaniem — do niektórych paktów międzynarodowych z tej samej dziedziny. Bez zbędnego cytowania prawnych wywiasów słownych, „wnioski” p. Gobbi sprowadzają się do:

1) przytoczenia tezy rządu polskiego o tym, iż jego postępowanie jest zgodne z jego własną konstytucją i paktami międzynarodowymi, do których on przystąpił,

2) zawiadomienia, że parlament polski zaaprobował dekret o stanie wojennym opartym o polską konstytucję i o międzynarodowe porozumienia na temat praw człowieka,

4) wyrażenia zadowolenia, że niektóre „kroki pozytywne” zostały już podjęte przez rząd warszawski i wyrażenia nadziei, że dalsze takie kroki zostaną podjęte,

5) wyrażenia żalu, że „nie było możliwe przeprowadzenie jakiegokolwiek badania dotyczącego więźniów politycznych, a to z powodu niemożliwości sprawdzenia sytuacji na miejscu, w bezpośrednim porozumieniu z zainteresowanymi, a przede wszystkim z rządem polskim”.

Krótko mówiąc, i to jest już *mój wniosek*, p. Gobbi, zastępca sekretarza generalnego ONZ, autor 69-stronicowego raportu o sytuacji w Polsce, nie był w stanie stwierdzić w marcu 1983 roku czy internowanie, aresztowanie, torturowanie, strzelanie do strajkujących robotników lub manifestujących studentów, zawieszanie i rozwiązywanie stowarzyszeń itd. itp. stanowiło lub nie stanowiło aktu gwałcenia praw człowieka.

Nie tylko ja, ale i część Komisji Praw Człowieka ONZ, byliśmy „niemile zaskoczeni” jakością raportu p. Gobbi. Kiedy więc w marcu 1983 roku p. Gobbi swój „raport” Komisji przedsta-

wił, jej większość uznała, mówiąc delikatnie, że jest on do kitu i obraża, to *moje* sformułowanie, rozum i godność ludzką. To też, mimo prób podjętych przez takie miłujące demokrację i prawa ludzkie państwa jak Kuba, Nikaragua i Mozambik, aby dyskusję nad sprawą Polski zamknąć, przerwać lub choćby odroczyć, Komisja postanowiła 19 głosami za, przeciw 14, przy 10 wstrzymujących się, zlecić sekretarzowi generalnemu ONZ lub też „osobie, którą on wyznaczy”, to jest powtórnie p. Gobbi, „zaktualizowanie i skompletowanie” raportu i przedstawienie nowej wersji na 40 sesji w roku 1984, daty skądinąd symbolicznej.

Orwellowskie skojarzenia spotęgowała lektura oficjalnego sprawozdania ONZ z przebiegu marcowej sesji. Oto bowiem niektóre delegacje uznały za wskazane wyłuszczyć powody swego głosowania. Delegat bułgarski był przeciw, bo rezolucja (a nie strzelanie do papieży) stanowi ingerencję w sprawy wewnętrzne suwerennego państwa. Dyplomata z Zimbabwe uznał, że ONZ powinna pozostawić Polsce swobodę rozwiązywania jej spraw wewnętrznych (tak jak im w mordowaniu opozycjonistów). Dla Mozambiku, gdzie rządzi Kuba i NRD, rezolucja jest „nieuczciwa i nie do przyjęcia”, absolutnie suwerenna Ukraina uznała rezolucję ONZ za próbę zdyskredytowania socjalizmu.

Najlepsi byli, jak było do przewidzenia, delegaci ZSSR i Polski. P. Zorin, weteran bojów o prawa człowieka, opieprzył... p. Gobbi za to, że jego raport zredegowany został w oparciu o doniesienia prasy zachodniej i informacje ze źródeł nierządowych. P. Sokalski natomiast uznał, że nowa rezolucja jest recydywą, stanowi akt nieprzyjazny Polsce, która jest wszak jednym z najbardziej lojalnych członków ONZ. Widocznie zmęczony, P. Sokalski ograniczył się do powtórzenia znanego już nam zdania o tym, że rezolucja jest „niebyła, moralnie szkodliwa i dwulicowa” oraz ponowił odmowę swego rządu współpracy z Komisją, albowiem jest to sprawa „politycznej i moralnej uczciwości”. Słowo „moralność” pojawiało się w ogóle szalenie często w ustach przedstawiciela warszawskiej władzy wojskowej, ale dopiero w zakończeniu zdobył się on na wielką naprawdę improwizację. Ponieważ nie bardzo, nawet w ONZ, mógł on wystąpić w imieniu narodu polskiego, przeto p. Sokalski powołał się na „szlachetne tradycje historii Polski, jej odwieczną tolerancję, zasady socjalistycznej demokracji i nienaruszalne przywiązanie do zasad Karty Narodów Zjednoczonych”. Wszystko po to, aby odrzucić rezolucję Komisji teże ONZ.

Dla całości obrazu i dla historii podajmy, ku pamięci, spis państw, które głosowały za, przeciw i obok. Za rezolucją: Australia, Kanada, Kolumbia, Kosta Rika, Fidji, Francja, Gambia, RFA, Irlandia, Włochy, Japonia, Meksyk, Holandia, Filipiny, Senegal, Togo, Anglia, USA i Urugwaj.

Przeciw: Bułgaria, Chiny, Kuba, Ghana, Indie, Libia, Mozambik, Nikaragua, Ukraina, ZSSR, Tanzania, Jugosławia, Zimbabwe, no i Polska.

Wstrzymały się: Argentyna, Bangladesz, Brazylia, Cypr, Finlandia, Jordania, Pakistan, Rwanda, Uganda i Zair.

Tyle byłoby chronologii polskiej sprawy w Komisji Praw Człowieka ONZ w Genewie i tak się sprawa utrzyma do sesji w 1984 roku. Ponieważ p. Gobbi jest w trakcie uaktualniania swego sprawozdania, przeto wydaje się nam celowe sformułowanie najpierw kilku pytań w sprawie raportu polskiego, a potem umiejscowienie go w tzw. szerszym kontekście ONZ w ogóle. Ani raport, ani p. Gobbi, ani Komisja w Genewie nie są bowiem, jak się okaże, zjawiskami wyjątkowymi.

Oto więc seria pytań polskich.

1) Dlaczego to dopiero w grudniu 1982 roku, 10 miesięcy po uchwaleniu rezolucji, sekretarz generalny mianował p. Gobbi?

2) Jakiej jakości raport mógł p. Gobbi zredagować w ciągu 2 miesięcy, które miał do dyspozycji przed otwarciem sesji w Genewie?

3) Dlaczego sekretarz generalny ONZ wyznaczył do tej delikatnej misji akurat dyplomatę z Argentyny, kraju, który nie ma specjalnego dorobku (a raczej ma) w dziedzinie poszanowania praw człowieka u siebie, a ponadto kraju, który aktualnie z uwagi na sojusze jakie się ujawniły w okresie bitwy o Falklandy, dryfuje akurat w stronę bloku wschodniego ze Związkiem Sowieckim na czele?

4) Dlaczego, starając się o „współpracę władz polskich”, p. Gobbi nie wystąpił nawet o wizę? (zupełnie jak ów Izraelita, który prosił Boga o wygranie na loterii, ale nie chciał kupić losu).

5) Dlaczego, zważywszy, iż rząd polski odmówił współpracy, p. Gobbi załączył wyłącznie oficjalne dokumenty, a nie np. opracowania rady prymasowskiej, która jak dotąd nie zesłała jeszcze w podziemie w Polsce?

6) Dlaczego p. Gobbi podjął się w ogóle tej misji i zredagował raport, który w tych warunkach nie mógł być poprawnie zredagowany?

Pytania takie można oczywiście mnożyć. Każde właściwie zdanie raportu p. Gobbi stanowi kanwę ogólniejszego pytania. Ważniejszą jednak rzeczą niż mnożyć pytania jest znalezienie częściowych choćby odpowiedzi. Jest ich wiele. Oto ich synteza.

### *Ich Ekscelencje*

Kiedy Narody Zjednoczone przysły na świat, życie było proste. Zgromadzenie Ogólne składało się przede wszystkim z krajów europejskich i Ameryki łacińskiej. USA dysponowały tzw. automatyczną większością i — według sowieckiej nomenklatury — maszynką do głosowania. Blok wschodni i ZSSR były izolowane i osamotnione, chociaż Białoruś i Ukraina otrzymały, na zupełnie absurdalnej zasadzie, status pełnoprawnych i suwerennych członków. Głównym szańcem obronnym Rosji było *veto* w Ra-

dzie Bezpieczeństwa, z którego ZSSR przy każdej okazji korzystał.

Sprawy zaczęły się komplikować w latach 60-tych i później, kiedy zwolna, a potem coraz szybciej, wpisywały się do ONZ były kraje kolonialne i zależne. Powstały nowe układy. Dyplomacja sowiecka nareszcie rozwinęła skrzydła i zanim Amerykanie zdążyli się zorientować i zaczęli się uczyć polityki międzynarodowej, już znaleźli się, wraz z grupką krajów demokratycznych, w izolacji i mniejszości.

Maszynka do głosowania funkcjonuje znowu, ale na innych zasadach. Różnica jest i koniunkturalna, i zasadnicza. Źródłem jej zrozumienia jest stwierdzenie iż, podczas kiedy Stany Zjednoczone, które są krajem znakomicie funkcjonującej demokracji, nie potrafiły w żadnym z krajów swojego zaplecza i wpływu, np. w Ameryce łacińskiej, zaprowadzić demokratycznego ładu, Związek Sowiecki potrafił i w krajach podbitych, ale także i w krajach tylko pośrednio lub tylko dyplomatycznie zależnych, ustanowić albo swój własny system totalitarny, albo zakorzenić świadomość o „obiektywnej” zgodności interesów.

Stało się to zwłaszcza widoczne na terenie ONZ. W ten sposób powstały najzupełniej obłudne, ale trwałe układy pomiędzy blokiem państw mużułmańskich i krajami Czarnej Afryki, do których przyłączały się kraje bloku komunistycznego od Mongolii poprzez Wietnam aż do Kuby, a teraz i Nikaragui.

Obecnie, aby znaleźć się po dobrej stronie, trzeba być przeciwko Izraelowi, Afryce Południowej oraz Chile, w tym właśnie porządku, oraz trzeba umieć posługiwać się, ale tym także zajęty się Sowiety, specjalnym językiem totalitarno-wieczowym.

Ten nowy układ, a zwłaszcza może bardziej jeszcze nowa retoryka, zmieniły faktycznie sens istnienia ONZ. Wskutek tego nowego stylu organizacja ta, zamiast łagodzić napięcia, zaczęła je zaostrzać. Przestał się liczyć temat i problem, zaczął się liczyć *show*-mowa-manipulacja. Korzystając z okazji, wszyscy zaczęli się mieszać do wszystkiego. Wynik był jasny: kiedy 157 delegatów uważa się za zobowiązanych do forsowania, pod pretekstem Pinocheta, swoich własnych interesów, sama sprawa znika pod lawiną manipulacji, głupoty i słowolejstwa.

Po jednej z takich debat pani Kirkpatrick, ambasador USA w ONZ, napisała jednobrzmiący list do kilkudziesięciu swoich kolegów, w którym stwierdziła: „Jestem przekonana, Wasza Ekscelencjo, że nie przywiązuje Pan więcej wagi do wypowiedzianych tu kłamstw niż ja, i nie wierzę, że kłamstwa te odzwierciedlają poglądy rządu Ekscelencji”. Niektórzy się obrazili, inni tłumaczyli, że retoryka jest częścią politycznej gry w ONZ, inni wreszcie odszukali panią Ambasador w barze, aby jej powiedzieć na ucho, że oczywiście ma rację i że nie wierzą sami w to, co ich rząd każe im deklamować z wysokiej trybuny ONZ.

Taktyka i strategia manipulacji, jeżeli nie wprost dywersji w ONZ, która z tego powodu nie jest w stanie zająć się naprawdę poważnymi sprawami świata, ujawnia się np. w działaniu

instytucji zwanej „grupą badawczą”. Z zasady grupy takie nigdy niczego nie badają i wynik „badania” ustalony jest z góry. Np. Izrael jest zawsze głównym obiektem „badania”, przy czym dokument zalecający przeprowadzenie, z budżetu ONZ, tzw. *investigation* określa także, jaki ma być jej wynik. Jeden z takich mandatów stwierdził np. — zanim w ogóle komisja się zebrała — że Izrael „gwałci prawa człowieka”, „nie szanuje swobód obywatelskich”, czyli udowodnić to, czego jeszcze nie zaczął sprawdzać. W skład komisji wchodziły Cejlon i Jugosławia, które nie utrzymywały w ogóle stosunków z Izraelem, oraz Somalia, która oficjalnie negowała prawo Izraela do istnienia.

Szkoda czasu na drobiazgi. Jeden ogólniejszy przykład z tej dziedziny powinien wystarczyć. W czasie sesji Zgromadzenia Ogólnego w 1980 roku sprawa Afryki Południowej stała na porządku dziennym 61 ze 108 posiedzeń, 45 rezolucji poświęconych było krytyce tego kraju, 283 przemówienia na posiedzeniach plenarnych zajmowały się Namibią, a 70 apartheidem. 15 specjalnych „ciał”, funduszy i programów ONZ zajmuje się zwalczaniem obecnego reżymu Afryki Południowej, podczas gdy 5 specjalnych „dni” i trzy specjalne „tygodnie” poświęcone są temu samemu tematowi. W sumie 200 pracowników *full-time*, czyli etatowych sekretariatu generalnego ONZ pracuje wyłącznie „przeciwko” Afryce Południowej, co kosztuje nas wszystkich 40 milionów dolarów rocznie.

Działalność UNESCO nie potrzebuje reklamy. Jest to najbardziej chyba skompromitowana i ubezwłasnowolniona, a także najbardziej kosztowna branża ONZ. Trwało lata całe, zanim udało się uniknąć, dzięki rzadkiej solidarności Zachodu, uchwalenia „Nowego Porządku Informacyjnego”, sprowadzającego się faktycznie do nałożenia cenzury na jeszcze nie ocenzone agencje i gazety.

Nie wiadomo natomiast, dlaczego nie udało się storpedować innej czysto propagandowej imprezy sowieckiej, jaką była niedawna (kwiecień 1983) specjalna konferencja UNESCO na temat „wychowania dla pokoju, praw człowieka, praw narodów i podstawowych swobód”. Przepiękny tytuł, wymyślony oczywiście w Moskwie. A jak zachował się Zachód? Zamiast wyjść trzaskając drzwiami, albo w ogóle nie przyjeżdżać, Zachód zgodził się na udział w hocy, w czasie której uchwalono m.in. rezolucje domagające się „właściwej redakcji tekstów szkolnych” na temat Namibii i organizacji Arafata, natomiast nie uchwalono rezolucji amerykańskiej, która nieśmiało przypominała o celowości „swobodnego przepływu informacji i idei”.

Teraz pod patronatem UNESCO szykuje się nowy bardzo kosztowny spektakl *Son et Lumière* w Paryżu. Światowa Konferencja w sprawie Palestyny ma się zebrać w stolicy Francji, chociaż:

a) rząd francuski jest jej przeciwny, bowiem jest przekonany, iż nic pożytecznego z niej nie może wyniknąć;

b) żadne państwo demokratyczne, w tym Francja czyli gospodarz, nie weźmie w niej udziału;

c) najbardziej zainteresowane państwo, to znaczy Izrael, jest z niej wykluczone.

Opozycja Francji może okazać się nieskuteczna, jako że UNESCO ma statut eksterytorialny i ma prawo organizować takie imprezy, jakich większość państw ONZ sobie zawinszuje. Impreza ma więc od początku charakter wyłącznie propagandowy. Wystarczy poznać „naukowy” charakter 8 (słownie ośmiu) regionalnych seminariów przygotowawczych do konferencji paryskiej, które odbyły się w luksusowych na ogół miejscowościach z udziałem, a jakże, poważnych „ekspertów”...

Przedsmak tego czym będzie konferencja palestyńska dała konferencja namibijska, która odbyła z końcem kwietnia, także w Paryżu. Przez 5 dni 130 delegacji wylewało kubły pomysł na USA, Afrykę Południową i oczywiście Izrael. Delegacje zachodnie, w tym przedstawiciele „grupy 5” (USA, Wielkiej Brytanii, Francji, RFN i Kanady), przygotowującej jakieś rozumne rozwiązanie sprawy Namibii, figurowały na zasadzie obserwatorów i... nie zabrały nawet głosu.

Ambasador USA przy UNESCO (także) pani Jean Gerard stwierdziła żałobnie, iż „jest tragedią, że UNESCO nie jest w stanie głosić idei, które leżą u źródeł jej narodzin”. Innego zdania był oczywiście pan Mahtar M'Bow, dyrektor generalny UNESCO. Pan M'Bow, kolega w wadze i w uposażeniu pana Hugo Gobbi, był zadowolony i pochwalił „ducha współpracy i wzajemnego zrozumienia”, który pozwolił pomyślnie (!) zakończyć konferencję. Po czym spokojnie odnotował, że 9-ciu spośród 47-iu wyrzuconych z Francji dyplomatów-szpiegów sowieckich należało do personelu UNESCO lub misji ZSSR przy UNESCO.

W 1982 roku 49 z 88 posiedzeń Rady Bezpieczeństwa poświęconych było wyłącznie Izraelowi. Inaczej mówiąc, ani jedno posiedzenie nie zostało poświęcone Afganistanowi czy Wietnamowi, a za to 55 % plag gnębiących ludzkość zostało przypisane Izraelowi. Wiem, że znowu ktoś napisze, że jest „niemile zaskoczony”, a ktoś inny oskarży mnie o występowanie się Mossadowi, ale nie mogę nie przytoczyć faktu, iż Zgromadzenie Ogólne ONZ, jeżeli przejdzie do historii, to przede wszystkim dlatego, że 15 lutego 1980 roku większością 88 głosów przeciw 22, przy 40 wstrzymujących się, uznało za nielegalny i niebyły układ z Camp David, jedyny traktat o pokoju na Bliskim Wschodzie. Nie jest to nadużycie, jest to obłąkanie. I początek samobójstwa instytucji, z którą świat wiązał tyle nadziei.

*Żle i drogo*

To wszystko upoważnia mnie do sformułowania dwóch refleksji.

Po pierwsze, kilka „Afryk Południowych”, to znaczy także

Izrael i Chile, jakakolwiek byłaby ich wina i jak bardzo zastęgiwałyby na powszechne i publiczne potępienie, nie powinno odwracać uwagi „parlamentu świata” od tego, że wojska sowieckie maszerują przez Afganistan, że Kubańcy okupują Angolę i Etiopię, że oszalały iman-Iran rozstrzelał w ciągu 3 lat więcej ludzi niż Afryka Południowa od chwili jej powstania, że Irak czy Syria wymordowały więcej własnych synów niż wszyscy Pinochetowie razem.

W 1982 roku, bez wliczania drobiazgów, zanotowano 4 wojny: Iran-Irak, Izrael w Libanie, Falklandy i Czad. W ani jednym przypadku sparaliżowana i wymanipulowana ONZ nie była w stanie nie tylko pomóc, ale choćby naprawę uczestniczyć w rozwiązywaniu konfliktu. Czy trzeba w ogóle przypominać, że to nie tylko bez, ale nawet *wbrew ONZ-owi* doszło do umowy w Camp David i do pierwszego w historii pokoju żydowsko-arabskiego?

Prawa człowieka w Cisjordanii czy Namibii nie schodzą z agendy ONZ. Kto może mi przytoczyć jedną choćby debatę zakończoną potępieniem ludobójstwa w Kambodży, gułagu w bloku wschodnim, masakry w Indiach, czy exodusu z Nigerii? Przez lata całe nie było dnia w ONZ bez potępienia amerykańskiej interwencji w Wietnamie. Kto może mi zacytować jedną uchwałę ONZ potępiającą Wietnam za exodus miliona *boat-people* lub agresję i okupację Kambodży i Laosu?

Przedstawiciel NRD, zamurowanego kraju, określił bardzo wyraźnie program bloku wschodniego na całą możliwą do przewidzenia przyszłość ONZ. Powiedział on: „Sytuacja w Afryce Południowej, Chile i na terytoriach okupowanych przez Izrael stanowi gwałt na prawach człowieka, wyrządza szkodę przyjaznym stosunkom między narodami i zagraża pokojowi”. Na tej samej sesji Chile potępione zostało jako „państwo dyktatury wojskowej”. Dlaczego, pytam, nikt w ONZ nie uchwalił takiego samego potępienia dla innego państwa dyktatury wojskowej, nie w Ameryce Łacińskiej, a w sercu Europy?

Po drugie warto się zastanowić, ile nas wszystkich ta ogłupiająca zabawa kosztuje. ONZ zatrudnia 46.000 pracowników w 24 krajach, w czym 13.000 (z czego 6.000 w Nowym Jorku) pracuje w sekretariacie generalnym. Ojcowie ONZ wzorowali się na amerykańskim modelu administracyjnym, najbardziej wydajnym i najwyżej płatnym wówczas na świecie. Założeniem było skoncentrowanie w sekretariacie generalnym, jeżeli nie w całym ONZ, ludzi o bardzo wysokich kwalifikacjach, fachowców zdolnych do oderwania się od zależności narodowych czy ideologicznych i zdolnych do wejścia w służbę wyłącznie szerokich, nieegoistycznych celów ponadnarodowych.

Wynik jest zadowalający wyłącznie w sferze płac. Pracownicy ONZ pobierają dziś pensje o 35% wyższe od porównywalnych szczebli administracji amerykańskiej. Niestety, ta nadwyżka nie przyczyniła się do poprawy poziomu i jakości personelu. Wprost przeciwnie: im wyższa płaca, tym niższe usługi, tym gorsza, a co

ważniejsze bardziej podejrzana wydajność. Nawet najwyżsi urzędnicy ONZ są coraz bardziej na usługach nie ONZ i idei ponadnarodowej, a swoich rządów, jeżeli nie wprost swoich wywiadów.

Związek Sowiecki jak zwykle przoduje. Arkady Szewczenko, były zastępca sekretarza generalnego ONZ, opowiedział po wybraniu — w towarzystwie pewnej blondynki — wolności (pisałem kiedyś o nim w *Kulturze*), że spośród około 300 podległych mu urzędników z kwoty sowieckiej, tylko kilku pracowało naprawdę dla ONZ, inni brali instrukcje nie od niego, a od rezydentury KGB w Nowym Jorku.

A ile oni nas kosztują, ci wszyscy agenci KGB i innych UB na etatach ONZ? Płace zaczynają się od 13.000 dolarów rocznie dla gońca do 165.000 dolarów rocznie (plus 22.500 na wydatki, willa, samochód z szoferem itd.) dla sekretarza generalnego. W całych Stanach Zjednoczonych tylko jeden człowiek ma wyższe uposażenie od sekretarza generalnego ONZ. Jest nim prezydent USA.

Trzydziestu funkcjonariuszy ONZ zarabia ponad 100.000 dolarów rocznie, to znaczy więcej niż ministrowie rządu USA. Pracownicy ONZ (nie dotyczy to Amerykanów w USA) nie płacą podatków, ściągana jest tylko „składka pracownicza”, odprowadzana z powrotem do kasy ONZ. Z bardzo nielicznymi wyjątkami osób, które mogłyby uzyskać wysokie posady w businessie prywatnym, wszyscy pracownicy ONZ zarabiają lepiej, a w przypadku krajów komunistycznych i trzeciego świata nawet nieporównanie lepiej (do 10 razy!), niż zarabialiby na podobnych posadach w ich własnych krajach, zwłaszcza, że dochodzą do płacy podstawowej dodatki za „przesiedlenie”, dodatki rodzinne (1.200 dolarów na żonę i 700 za każde dziecko), stypendia szkolne (2.250 dolarów), sześć tygodni wakacji, gratisowy bilet *aller-retour* raz na dwa lata do domu, kafeteria, gdzie ceny są trzykrotnie niższe od najbliższego McDonalda, wykwinna restauracja gdzie *côte de veau fines herbes* kosztuje 8,50 dolarów, zamiast 25 dolarów w restauracji tuż obok, no i wysoka (o 35% wyższa niż w USA) emerytura przy 60 latach, lub 55 na życzenie. Dewizą ONZ jest „przekuwajmy miecze na lemieszce”. Przeważnie, jak mi się wydaje, chodzi o przekuwanie w złoto.

Nic dziwnego, że w tej bonanzynie rotacja kadr jest niewielka, nie przekracza 10% rocznie, a nawet mniej, im wyżej na drabinie płacowej. Nic dziwnego także, że rządy desygnujące pracowników na zasadzie tzw. kwoty narodowej (dotyczy to zwłaszcza krajów komunistycznych) wysyłają swoich ludzi na zasadzie kontraktów o ograniczonej ważności czasowej, tak aby można ich było zawsze szantażować wycofaniem. Z tego zestawienia wynika jasno, iż po to aby rotacji uniknąć, „niezależni” urzędnicy ONZ skłonni są uczynić bardzo wiele koncesji w sumieniu i w działaniu i ulegają oni raczej presji swych rządów, KGB, CIA itp., aniżeli szczytnym hasłom i powołaniu ponadnarodowemu.



*Ani pożytek, ani przyjemność*

Nie warto nawet udowodniać katastrofalnych (dla idei ONZ, nie dla urzędników) skutków takiej sytuacji. 300 milionów dolarów budżetu ONZ na *economic research* zostały wymanipulowane tak, aby narzucić program zwany „Nowym Międzynarodowym Porządkiem Ekonomicznym”, swoistym NEP'em, sporządzonym na propagandowy użytek trzeciego świata przez ZSSR i jego ludzi. Dyrektor Departamentu Przemysłowego, jednej z agend gospodarczych ONZ, przetrzymał przez dwa lata niezależne studium dotyczące przemysłu stalowego, albowiem stawiało ono diagnozę nie odpowiadającą marksizującej ideologii trzecioświatowej.

Ekipa kierowana przez prof. Wasyla Leontiewa z New York University, laureata ekonomicznej nagrody Nobla, opracowała dla ONZ ekspertyzę na temat „Przyszłości Gospodarki Światowej”. Pewien sowiecki urzędnik sekretariatu ONZ w Nowym Jorku sfałszował, zwyczajnie mówiąc, jego treść, tak aby dane były przychylniejsze dla obrazu ZSSR. Prof. Walter z tego samego uniwersytetu zerwał współpracę z ONZ, albowiem, jak stwierdził, „nie poznaję swej pracy z chwilą jej publikacji”. P. Krisznamurti, który nadzorował badania prof. Waltera, wcale się nie wstydził przyznać, iż zmieniał treść jego opracowania, tak aby „odzwierciedlało ono różnice w poglądach między ekonomistami Zachodu i trzeciego świata”.

Tendencja manipulacyjna zmierzająca do tego, aby ONZ mówiła nie to co jest prawdą, a to co większość chce słyszeć, nie ograniczała się do prac naukowych. Piętnaście dzienników (w tym kilka szalenie szanowanych) z piętnastu krajów brało pieniądze z budżetu ONZ, (432.000 dolarów w 1981 roku) za drukowanie suplementów reklamujących potrzeby i poglądy gospodarcze trzeciego świata, ale zawsze w kontekście odpowiedzialności i winy wyłącznie krajów zachodnich, nawet jeżeli, tak jak np. Norwegia, nigdy nie posiadały one kolonii. Sekretariat generalny ONZ przyjął półtora miliona dolarów ofiarowanych przez jakiegoś dziwnego japońskiego przemysłowca, z przeznaczeniem na cele propagandy trzecioświatowej, choć karta Narodów Zjednoczonych formalnie zabrania przyjmowania funduszy i instrukcji ze źródeł zewnętrznych.

Ponówmy pytanie: kto za to wszystko płaci i odpowiedzi udzielmy: my sami. Budżet funkcjonowania ONZ (bez programów specjalnych) składający się w 80% z funduszu płac, wyniesie w 1983 roku 720 milionów dolarów, płaconych faktycznie z podatków obywateli 157 państw członkowskich. W istocie Europa zachodnia pokrywa 27% budżetu ONZ, USA — 25%, a ZSSR tylko 12%, czyli tyle mniej więcej co Japonia, a mniej niż Zachodnie Niemcy i Francja razem.

Ambasador szwedzki w ONZ zauważył, że budżet ONZ równa się cenie 7 nowych bombowców strategicznych i że wartość po-

żywki dla psów i kotów sprzedawanej rocznie w USA (ponad 3 miliardy dolarów) sześciokrotnie przewyższa wydatki ONZ. No i co z tego, pytam Jego Ekszelencję? Z bombowców jest pożytek, może się ich Moskwa nastraszy, psy i koty to przyjemność dla ludzi, dla niektórych ostatni przejaw ludzkich uczuć. A jaki — poza sferą ambasadorów — jest pożytek z ONZ, nie pytając już nawet o przyjemność?

Publikacje ONZ, w łatwo zrozumiałym impulsive samoobrony, informują nas, że budżet policji nowojorskiej jest większy od normalnego budżetu ONZ. No i co z tego, powtarzam pytanie. Policja nowojorska zwalcza i aresztuje przestępców, prowadzi pożyteczną dla społeczeństwa robotę. Czy mógłby ktoś wyobrazić sobie Nowy Jork bez policji? A jakie przestępstwa potrafiła zwalczyć ONZ? Kiedy, gdzie? Czy można wyobrazić sobie świat bez ONZ? Można.

Jeden obywatel USA płaci rocznie 4,1 dolara na ONZ, RFN — 4,6, a obywatel ZSSR tylko 0,6 dolara. A kto korzysta z ONZ, dla kogo stosunek kosztów - korzyści kształtuje się lepiej?

*Honorarium do podziatu*

Nie jest to więc najlepszy interes dla krajów zachodnich, które płacą dużo, ale dostają mało. Ze 157 głosów w ONZ, Zachód dysponuje w zasadzie około dwudziestoma, w tym 10 z EWG, no i Izraela. Ale i ta grupa jest podzielona. Trzy kraje skandynawskie, Norwegia, Dania i Islandia, chociaż należą do NATO, solidaryzują się często z neutralną Szwecją, obecnie, znowu, pod premierem Palme, bardziej trzecioświatową niż sam trzeci świat. O Grecji lepiej nie mówić. Ale i bez Palmego Zachód był jakby sparaliżowany sowiecką i trzecioświatową retoryką. Zamiast podjąć ją i odpowiadać na ataki, Zachód tak się zachowuje, jakby rzeczywście miał kompleks winy za wszystkie plagi świata. Za każdym razem kiedy nieśmiało decyduje się wytknąć niewielkie uchybienia ZSSR w dziedzinie poszanowania praw człowieka, musi gwałtownie potępić Salwador czy Gwatemalę.

Nawet USA poddały się tej mechanice. Dziś już nawet Waszyngton uważa, iż nie powinien sam jeden przedstawiać żadnego projektu rezolucji na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, a starać o kilku innych, mniej skompromitowanych w trzecim świecie sponsorów.

Z ZSSR sprawa ma się dokładnie wprost przeciwnie. Głosują z nim na ogół, z nielicznymi nader wyjątkami, kiedy już nie można inaczej — np. po inwazji Afganistanu — nie tylko jego satelici i klienci, jak np. Angola, Kuba, Mozambik, Etiopia czy Wietnam, ale także cała masa (na ogół 92) krajów, którym w większym stopniu chodzi o pohańbienie USA i Zachodu w ogóle, a w mniejszym o poparcie ZSSR, co do którego prawdziwych intencji nikt nie ma złudzeń.

Wynik jest fantastyczny. W ciągu sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w roku 1981 stopień poparcia dla rezolucji wniesionych przez ZSSR sięgał 85 %, w porównaniu z 25 % dla USA. Izolacja Zachodu jest więc wyraźna, przy czym przeciwko USA głosowały systematycznie także kraje, które żyją wyłącznie dzięki pomocy amerykańskiej. Nawet Pakistan, Singapur, Malajza czy Indonezja rzadko popierają USA, nie mówiąc już o najbardziej antyamerykańskim konsumencie amerykańskiej pomocy, jakim są Indie. Znowu nic dziwnego: w braku odważnej i godnej zachodniej riposty niełatwo jest oprzeć się naciskowi czy szantażowi ZSSR, działającemu sprytnie przede wszystkim poprzez Kubę, a dziś także Nikaraguę. Tylko Burma zdobyła się kiedyś na akt odwagi. „Są tacy wśród nas, powiedział jej delegat na zebraniu trzeciowiatowców, którzy chcą nas wykorzystać dla realizacji swoich wielkomocarstwowych celów. My wykorzystacie się nie damy”. I poszli sobie...

Zachód nie może pójść sobie z ONZ. Co powinien wobec tego zrobić? Płacić musi, przede wszystkim dlatego, że podpisał taką umowę, a umowy, przynajmniej niektóre, szanować trzeba. Choć trudno znaleźć inne argumenty za przynależnością do ONZ, można ten stan rzeczy starać się zmienić. Nie ma żadnego powodu, aby wobec niektórych choćby problemów Zachód stawał podzielony. Były przecież sytuacje, w których zjednoczony Zachód potrafił wykazać, że nie wszystkie pieniądze zainwestowane w ONZ należy uznać za stracone. Przykładem jest choćby właśnie Komisja Praw Człowieka w Genewie, której większość zachodnia, wspomagana przez niektóre „niezachodnie”, ale dobrze zainspirowane kraje, odrzuciła faktycznie pseudo-raport Gobbiego i utrzymała sprawę polską na porządku dnia. ONZ może także być niewątpliwie przydatnym, choć bardzo kosztownym forum, na którym, bez obawy o prasowe tzw. niedyskrecje, mogą spotykać się ludzie szczerze się poza tym opluwający, jeżeli nie wprost nienawidzący, np. sowiecki Gromyko i izraelski Szamir.

A w ogóle wystarczyłoby często tylko nieco odwagi i poczucia godności, aby przełamać terror. Kiedy bardzo dziwna koalicja, złożona m.in. z tak miłujących postęp i demokrację krajów jak m.in. Iran, Kuba i Algieria, zaproponowała aby usunąć Izrael w ogóle i raz na zawsze z ONZ, Stany Zjednoczone spokojnie zakomunikowały, iż one także, oraz ich 25 % budżetu ONZ, opuszczają to grono. I to wystarczyło. Oczywiście, nie zawsze można i trzeba grozić wyjściem za drzwi, ale zawsze można i trzeba odpowiedzieć na szantaż czy choćby zniewagę. Jeżeli wielkie demokracje odzyskują godność, to bardzo wiele małych państw zmienia tradycyjny front jedności z ZSSR. Więcej — towarzystwo Rosji i Mozambiku zacznie być coraz bardziej żenujące.

Nie wszystko na świecie zależy od USA czy Zachodu w ogóle. Coraz więcej spraw dzieje się bez ich udziału. Są jednak sytuacje, które stanowią dolną granicę dymisji i nieaktywności świata demokratycznego. Inaczej data wyznaczona przez Orwella sprawdzi się na następnej sesji ONZ.

I tu, proszę Państwa, dochodzimy do punktu wyjścia. P. Hugo Gobbi, zastępca sekretarza generalnego ONZ, zarabia rocznie 125.000 dolarów, nie licząc zwrotu wydatków reprezentacyjnych. Na opracowanie raportu w sprawie sytuacji w Polsce wyasygnowano z budżetu ONZ 28.100 dolarów plus 5.700 dolarów na koszt *research'u*.

Podliczmy to wszystko. P. Gobbi poświęcił pracy nad raportem trzy miesiące (grudzień 1982, styczeń i luty 1983), co kosztuje 3/12 jego rocznych dochodów, to znaczy ok. 35.000 dolarów plus 34.000 dolarów kosztów rzeczowych. Razem niby-raport w sprawie Polski kosztował nas wszystkich 70.000 dolarów.

Jest to zwyczajna kradzież. Protestuję. A zarazem polecam mój warsztat. Gotów jestem pisać raporty dla ONZ, znacznie lepsze i znacznie taniej.

*Leopold UNGER*

Pisane 25 kwietnia 1983 r.

P.S. Swój „Raport o stanie wojennym” Marek Nowakowski pisał faktycznie za darmo, ryzykując ponadto więzieniem. P. Gobbi napisał swój raport za bardzo dużo pieniędzy, nie ryzykując niczym, nawet nie posadą. Proponuję, aby raport Nowakowskiego dołączyć do raportu Gobbiego i aby obaj panowie podzielili po połowie już otrzymane honoraria. Wydając Nowakowskiego *Kultura* podkreśliła, iż drukuje go „bez wiedzy i zgody autora”. Bardzo bym chciał, aby mój raport o raporcie Gobbiego doszedł do wiedzy autora. Oraz tych, którzy mu za jego raport zapłacili. Ja też jestem gotów do podzielenia się z Gobbiem moim i jego honorarium.

*L. U.*

## Polska i ZSSR z perspektywy Białego Domu

Ryszard PIPES, sowietolog i profesor historii na Uniwersytecie w Harvardzie, urodził się w Cieszynie w roku 1923. Ojciec jego w czasie pierwszej wojny światowej walczył jako oficer w Pierwszej Brygadzie Józefa Piłsudskiego i został odznaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami. Po przeniesieniu się z rodzicami do Warszawy młody Ryszard Pipes uczęszczał do gimnazjum Kreczmara w Warszawie. Rodzina opuściła Polskę w miesiąc po zajęciu stolicy przez Niemców. Mając lat siedemnaście Pipes przyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie ukończył Uniwersytet Cornello. W czasie trzyletniej służby w wojsku amerykańskim opanował biegle rosyjski i poświęcił się studiom nad historią Rosji i Związku Sowieckiego. Doktoryzował się

w Harvardzie i tam objął katedrę historii. Był dyrektorem ośrodka badań rosyjskich. Uchodzi obecnie za jednego z czołowych sowietologów amerykańskich.

Rozmowę z profesorem R. Pipesem  
prowadzi Jan Nowak

NOWAK: — *Panie Profesorze — w ciągu dwóch najbardziej dramatycznych lat w powojennej historii Polski — 1981 i 1982 — zajmował Pan wysokie stanowisko w Państwowej Radzie Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych w Białym Domu. Stykał się Pan z prezydentem Reaganem. Podlegały Panu sprawy polityki wobec Polski i Związku Sowieckiego, wywierał Pan wpływ, który w kołach Polonii oceniany jest z uznaniem. Jak patrzy Pan obecnie, po zakończeniu swego dwuletniego urlopu akademickiego i po powrocie do Harvardu, na te dwa lata swego życia spędzone w Białym Domu?*

PIPES: — Było to dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie. Całe życie spędziłem albo jako student albo jako uczoney na uniwersytecie. Po raz pierwszy miałem okazję nie tylko pisać o polityce, ale brać w niej czynny udział, a w ważnych momentach wywierać pewien wpływ. Było to tym bardziej interesujące, że prezydent Reagan zmienił dotychczasowe stanowisko Ameryki wobec Związku Sowieckiego. Na przykład ani w roku 1956 ani w 1968 Stany Zjednoczone nie zrobiły niczego, by zapobiec inwazji sowieckiej na Węgrzech i w Czechosłowacji. Żadne sankcje nie zostały wtedy ani zapowiedziane, ani wprowadzone. Reagan był pierwszym, który nie chciał przejść do porządku dziennego nad interwencją sowiecką, choć w Polsce nie doszło do bezpośredniej inwazji.

N.: — *Precedensem była jednak reakcja Cartera na inwazję Afganistanu.*

P.: — Słusznie. Różnica polega jednak na tym, że w momencie agresji Afganistan nie znajdował się w bloku sowieckim. W wypadku polskim polityka Reagana przełamwała doktrynę Breżniewa. Do tego czasu Zachód jakoś milcząco uznawał przynależność Europy wschodniej do sowieckiej strefy wpływów.

N.: — *Był Pan w Białym Domu, kiedy w marcu 1981 roku zauważone zostały już po raz drugi sowieckie przygotowania do inwazji Polski. Czy sądzi Pan, że była to tylko demonstracja mająca na celu wywarcie nacisku na społeczeństwo i władze PRL,*

*czy też zamiar interwencji wojskowej został w ostatniej chwili poniekąd pod presją Stanów Zjednoczonych i Aliantów?*

P.: — Nie myślę, by koncentracja wojsk mogła być środkiem nacisku na PRL. Władze polskie nie prowadzą wywiadu w Rosji i niewiele wiedzą, co się dzieje po drugiej stronie granicy. Potrzeba do tego obserwacji przy pomocy satelitów. Ludność i kierownictwo partyjne w Polsce dowiadywały się o sowieckich przygotowaniach z radia zachodniego. Rosjanie byli gotowi do inwazji, ale cofnęli się przed ostateczną decyzją, być może obawiając się reakcji Zachodu, gdy się zorientowali, że przedsięwzięcie może się okazać zbyt kosztowne. Zwłaszcza gdyby doszło do oporu i masowego rozlewu krwi. Bali się, że mogło to zniszczyć zupełnie *détente*, która jest im potrzebna.

N.: — *Jak wiadomo jeszcze przed grudniowym pogromem prezydent USA cofnął embargo na eksport zboża do Rosji wprowadzone przez Cartera po inwazji Afganistanu. Założmy, że w odpowiedzi na to co się stało w grudniu zostałyby zastosowane wszelkie środki nacisku wobec Rosji. A więc embargo zbożowe, zawieszenie budowy rurociągu gazowego w Europie i solidarne wstrzymanie kredytów dla Rosji — czy mogło to być skłoniciem Kreml do bardziej tolerancyjnej linii wobec Polski?*

P.: — Weźmy te trzy możliwości po kolei. Embarga nie dało się utrzymać, bo odmówili przyłączenia się do niego trzej inni dostawcy zboża: Kanada, Argentyna i Australia.

N.: — *Czy jednak te trzy kraje mogły łącznie pokryć cały olbrzymi sowiecki deficyt 40 mln ton?*

P.: — Mogły i pokrywały. Jedynym rezultatem embargo byłaby utrata rynku na rzecz konkurentów z ogromną stratą dla farmerów amerykańskich, którzy i tak są już w trudnym położeniu. Stało przed nami pytanie, czy embargo na zboże bardziej zaszkodzi interesom amerykańskim, czy sowieckim. W tym wypadku nie było wątpliwości.

Wstrzymanie budowy rurociągu oznaczałoby dla Rosji utratę na przyszłość dopływu twardej waluty w rocznej wysokości 10 miliardów dolarów — nie mówiąc o korzyściach natury strategicznej. W połączeniu z wstrzymaniem dopływu kredytów zachodnich dla Rosji byłby to nacisk tak dotkliwy, że być może skłoniłby Moskwę do większej tolerancji wobec Polski. Niestety, jak wiadomo, nasi europejscy partnerzy sprzeciwili się zastosowaniu tych środków presji, które mogły okazać się skuteczne.

Europa zachodnia bardziej niż Waszyngton skłonna jest do milczącego uznawania w imię polityki odprężenia po-jałtańskiego *status quo*.

N.: — Czy Pan jednak nie sądzi, że zniesienie embarga zbożowego podyktowane było przede wszystkim obietnicami przedwyborczymi i obawą utraty głosów farmerów?

P.: — Nie. Wystarczy porównać sowiecki import zboża przed i po inwazji Afganistanu i po wprowadzeniu naszego embarga. Rosja sprowadzała te same ilości zboża, tyle, że kupowała je gdzie indziej.

N.: — Jak Pan ocenia skuteczność nacisku gospodarczego wobec Polski?

P.: — Najdotkliwiej działa zablokowanie rokowań w sprawie rozłożenia spłaty długów polskich gwarantowanych przez rząd zachodnie, bo to zamyka możliwości zaciągania nowych kredytów. Wprawdzie reżym stara się stwarzać pozory, że sankcje nie odnoszą skutku, więc nie mają sensu, ale rząd USA zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że tak nie jest.

N.: — Czy widzi Pan realistyczne podstawy do nadziei na przyszłość? Czy należy je wiązać z rozwojem sytuacji w samej Rosji, czy z natężeniem oporu wewnętrznego w Polsce, czy wreszcie z naciskiem gospodarczym państw zachodnich?

P.: — Zmiana na lepsze może nastąpić, jeśli te wszystkie czynniki będą ze sobą współgrały. Jednakże *à la longue* zmiany w Polsce są uzależnione od przeobrażeń systemu w ZSSR. Zależać będą od nadchodzącego kryzysu w Związku Sowieckim i nacisku społecznego, który wywoła on w samej Rosji i poza jej etnicznymi granicami ze strony innych narodowości w ZSSR i w Europie wschodniej.

N.: — A więc uważa Pan, że system sowiecki może ulegać zmianom.

P.: — Musi się zmienić po prostu dlatego, że w obecnym stanie nie funkcjonuje, co osłabia rząd zarówno na wewnątrz jak i na zewnątrz.

N.: — Biorąc pod uwagę zdecydowany opór biurokracji, nie widać w jaki sposób może dojść do jakiejś reformy. Czy Pan przewiduje ewolucję ustroju czy wybuch rewolucyjny?

P.: — Jeśli ewolucyjne przemiany okażą się niemożliwe — prędzej czy później prawdopodobnie dojdzie do rewolucji. Reżym carski przed 1905 rokiem także przeciwstawiał się dalej idącym reformom i wiemy, czym się to skończyło.

N.: — Rosja carska była autokracją, a nie państwem totalnym. Ruch rewolucyjny mógł działać pod ziemią. Obecnie taki ruch w ZSSR nie istnieje. Na Zachodzie panuje opinia, że ludność Związku Sowieckiego jest zbyt uległa, by mogło dojść do powtórzenia się roku 1905 i 1917.

P.: — Był także bunt marynarzy w Kronsztadzie, w 1921 roku, który zmusił Lenina do wprowadzenia NEP-u.

N.: — Czy mógłby Pan sprecyzować bliżej swoje przepowiadanie kryzysu w Rosji?

P.: — Na razie opór ludności w ZSSR jest pasywny i objawia się w spadku wydajności pracy. Równocześnie niewydolność systemu powoduje przestoje i niewykorzystanie istniejących mocy produkcyjnych. Produkcja rośnie coraz wolniej i jeśli nie dojdzie do reform — wzrost może spaść do zera i nawet poniżej zera. Koszta produkcji stale rosną, a rząd wciąż przesuwają kapitały inwestycyjne do sektora wojskowego.

N.: — Krótko mówiąc, przewiduje Pan powolny schyłek gospodarczy i stałe pogarszanie się warunków życiowych.

P.: — Widzę dokładnie to, co przewidywał Marks. W danym wypadku nadbudowa, czyli system polityczny, hamuje rozwój bazy ekonomicznej. Ustrój polityczny staje się w tych warunkach anachronizmem. Analiza Marksa nie sprawdziła się w odniesieniu do kapitalizmu. Okazało się, że demokracje przystosowują się łatwiej do zmieniających się warunków. W ustroju demokratycznym wciąż przechodzimy małe rewolucje, które uniemożliwiają system sowiecki.

N.: — Jak Pan ocenia Andropowa w porównaniu z jego poprzednikiem?

P.: — Muszę się przyznać, że oczekiwałem większej aktywności i energii. Jak dotychczas jakoś jej nie widać. Po śmierci Breżniewa dużo się mówi w Rosji o reformie ekonomicznej, a nic się właściwie nie robi.

N.: — *Czemu Pan to przypisuje? Czy właśnie obawie przed buntem aparatu?*

P.: — *Potrzebne są reformy na wielką skalę, które może narzucić tylko człowiek bardzo dużego kalibru, o wiele silniejszy niż Andropow. Obecnie kierownictwo po prostu brnie dalej, usiłując utrzymać z dnia na dzień obecny stan rzeczy. Propaganda wzywa do zacieśnienia dyscypliny, ale nie można dziś zastąpić bodźców do pracy terrorem, bo na to nie pozwala brak sił roboczych. Wykwalifikowanego robotnika niełatwo dziś wyrzucić z pracy, nawet jeśli jest pijakiem, bo nie ma go kim zastąpić. W rezultacie nie ma ani stalinowskiego terroru, ani bodźców do pracy, które może stworzyć tylko zmiana systemu i rzucenie na rynek większej ilości towarów konsumpcyjnych, a więc ograniczenie zbrojeń. A tego oni się boją. Tendencja schyłkowa może potrwać lata. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy i w jakiej formie dojdzie do podstawowych zmian, ale dojść do nich musi. Jest to tylko kwestia czasu. Robotnik i rolnik w Rosji odnoszą się do swego rządu tak jak w czasach niewolnictwa chłop rosyjski odnosił się do swego właściciela.*

N.: — *Te słabości wewnętrzne w ZSSR, o których Pan mówi, nie zdołały jednak powstrzymać postępu sowieckiej ekspansji, jak o tym świadczy chociażby to, co dzieje się obecnie w Salwadorze. Podbój prowadzony przez pośredników, w tym wypadku przez Kubę i Nikaragwę trwa dalej, i zagrożona jest już cała Ameryka Środkowa. Czy widzi Pan możliwości powstrzymania tej metody podboju bez uciekania się do środków wojskowych i ogólnej konfrontacji?*

P.: — *Problem polega na tym, że w Ameryce Kongres i opinia publiczna obawiają się powtórzenia drugiego Wietnamu. Natomiast Europa uważa, że to co się dzieje w Salwadorze i gdzie indziej jest spontaniczną i rodzimą rewolucją. Francja udziela nawet Nikaragui ograniczonej pomocy. Sowieciom udało się przekonać zachodnią opinię publiczną, że działalność partyzantki w Ameryce Łacińskiej wyrasta z autentycznych konfliktów społecznych i Rosja niewiele ma z tym wspólnego. Jest to dla nas wielki problem.*

N.: — *Rozumiem. Nie widzę jednak żadnej koncepcji strategicznej, która — jak mi się wydaje — powinna polegać na wykorzystywaniu wewnętrznych słabości ZSSR, by tą drogą ograniczyć kosztowne plany ekspansyjne.*

P.: — *Właśnie administracja Reagana jest pierwszą, która podjęła inicjatywę w tym kierunku. Nacisk ekonomiczny, przede wszystkim próba wstrzymania subwencjonowanych kredytów i wywozu nowoczesnej technologii mają na celu stworzenie dodatkowego elementu narzucającego konieczność wewnętrznej reformy.*

N.: — *Tak, ale w praktyce ten nacisk jest dotychczas bardzo ograniczony.*

P.: — *Jednak Rosjanie zawiedli się w swoich oczekiwaniach dopływu olbrzymich zachodnich kredytów. Spodziewali się miliardów dolarów. Nie dostaną ich.*

N.: — *Będą ciągnąć dziesięć miliardów dolarów rocznie z rurociągu gazu ziemnego.*

P.: — *Niestety tak, ale mimo wszystko spodziewali się dużo więcej i spotkał ich zawód.*

N.: — *W rozmowach z ludźmi z Polski spotykam się często z pytaniem: czy aby Ameryka znówu nas nie sprzeda? Reżymowy slogan propagandowy, że Stany Zjednoczone będą broniły Solidarności do ostatniego Polaka pada na podatny grunt doświadczeń ostatniej wojny, a w bliższej przeszłości tzw. doktryny Sonnenfeldta. Polska obawia się koncepcji powstrzymania Rosji, która polegałaby na nowej próbie podziału świata na strefy wpływów, opartego na zasadzie: wy nie wtrącajcie się do spraw Ameryki Łacińskiej, a my przestaniemy się interesować Europą wschodnią. Kissinger chciał, by Ameryka dozbroiła się po to, by móc dogadać się z Rosją z pozycji siły.*

P.: — *W czasie moich dwóch lat w Białym Domu nigdy nie zauważyłem tego rodzaju tendencji. Zaprzecza temu wszystko, o czym dotychczas mówiliśmy. Nie wierzę, by polityka Reagana mogła kiedykolwiek pójść w tym kierunku. Dopóki dążenia do hegemonii są wbudowane w sowiecką doktrynę państwową — niebezpieczeństwo, o którym Pan mówi, nie istnieje.*

N.: — *W polityce amerykańskiej wobec tzw. demokracji ludowych obowiązuje zasada dyferencjacji, czyli popieranie procesów pokojowych przemian przez udzielanie pomocy czy też przywilejów handlowych i kredytowych krajom komunistycznym wykazującym tendencje do emancypacji albo liberalizacji wewnętrznej. Na tej zasadzie z pomocy amerykańskiej korzystała Polska za cza-*

sów Gierka, później Węgry i Rumunia, nie mówiąc o Jugostawii. Ale daje się zauważyć inna szkoła myślenia, według której im większe trudności napotyka Rosja w swojej orbicie, tym lepiej. Całą orbitę sowiecką trzeba więc traktować en bloc, nie czyniąc żadnych różnic.

P.: — Wyznawcy takich poglądów stanowią mniejszość i nie mają żadnego wpływu. Myśli tego rodzaju pokutują w niektórych sferach wojskowych.

N.: — Jakie warunki musiałby spełnić reżym, by Stany Zjednoczone pozwoliły na rozłożenie spłaty długów albo na ograniczone w czasie moratorium i dopuściły PRL do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego, co umożliwiłoby dodatkowe kredyty?

P.: — Wydaje mi się, że program Solidarności z lipca ub. roku był realistyczny i należałoby się na nim oprzeć.

N.: — Zachodzi różnica w postulatach Solidarności z lipca ub. roku i postulatach wysuwanych obecnie, po rozwiązaniu Związku. Nie mówi się o przywróceniu Solidarności jako celu na dziś. Wałęsa mówi tylko o pluralizmie związkowym.

P.: — Chodzi nie tyle o nazwę Solidarność, ile o osiągnięcie widocznego *modus vivendi* ze społeczeństwem. Bez jakiegoś współdziałania czynnika społecznego nie da się rozwiązać w Polsce problemów społeczno-gospodarczych. Terrorem niczego nie da się załatwić, a na zewnątrz wytwarza on klimat, w którym jakakolwiek pomoc na rzecz rządu stosującego terror staje się niemożliwa.

N.: — Przejdźmy do innego tematu. Zanim Reagan został prezydentem, był podobnie jak Carter prowincjonalnym politykiem — dobrym gubernatorem zachodniego stanu Kalifornia. Niewiele miał wspólnego z polityką zagraniczną. Mówił Pan nie raz, że prezydent okazuje pewne osobiste zaangażowanie w sprawę Polski. Dziwne, że ten niewielki kraj, który Reaganowi musiał się wydawać odległy i nieznan, zdobył sobie jakieś — bo ja wiem — może nawet emocjonalne zaangażowanie samego prezydenta. Jak Pan to tłumaczy?

P.: — Poznałem Reagana dopiero po wyborach, ale wydaje mi się, że to co się stało w Polsce w roku osiemdziesiątym było dla niego jakąś pozytywną oznaką, że komunizm może ewoluować w kierunku demokracji bez przelewu krwi. Gdy Solidarność pod

naciskiem sowieckim została zmiądzona, był to dla Reagana głęboki wstrząs. Prezydent przejął się wtedy głęboko wypadkami w Polsce i właściwie grudzień, styczeń i luty upłynęły w Białym Domu pod wrażeniem tego, co się działo w Polsce. Polska stała się w jakimś stopniu nadzieją dla reszty świata.

N.: — Był Pan obecny w Białym Domu na prywatnym pokazie filmu *Wajdy „Człowiek z żelaza”*. Jaka była reakcja prezydenta?

P.: — Wiceprezydent Bush z żoną siedział za mną i szepnął mi na początku, że oboje po paru minutach wyjdą, bo on czuje się zmęczony. Siedzieli do końca, bite dwie i pół godziny. Prezydent dzielił się swoimi uwagami ze Spasowskimi, którzy siedzieli obok niego. Ja z nim nie rozmawiałem, ale wiem, że był bardzo poruszony, zwłaszcza końcowym akordem. Reagan jest człowiekiem bardzo uczuciowym, co wbrew utartym pojęciom wcale nie musi mieć w polityce pejoratywnego znaczenia. Instynkt często okazuje się lepszym doradcą niż analiza w stylu *Realpolitik*, wyprana z wszelkich elementów natury moralnej.

N.: — Co Panu najmocniej utkwiło w pamięci z tych dwu lat spędzonych w pobliżu głównego ołtarza? Co było Pana największym przeżyciem?

P.: — Chyba ta noc 13 grudnia, kiedy nadeszła wiadomość o uderzeniu w Solidarność. Zaczęło się od depeszy, że siedziba Solidarności Mazowsze w Warszawie jest otoczona przez wojsko i milicję. Zostałem wezwany do Białego Domu i część nocy spędziłem w pokoju operacyjnym. Był to *weekend*. Prezydent wyjechał do Camp David. Przekazywaliśmy mu na bieżąco, telefonem, wiadomości, które napływały z ambasady w Warszawie i ze wszystkich innych źródeł. Był z nami wiceprezydent Bush, szef sztabu prezydenta Jim Baker, admirał Nance, pełniący wtedy obowiązki doradcy do spraw bezpieczeństwa, admirał Pointdexter i inni. Były to chwile wielkiego napięcia. Dalekopisy wystukiwały wiadomości agencji rządowych i prasowych. Poufne informacje były donoszone przez gońców wojskowych. Wiedzieliśmy, że wszystkie kontakty Warszawy z prowincją zostały odcięte. Następane dni upłynęły pod znakiem Polski.

N.: — Dlaczego reakcja nastąpiła z tak wielkim opóźnieniem? Reagan zabrał głos po raz pierwszy dopiero po 10 dniach, w wilię Bożego Narodzenia, a przemówienia wprowadzające sankcje wygłosił w początkach stycznia. Czy przyczyną tej zwłoki były przeciągające się konsultacje z Aliantami?

P.: — Alianci istotnie zwlekali. Przyczyny zwłoki były jednak przede wszystkim natury technicznej. Trzeba było starannie przestudiować wszystkie możliwości i konsekwencje prawne, polityczne i gospodarcze. Zebranie wszystkich informacji, opinii i podjęcie przez prezydenta ostatecznej decyzji wymagało czasu. Brałem sam udział w przygotowaniu tej listy i wiem, ile pracy było z tym związanej.

N.: — *Dziękuję bardzo za rozmowę.*

## Co dalej, po klęsce i zwycięstwie ?

Jeszcze przed wyborami w RFN Friedrich Zimmermann, minister spraw wewnętrznych, wyświadczył niezamierzoną przysługę Jaruzelskiemu. Zapowiadając, że tereny za Odrą i Nysą zostaną na przyszłość włączone do rozmów ze Wschodem\*, starał się ożywić tutejszy margines polityczny. Ten „narodowy” i odwetowy. Słowa *odwetowy* używam z zastrzeżeniem: idzie co najwyżej o nierealne, platoniczne tęsknoty.

W prasie i wśród polityków podniosły się protesty. Były kanclerz Schmidt zarzucił ministrowi, że postępuje tak, jak gdyby Niemcy pragnęły obszary za Odrą i Nysą naprawdę odzyskać. Obecnej władzy w Polsce pomaga w ten sposób szerzyć strach przed Niemcami i umacniać panowanie nad własnym narodem.

Po wyborach w sukurs Zimmermannowi (z bawarskiej CSU) pośpieszył Alfred Dregger, przewodniczący frakcji CDU-CSU w Bundestagu, a także Strauss. Na liście dezyderatów, sformułowanych przez Straussa podczas rokowań nowej koalicji, widniały podobno identyczne motywy. W chwili gdy piszę nie wiadomo, czy uwzględni je w deklaracji rządowej kanclerz Kohl. W każdym razie nie wygląda na to, by pozostały one przypadkowym ministerialnym potknięciem, czy też jednorazową kokieterią w stosunku do najstarszej generacji wysiedleńców i najmłodszej generacji neo-nazistów.

Chrześcijańska demokracja w Niemczech nigdy nie przełknęła do końca układu w sprawie polskich granic zachodnich.

\* Pisał o tym w „Kronice niemieckiej” Andrzej Chilecki, *Kultura* nr 3/426 (marzec 1983).

Wraz z poprzednią koalicją ratyfikowała go przecież i ona, jednak pojmowała swe stanowisko jako dobrowolne ustępstwo w określonych warunkach. Respektując stale i — trzeba to podkreślić — bez żadnej dwuznaczności wyrzeczenie się siły w regulowaniu konfliktów — nie wyrzekła się równocześnie formuły, która głosi, iż dopiero układ pokojowy wytyczy ostateczne granice między Niemcami a Polską. Nie wzięta też udziału w przypominaniu, a potem w wyjaśnianiu społeczeństwu niemieckiemu, z jakich to właściwie przyczyn definitywna rezygnacja z tamtych terytoriów jest koniecznością polityczną i historyczną. Tymczasem już od dawna najstarsze pokolenia wysiedleńców, doświadczonych osobiście bezpośrednio po wojnie, przestały odgrywać jakąkolwiek rolę instrumentalną w polityce niemieckiej. Ich dzieci i wnuki uległy wielce, jeśli nie wręcz znakomicie udanej integracji. W skali całej Republiki Federalnej — wykazują to różne ankiety — młodzież często już nie wie, o jakie w ogóle obszary czy miasta chodziło lub chodzić by mogło. A jednak członkowie wielkiej partii, mieniącej się chętnie partią ludową i stale akcentującej swój realizm polityczny, znowu jak gdyby kierują zielone światło na ów margines przedwczorajszych frustracji.

O marginesie tym trzeba wiedzieć — ale zarazem ściśle przestrzegać umiaru w jego ocenie. Zielone światło może go w jakimś stopniu ożywić, nie może natomiast odwrócić podstawowych nastrojów społeczeństwa. Byłoby prostactką demagogią, gdyby np. wiązać zwycięstwo Chrześcijańskiej Demokracji w ostatnich wyborach z podobnymi wątkami propagandy. Pragnienia spokoju górują tu nad wszystkim innym, agresja utożsamia się z absurdem, żadnego *Drang nach Osten* na żadnych sztafardach. „A kryzys, a miliony bezrobotnych?” — może spytać ktoś, zasugerowany analogią do sytuacji sprzed hitleryzmu. Analogie mylą. Majaki zewnętrznych kompensat za wewnętrzne trudności to w epoce atomowej — według przeważających opinii tutejszych — kiepska *science fiction*. Nic w historii nie dzieje się *tak samo*. Podobnie jak nic w polityce nie dzieje się „symetrycznie” — co spróbuję wyjaśnić poniżej.

Dla przypomnienia: W jesieni ubiegłego roku upadł rząd tzw. koalicji socjalno-liberalnej (SPD — partii socjaldemokratycznej i FDP — partii liberalnej), sprawujący władzę przez lat trzynaście. FDP związała się z CDU-CSU (tj. z Unią Chrześcijańsko-Demokratyczną i ze sprzymierzoną z nią we wspólnej frakcji parlamentarnej bawarską Unią Chrześcijańsko-Socjalną). Nowa koalicja pod przewodnictwem kanclerza Kohla rządziła prowizorycznie do wyborów, wyznaczonych na 6 marca br., czyli na termin mniej więcej o półtora roku wcześniejszy niż regularny upływ kadencji parlamentarnej. W wyborach tych Unia (tak dla skrótów nazywać będę w dalszym ciągu formację CDU-CSU) otrzymała 48,8% głosów (w stosunku do wyborów z roku 1980 wzrost o 4,3%), SPD — 38,2% (spadek o 4,7%) FDP — 7% (spadek o 3,6%), a partia Zielonych — 5,6%, co pozwoliło jej wejść

po raz pierwszy do parlamentu federalnego (w kilku parlamentach krajowych uczestniczy od dłuższego czasu). Zmienił się więc definitywnie układ sił: Unia wraz z FDP sprawuje rządy — w opozycji znalazła się socjaldemokracja oraz oczywiście partia Zielonych. Spora większość parlamentarna, jaką dysponuje nowy rząd, zapewnia mu szeroką swobodę działania podczas najbliższej, czteroletniej kadencji.

Co — poza zamianą ról między partiami — uderza na pierwszy rzut oka w fizjonomii nowego Bundestagu?

*Po pierwsze:* wewnątrz partii liberalnej (FDP)\*, nurt klasyczny, opowiadający się za możliwie najmniej skrupowaną grą sił rynkowych w gospodarce, wziął górę nad nurtem zmodernizowanym, poszukującym do niedawna, wspólnie z socjaldemokracją, równowagi (*nota bene* w okresie kryzysu coraz trudniejszej) między sprawnym funkcjonowaniem gospodarki a wymogami współczesnego *welfare state*. W tendencji do ograniczania świadczeń społecznych FDP posuwa się dziś dalej niż CDU, przeciwna od kilku lat ich rozbudowie i tradycyjnie związana — przynajmniej w swym tronie kierowniczym — z zamożniejszymi warstwami społeczeństwa. („FDP broni dentystów\*\*”, my — wykwalifikowanych robotników” — miał powiedzieć niedawno jeden z doradców kanclerza Kohla).

Równocześnie tracą wpływy, zarówno wewnątrz FDP, jak przy skomplikowanych rozgrywkach z partnerem w nowej koalicji, zwolennicy kursu, silnie akcentującego prawa obywatelskie w dziedzinie ustawodawstwa i w zakresie wewnętrznej organizacji państwa. Najwyraźniejszym tego przejawem było — jeszcze przed wyborami zresztą — przejście ministerstwa spraw wewnętrznych z rąk FDP w ręce CSU. Słowem, w nowym parlamencie spotykamy inną niż poprzednio FDP.

*Po drugie:* Wejście partii Zielonych upstrzyło obraz Bundestagu nie dlatego, że jej członkowie zjawiają się na posiedzeniach bez krawatów, a za to w swetrach i w jeansach (demonstracyjnie, *pour épater le député*), lecz dlatego, że platforma tego ugrupowania rozmija się zupełnie z podstawowymi założeniami politycznymi, akceptowanymi przez wszystkie dotąd partie w parlamencie. Zieloni zgarnęli w jedno koryto zarówno dawne, jak i aktualne nurty spoza parlamentarnego obszaru: z tzw. pozaparlamentarnej opozycji (APO), z buntów studenckich sprzed lat kilkunastu, z rozczarowań socjaldemokratycznych (wielu zielonych rekrutuje się spośród byłych członków SPD), z różnorodnych inicjatyw ekologicznych, wreszcie z „ruchu pokoju”. Ich program przekroczył od dawna doraźne problemy lokalnej ekologii. Kwestionują potrzebę wzrostu gospodarczego, sprzeciwia-

\* Wobec niemożności zdobycia większości absolutnej przez CDU-CSU, a tym mniej przez socjaldemokrację (trend utrzymujący się od dawna), FDP jest języczkiem u wagi przy zawieraniu się koalicji rządowych.

\*\* Jedna z najlepiej tu zarabiających grup wśród wolnych zawodów.

ją się stosowaniu energii atomowej nawet dla celów pokojowych, występują kategorycznie przeciw stacjonowaniu raket amerykańskich w RFN, niezależnie od mnożenia się raket sowieckich i od wyniku rokowań w Genewie. Pewne opinie tutejsze przypisują ich względny sukces wyborczy zniechęceniu młodzieży do tzw. „partii osadzonych”, (czyli od dawna obecnych w Bundestagu). Tak czy owak nie liczebność Zielonych (w obliczu silnej przewagi bloku rządowego nad opozycją 27 mandatów niczego nie przesądzi), lecz fakt, iż mogą stać się parlamentarną tubą groźnych dla państwa kierunków, zmienia krajobraz polityczny. Lecz jest to temat oddzielny.

Oto więc zmiany, dokonane na powierzchni, widoczne gołym okiem. Jednak istotne konflikty rozgrywają się głębiej. Arytmetycznie zwyciężyła w ostatnich wyborach Unia w koalicji z FDP. W odczuciu społecznym natomiast wybory marcowe wyrażały w mniejszym stopniu to zwycięstwo, niż pieczętowały klęskę socjaldemokracji.

Jeśli kolejne, prawie już „instytucjonalne” sukcesy wyborcze Unii w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dokumentowały społeczne zadowolenie z przemierzanej drogi od powojennej ruiny do wzrastającej *prosperity*; jeśli przejście władzy przez SPD i FDP w roku 1969 wyrastało z atrakcyjnej wizji szerokich reform, a jednocześnie z obietnic stabilizacji i korzyści handlowych na Wschodzie — to wybory ostatnie zgromadziły przy urnach ludzi przestraszonych kryzysem, rozdrażnionych impotencją i jałowymi od dłuższego czasu sporami partii rządowych, a przede wszystkim obrazem skłóconej wewnętrznie socjaldemokracji, ludzi ogarniętych lękiem o asekurację gospodarczą i z troskanych o własny dobrobyt. Ważyły i podpowiadały decyzję wyborczą motywy w pierwszym rzędzie gospodarcze, nie zewnętrzne, jak można było przypuszczać uprzednio w świetle dyskusji o raketach amerykańskich. Typowe wybory „na nie”, częste może gdzie indziej, ale rzadkie w powojennych Niemczech.

Bloki wyborcze Unii i SPD nie posiadają od wielu już lat ostro między sobą zarysowanych granic. Ich środkowe obszary mniej lub bardziej na siebie zachodzą. Przynajmniej od przyjęcia tzw. programu godesberskiego, SPD nie pojmuje się jako partia *tylko* robotników, podobnie jak Unia, od początku swego istnienia, nie jest — jeśli o skład jej członków i wyborców idzie — partią *tylko* pracodawców. (Od pewnego czasu skrzydło o orientacji bliższej obronie interesów pracowniczych znalazło zresztą swe miejsce również w kierownictwie Unii). Bywało i tak, że przemysł, a nawet częściowo wielki przemysł, popierał w pewnych okresach socjaldemokrację (zwłaszcza sprzymierzoną z FDP), widząc w niej siłę, zdolną do skutecznej amortyzacji napięć społecznych. Z drugiej strony oblicza się, że np. wśród członków CDU 38,4% rekrutuje się spośród pracowników, i że wśród członków związków zawodowych (kierowanych najczęściej przez socjaldemokratów) około 40% głosowało w wielu już kolejnych wyborach na Unię. Wszystko to znaczy, że o zwycięs-



twie lub klęsce decydują w rachunku ostatecznym nie stałe klientele wyborcze, lecz właśnie wyborcy o zmieniających się zależności od sytuacji, niekiedy i w ostatniej chwili, preferencjach. Równocześnie świadczą to o znamiennych przesunięciach w strukturze społeczeństwa.

Wiadomo powszechnie, że w RFN, jak i w innych przemysłowych krajach Zachodu, robotnik przestał być upośledzonym proletariuszem. Dochody z własnej pracy, oszczędności inwestowane w trwałe dobra, styl i rozmiar aspiracji materialnych wintegrowały go w rozległą społeczność warstw średnich, gdzie sąsiaduje z rzemieślnikiem, urzędnikiem, kupcem, drobnym przedsiębiorcą czy nauczycielem. W swoim czasie socjaldemokracja niemiecka, zrywając z koncepcją walki klasowej, opowiadając się za gospodarką rynkową, regulowaną tylko najostrożniej przez państwo, przy jednoczesnym szerokim zabezpieczeniu społecznym ludności — wysnuła z tego rozwoju wnioski praktyczne, a potem także programowe. Stopniowo przenikały one do świadomości na owym szeroko pojmowanym „środkowym” obszarze społecznym. Wśród oczywistych, czasem i drastycznych konfliktów między sprzecznymi interesami warstw czy grup, działa tu jednak na co dzień — jest to, być może, tutejszy rys szczególnie — poczucie państwa i społeczeństwa jako całości, a nie jako zestawu bloków, odwiecznie skazanych na wzajemną wrogość. Związki zawodowe skupiają się we wspólnej centrali, strajki nie są częstym zjawiskiem. O tym wszystkim nie zadczydowały żadne wtłaczane z góry nakazy moralne, lecz i praktyka, i świadomość, czyli — jak wyżej — masowe procesy dorabiania się *nowej pozycji społecznej* przez dziesiątki milionów ludzi. Obecnie, w obliczu kryzysu i bezrobocia (dwa i pół miliona), które jutro mogłoby dotknąć każdego, owa właśnie *pozycja* została uznana za zagrożoną. A oto Unia obiecywała „zwrot” w koniunkturze, miała ponadto zapewnione, jednogłośnie tym razem, poparcie kierowniczych sfer przemysłowych i finansowych. Po cichu kursowała fama o zapowiadanych przez tych czy owych przedsiębiorców „strajku inwestycyjnym” na wypadek zwycięstwa socjaldemokracji. Trudno obliczyć dokładnie, ilu stałych dotąd wyborców SPD głosowało w marcu — może po raz pierwszy w życiu — na Unię. Ale bezspornie przyrost głosów dla niej ogarnął całe zastępy robotników.

Czy i o ile zatem zawiodła socjaldemokracja? Czy i o ile — jeśli wolno w ogóle przewidywać — Unia może spełnić nadzieje swych wyborców?

Nie jest prawdą, że — jak twierdziła Unia w swej propagandzie wyborczej — główną przyczyną aktualnych trudności w Niemczech jest „dziedzictwo” złej gospodarki, pozostawione przez poprzedni rząd. Wszelkie wskaźniki — dochód narodowy na głowę ludności, niska stopa inflacji, zapoczątkowana już *mniej* więcej przed rokiem tendencja spadkowa stopy procentowej, rozmiar zadłużenia wewnętrznego, nawet liczba bezrobotnych — dowodzą, że przy nikłym, jak wszędzie, wzroście, gospodarka nie-

miecka broniła się przed światowym kryzysem nieskończenie skuteczniej niż inne kraje przemysłowe. Z niejednego sprawozdania wielkich koncernów wynika jeszcze dziś, że w roku sprawozdawczym 1981/1982 nie było powodu do płaczu, a kłopoty brały się często z powiązań zagranicznych, nie zaś z sytuacji wewnętrznej. Nie jest także prawdą, że gospodarcza interwencje państwa wyolbrzymiono tu ponad miarę, aż do uspienia elementarnej przedsiębiorczości indywidualnej włącznie, lub że równość szans pojmowano jako równość w ogóle. W porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi, z Anglią czy Francją, gospodarcze ingerencje państwa w RFN są mało istotne. W porównaniu ze Szwecją przestrzega się o wiele ostrzej zróżnicowania w dochodach, stosując łagodniejszą politykę podatkową. A w porównaniu z wieloma innymi krajami niemiecki *welfare state* znajduje rozsądną na ogół proporcję między obowiązkami obywatela a jego społecznym zabezpieczeniem.

Prawdą jest natomiast, że socjaldemokracja nie spostrzegła się na czas — wbrew ostrzeżeniom wybitnych znawców z własnych szeregów — iż kryzys gospodarczy może przybrać charakter strukturalny. Stała się niemal zniecka wobec konieczności drastycznych cięć w budżecie, który w okresie kryzysu nie mógł już sprostać takiej dynamice świadczeń społecznych, jaką przewidziano w okresie silnego i nieustającego wzrostu gospodarczego. A jednak, razem z tym wszystkim, nie w podstawowych założeniach polityki gospodarczej i społecznej, nie w koncepcjach kierunkowych poprzedniego rządu należy szukać właściwych źródeł klęski, jaką poniosła socjaldemokracja niemiecka.

Poniosła klęskę, gdyż uciekła od praktyki. Zawierzyła automatyzmowi wielkich koncepcji, nie troszcząc się o tysiące drobnych, praktycznych decyzji ludzkich, o miliony mikro-zabiegów, składających się na życie gospodarcze. Była już od lat *instytucją*, wyłaniającą rząd — przestała funkcjonować jako partia polityczna, która wspiera swój rząd przez to, że pomaga ludziom w rozwiązywaniu codziennych problemów bytowych. Prawie gubiła z oczu swą rdzenną bazę społeczną, czy to w wielkich miastach przemysłowych, czy w gminach i na terenach o różnej strukturze: robotnika, zatroskanego masowymi redukcjami w fabrykach, rzemieślnika z malejącą nagle liczbą zamówień, kupca czy drobnego przedsiębiorcę, notującego spadek obrotów. Choć zakrawa to na paradoks — zapomniiała na co dzień czyichś ma bronić interesów. Kiedy zaś przypomniało jej o tym coraz wyraźniejsze nasilenie kryzysu, wcale nie wąskie jej skrzydło sięgnęło na zeszlatorocznym zjeździe w Monachium — w konflikcie z integracyjną i konkretną polityką gospodarczą Schmidta — głównie do recept odgórnich: do propozycji rozszerzonego planowania odgórnego, do szerokich państwowych programów zatrudnienia, finansowanych przez podwyższenie podatków itd. Wobec tej recydywy dogmatyzmu, nabrzmiało pytanie: co robić już dziś, żeby wyjść ze stagnacji, jak harmonizować ewentualne programy państwowe z codziennym ożywianiem gospodarki — na

próżno oczekiwały rozpatrzenia. Równocześnie straciła socjaldemokracja niemiecka orientację w nastrojach społecznych. Nie przewidziała, że wśród kryzysowych niepokoїв linie podziałów nie będą przebiegały — jak w klasycznym schemacie — między pracownikami a pracodawcami, lecz między tymi, co korygowanej społecznie gospodarce rynkowej ufają, a tymi, co jej zaufania odmawiają. I tak przegrała gospodarcze zaufanie społeczeństwa do siebie.

Nie było to wszystko przypadkiem. W „kryzys tożsamości”, jak się tutaj mówi, wtrącił partię socjaldemokratyczną kurs Brandta. Przesunął jej uwagę z obszaru, gdzie grupują się większości na krańce, ogarnięte młodzieżową kontestacją. I stało się tak, że zamiast zmierzyć się polemicznie, twarzą w twarz, z „ruchem pokoju” czy z ruchem Zielonych, zamiast zmuszać je do konfrontacji z realiami, przyciągając je zarazem ku sobie (co bezspornie było kiedyś możliwe) — SPD zaczęła ulegać przyciąganiu przez nie. Chociaż więc — jak podkreślałam — o wyniku wyborów decydowały przede wszystkim motywacje gospodarcze, to jednak rozdarcie socjaldemokracji w dziedzinie „rakietowej” dodatkowo zniechęcało wyborców. Tym bardziej, że od kiedy znalazła się w opozycji i przestały ją obowiązywać nawet pozory lojalności wobec rządu — chaos wzmógł się do potęgi. W sprawie rozmieszczania rakiet amerykańskich każdy oświadcza się inaczej. „Podwójnej decyzji NATO” SPD dotąd nie odrzuciła, ale w płataninie sprzecznych interpretacji i akcentów trudno się w ogóle rozeznać. Burmistrz Saarbrücken, członek kierownictwa, wypowiada się oto nagle wręcz za wystąpieniem Republiki Federalnej — „w pewnych okolicznościach” — z NATO. Polemika podjęta z nim wewnątrz partii nie zmienia faktu, że nurty z jej krańca napierają coraz silniej.

Obok codziennej rutyny „odprężeniowej” zaczęły działać nowe czynniki: lęk o przejęcie monopolu opozycji przez Zielonych i przez „ruch pokoju” oraz budowanie sobie większości na jutro. Wydaje się, że liczne i szerokie grupy w SPD na tych właśnie tropach — wśród ludzi zjednoczonych strachem przed wojną — zamierzają szukać przyszłej większości. Czy ją znajdą? Każdy tu woli, by dogadano się w Genewie, nikt nie tęskni do nowych rakiet amerykańskich ani nie cieszy się z tych, co stoją od dawna. Lecz jednocześnie każdy kto trzeźwiejszy uważa, iż w owej sprawie rakiet nie idzie tylko o spór techniczny na temat równowagi nuklearnej między mocarstwami, ale o test polityczny: czy mianowicie Zachód w ogóle jeszcze potrafi Sowietom nie ustąpić...

Przy innej okazji pisałam w *Kulturze*, jak wygodnie osadzili się w swoim tymczasowym *status quo* ludzie z tej części podzielonego kraju. To nie znaczy jednak, że wyczekują radośnie kolejnego aktu kapitulacji, w końcu nawet na Zachodzie nie kapituluje się z zamiłowaniem. Amerykanów kocha się tu lub nie kocha, lecz sojusze są sprawą załatwioną i twardą, mury stoją, kopać pod nimi nie wolno. Mimo wszystko trudno przpuścić, by ruch jaki podniósłby się przy rozmieszczaniu rakiet amerykańskich,

zdołał te mury podmyć. W ostatnim swoim oświadczeniu Hans-Jochen Vogel (kandydat SPD na kanclerza, a obecnie przewodniczący jej frakcji parlamentarnej), powtarzając, iż „w Genewie należy uczynić wszystko, by stacjonowanie rakiet stało się zbyteczne” — wykluczył zarazem jakąkolwiek wątpliwość w sprawie aprobaty sojuszu atlantyckiego przez SPD. Przestroga dla własnej partii: stawianie na tendencje odśrodkowe, anty-atlantyckie w społeczeństwie niemieckim, szukanie większości po tej stronie byłoby pomyłką o znaczeniu historycznym.

Tyle o klęsce. Co o zwycięstwie? Czy — jak słyszałam w wielu rozmowach — „Unia zrobi to lepiej?”. „To” dotyczyło spraw gospodarczych, trzeba więc do nich powrócić.

Procesy gospodarcze są powolne — można więc co najwyżej naszkicować tendencje i prawdopodobieństwa. Unia pokłada nadzieje w samoozdrowieńczym cyklu: wzrost inwestycji dzięki obniżeniu kosztów produkcji (poprzez hamowanie nadmiernego wzrostu płac, utrzymanie niskiej stopy procentowej oraz w nadziei na niskie w dalszym ciągu ceny ropy naftowej), tworzenie nowych miejsc pracy, zwiększanie siły nabywczej czyli ożywianie rynku. Stopniowe ograniczanie bezrobocia to oczywiście sprawa nadrzędna, lecz w tej właśnie dziedzinie nikt nie oddaje się złudzeniom. Przypuszcza się powszechnie, że nawet przy polepszającej się koniunkturze, nawet przy wzroście gospodarczym (na co nie zanosi się przecież w bliskiej przyszłości) — wzrośnie również bezrobocie. Rozerwał się bowiem tradycyjny związek między koniunkturą a zatrudnieniem. Zyski coraz częściej służą finansowaniu wielkiej racjonalizacji, która miejsca pracy redukuje — tymczasem zaś wchodzi do produkcji wciąż nowe roczniki młodzieży. Tu, jak gdzie indziej, rysuje się na lata perspektywa strukturalnego bezrobocia nowego typu. Jak się wydaje, będzie się ono rozwijało przy utrzymującym się równocześnie dobrobycie innych warstw ludności, nie ciągnąc — jak kiedyś — całej gospodarki w przepaść, lecz zakłócając jej funkcjonowanie. I tu, jak gdzie indziej, nikt nie zna na to radykalnego lekarstwa — jeśli nie liczyć nieśmiałych i niekonkretnych dotąd rozważań na temat skrócenia czasu pracy.

Prasa docieka codziennie, czy „zwrot” już jest, czy jeszcze nie, i czy w ogóle będzie. Dociekania nieco śmieszne, gdyż przedwczesne. Bez wątpienia poprawiły się nastroje w kołach gospodarczych. Świadczy o tym np. rynek akcji, choć trudno ocenić w jakim stopniu działają tu nadzieje, a w jakim fakty. „Nastrój jest lepszy niż sytuacja” — czytałam w konkluzji przeprowadzonego wśród pewnej grupy przedsiębiorców sondażu. W dziedzinie inwestycji — wbrew kilkakrotnie przez ministra gospodarki powtarzanym ponagleniom — faza wyczekiwania trwa. Przemysł woli oczywiście koalicję obecną od poprzedniej, ale inwestuje, gdy mu się to opłaca, nie zaś dlatego, że zmienił się rząd. Opłacalność z kolei — zwłaszcza dla wielkiej produkcji — zależy tylko od czynników wewnętrznych, lecz w niemałej mierze od koniunktury światowej.

Nowa koalicja działa pomiędzy przeciwstawnymi naciskami. Kierownicze koła gospodarcze oczekują od niej realizacji ich „zamówienia społecznego”, a więc polepszenia warunków inwestycyjnych, produkcyjnych i finansowych. Lecz jednocześnie Unia zwłaszcza, potężna partia przechodząca w poprzek wszystkich warstw ludności, musi się liczyć z dużą częścią swej klienteli wyborczej, z interesami pracowniczymi, z trwałym naporem związków zawodowych. Prawdopodobnie nic nie uchroni nowego rządu przed miotaniem się wśród przeciwieństw. W zakresie subwencjonowania pewnych gałęzi produkcji, a zatem i wytyczania określonych programów zatrudnienia, będzie mu niezmiernie trudno oddalić się zbyt od praktyki, stosowanej przez rząd poprzedni i osłabić ową skromnie tu zakrojoną regulacyjną funkcję państwa. (To z kolei wywołuje już i wywołuje będzie spreczne reakcje w rozmaitych gałęziach produkcji). Z drugiej strony jednak wszystko co zrobiono dotychczas — a więc podjęte jeszcze przed wyborami rozluźnienie czynszów, a także cięcia wydatków budżetowych — uderzyło jednostronnie w najsłabszych: w niezamożnych lokatorów, w rencistów, w bezrobotnych\*.

Towarzyszy tej tendencji szereg projektów w dziedzinie ochrony porządku wewnętrznego, ot chociażby obostrzenie przepisów wobec demonstrantów, reforma procedury karnej itd. Wszystkie zmierzają do rozszerzenia represyjnej roli państwa — i wszystkie spotykają się od razu z protestami. Przytoczone przeze mnie na początku słowa ministra spraw wewnętrznych na temat obszarów za Odrą i Nysą nie są — powtarzam — wojennym zawołaniem. Ale są symptomem. Obok nich, na tym samym krańcu formowania się opinii politycznych, pojawiają się, jak widać, różnorakie sygnały niewygasłej wśród starszych pokoleń tęsknoty do *law and order*. Nie upraszczajmy, nie chodźmy w tych marginesowych nawet tęsknotach o hitleryzm, raczej o uwspółcześioną wersję rządów „silnej ręki”. Wśród średnich i młodszych pokoleń, kształconych już w szkole młodej demokracji, podobne sygnały wywołują często reakcje alergiczne. I dlatego, że budzą niedobre wspomnienia, i dlatego, że akurat z porządkiem wewnętrznym państwo to dawało sobie dotychczas radę wcale nieźle. Toteż ów kraniec opinii, chętny ograniczaniu mechanizmów demokratycznych a posiadający swe przedłużenia w niektórych grupach kierowniczych Unii, pozostanie prawdopodobnie przedmiotem uwagi społecznej.

I wreszcie: czy należy oczekiwać zwrotu w polityce zagranicznej? Zaryzykuję hipotezę, że oczekiwać można pewnych zmian, lecz nie zwrotu o 180 stopni. Niewątpliwie, w sprawie „podwójnej decyzji NATO” nowa koalicja zajmuje stanowisko jednolite i bez porównania bardziej kategoryczne niż w różne

\* Także poprzedni rząd przygotowywał nową regulację czynszów, jak również nowe przepisy w sprawie wzrostu rent. Projektowane zmiany były jednak dla warstw materialnie słabszych mniej dotkliwe.

strony rozbiegana socjaldemokracja. Rząd Kohla, najżywotniej zainteresowany w sukcesie rokowań genewskich, także dlatego, by uniknąć rozgrywki wewnętrznej i w parlamencie i na ulicy — nie wycofa się jednak, gdyby Genewa skończyła się fiaskiem, ze zgody na rozmieszczanie rakiet amerykańskich. Zmieni się również retoryka, a to oznacza w polityce coś więcej niż tylko zmianę formy. W stosunku do sojusznika amerykańskiego zapamiętuje *jeden* język, akcenty spoczną na wspólnocie, nie na różnicach. Od wypadku do wypadku, w doraźnych sytuacjach konfliktowych, zaostrzą się gesty wobec bloku sowieckiego, chociaż w różnicowanym — jak można przewidywać — nasileniu, zależnie od kraju i okoliczności.

Nie zmieni się — wbrew nowej retoryce — pozycja RFN, wczepiona w obecny układ świata ze swoją specyfiką i swymi ograniczeniami. Nie pośrednik — a jednak pośrednik, zainteresowany w redukowaniu napięć między supermocarstwami. Kohl podkreśla korzyści, jakie przyniosłoby spotkanie Reagana z Andropowem i wybiera się w lecie do Moskwy. Kilka dni temu przywiózł z Waszyngtonu obietnicę Reagana, przyjętą z ulgą przez tutejsze sfery gospodarcze, że Stany Zjednoczone nie będą na razie naciskać na Europę Zachodnią, by ograniczyła swój handel ze Wschodem. Reminiscencje sporu o rurociąg syberyjski można, chwilowo przynajmniej, wygnąć z pamięci. Nie zmieniają się więc — interesy.

Trochę zatem nowego, trochę starego. Nie jest tu wcale tak, że „wszystko płynie”, niemniej mnożą się niewiadome. Społeczeństwo grupuje się w dwóch blokach, których obszary środkowe — jak pisałam — na siebie zachodzą, a krańce się oddalają. Czy nowy rząd zdoła zapobiec stagnacji gospodarczej bez naruszenia „pokoju społecznego”, czy przeciwstawi się tęsknotom do „silnej ręki”? Czy socjaldemokracja potrafi wreszcie położyć tamę nurtom dogmatycznym i odśrodkowym, napierającym z jej krańca? Jeśli tak — Republika Federalna zachowa nadal właściwą sobie od dawna spójność struktury, jak również sprawność w działaniach. Jeśli nie — znaleźć się może już niedługo w obliczu wewnętrznej polaryzacji.

Kamila CHYLIŃSKA

23 kwietnia 1983 r.

## List z Londynu

W czasie walk o Falklandy uformował się w Londynie pochód, jedyny w czasie całego konfliktu. Szło kilka tysięcy ludzi, na czele Anthony Benn i znana działaczka lewego skrzydła Labour

Party Judith Hart, nosząca wiele mówiący tytuł *Dame of the British Empire*. Pochód, pilnowany przez policję, szedł ulicami miasta i wydawał okrzyki: „Precz z imperializmem, precz z rządem, usunąć Mrs Thatcher, Falklandy dla Argentyny!”. Nie było żadnych awantur, nikt nie zorganizował kontrdemonstracji, ulica reagowała obojętnie na tę jaskrawą prowokację, jednak policja aresztowała jakiegoś człowieka. Nie wyciągnięto go z pochodu za antypaństwowe okrzyki, nie zainteresowano się którymś z najhałaśliwszych demagogów: aresztowano przechodnia, który z chodnika splunął na pochód.

W pierwszych tygodniach konfliktu skrajna lewica, przekonana, że ma za sobą *gros* ospałego i egoistycznego społeczeństwa, przeżartego strajkami, dążącego jedynie do szybkiego wzbogacenia się, podniosła hałaśliwą, antyrządową propagandę, która jednak bardzo szybko ucichła. W Izbie Gmin Benn i kilku innych posłów próbowało ośmieszyć stanowisko rządu, ale i tam głosy te trafiły na opór olbrzymiej, różnopartyjnej większości. Okazało się, że tak samo jak przed drugą wojną światową Wielka Brytania ma dwa oblicza, jedno powszechnie znane, drugie, które objawia się niespodziewanie, wbrew opiniom psychologów i znawców.

Mimo wysiłków poukrywanych w różnych ważnych punktach agentów, egzotyczny konflikt przerodził się w narodową krucjatę. Zmobilizowane prywatne okręty zostały w błyskawicznym tempie przygotowane do wojennych zadań, żaden związek zawodowy nie podniósł głosu protestu, robotnicy nie tylko, że nie próbowali strajkowego szantażu, ale pracowali dzień i noc, w Izbie Gmin decyzja walki otrzymała prawie jednogłośnie poparcie, niewielka zawodowa armia okazała się na najwyższym poziomie. Mieszkając tu od wielu lat, patrzyliśmy zdumieni na reakcję pragmatycznie rozumującego narodu, który podjął walkę o tysiące kilometrów od swych granic z przeciwnikiem, umocnionym już na pobliskich dłań wyspach, które trzeba było atakować z morza.

Najzupełniej niespodziewanie dalekie wyspy, na których mieszka mniej ludzi niż w pierwszym lepszym tutejszym miasteczku, spowodowały kapitalny zwrot w brytyjskiej opinii publicznej i w sentymentach zamieszkałych w Wielkiej Brytanii narodów. Do chwili konfliktu trwała tu umiejętnie podsycana walka klasowa, ludziom tłumaczono, że czasy potęgi minęły bezpowrotnie, że kraj jest na granicy bankructwa i ze wszystkiego trzeba się wycofać, aż oto nagle, przy pierwszej sposobności okazało się, że demagogia zupełnie nie chwytą, że społeczeństwo jest zmęczone, ale nie trudnym życiem a brakiem narodowego sukcesu. Nadzieje Kremla, który wiele lat temu zdecydował, że obok Włoch Wielka Brytania jest krajem, który najłatwiej będzie zniszczyć od wewnątrz, rozwiły się w ciągu kilku tygodni. Nikt z naszych strategów takiego obrotu sprawy nie przewidywał, ale konflikt falklandzki możemy zapisać po stronie naszych wielkich zwycięstw. Jednak nie tylko my okazaliśmy się gotowi

do konfrontacji. Po raz pierwszy od wielu lat, od wojny koreańskiej, Zachód zdobył się na zdecydowane i zwycięskie zahamowanie agresji.

Kilka lat temu młody chłopak, który skończył szkołę i bezskutecznie poszukiwał jakiegoś zajęcia, w rozpaczy napisał do królowej. Buckingham Palace zareagował i ofiarował chłopakowi pracę na swym terenie. W kontrakcie znalazła się klauzula, że przyjęcie do pracy jest uwarunkowane zachowaniem pełnej dyskrekcji odnośnie wewnętrzznego życia pałacu i spraw związanych z królewską rodziną.

Były jakieś przyczyny, dla których drogi młodego człowieka i koronowanego pracodawcy rozeszły się i, oczywiście, natychmiast zwęszyli to wydawcy brukowego dziennika, *The Sun*. Ofiarowano tysiące funtów za „jedyną, nigdy jeszcze nie opowiedzianą historię” i pierwszy jej odcinek natychmiast wydrukowano. Następne jednak nie ukazały się, bo zarząd pałacu, powołując się na kontrakt, zażądał wstrzymania dalszych publikacji i skierował sprawę do sądu. Znowu zdumiała nas niespodziewana, pozornie groteskowa sytuacja: z jednej strony głowa państwa, królowa, z drugiej smarkacz i brukowe pismo. Do rozprawy nie doszło, pismo cofnęło się i „strony ugodziły się poza sądem”. Jakiż wspaniały przykład demokracji, ile w nim treści. Wolność prasy, swoboda jednostki, powaga władzy sądowej, niczym nie zachwiany prestiż dziedzicznej głowy państwa mimo konfliktu z brukowcem.

W Moskwie zmarł jeden z brytyjskiej szajki arcyzdrajców, sowiecki szpieg Donald Maclean. Symboliczny pogrzeb odbył się ze wszystkimi honorami, przed trumną niesiono sowieckie ordery, które otrzymał zmarły „jako wielki patriota”, moskiewska prasa narobiła wiele hałasu. Telewizja BBC, choć formalnie niezależna, ale będąca jednak reprezentantką brytyjskiego systemu politycznego, sfilmowała i pokazała ten pogrzeb, a wielkie tutejsze pisma poświęciły zmarłemu wiele stron ilustrowanych fotografiami. (Prochy zdrajcy zostały nocą przywiezione do Wielkiej Brytanii przez jego syna i złożone na cmentarzu, niedaleko Londynu). Patrząc na mały ekran i czytając artykuły, mimo woli powracałem pamięcią do wojennych lat i tego co działo się po ich zakończeniu. Gdy sowiecki generał Andriej Własow, który dowodził milionową armią złożoną z sowieckich jeńców i walczącą po stronie Niemców został po wojnie wydany przez Amerykanów Moskwie i tam powieszony, *Prawda* skwitowała całą sprawę jednym zdaniem. Daleki jestem od chwaleń sowieckich metod, ale wtedy uważałem, że Kreml ma rację, bo z sowieckiego punktu widzenia Własow był zdrajcą, a o zdrajcy lepiej jak najmniej pisać. Problem Macleana poruszyłem w angielskim klubie, do którego należy pracująca inteligencja; wy-

razie w wątpliwość, czy jego śmierć powinna być aż tak szeroko komentowana przez telewizję i prasę. Rozmowa toczyła się w gronie kilku osób, ja jedyny byłem w nim cudzoziemcem. Nikt nie podzielił mego zdania, wszyscy uważali, że masowe środki przekazu powinny zajmować się tym, czym interesuje się ogół społeczeństwa. Skierowałem rozmowę na pochodzenie Macleana, na jego przynależność do uprzywilejowanej klasy społecznej, której państwo najwięcej daje. Emerytowany generał uśmiechnął się i napełniając tytoniem fajkę powiedział: „Gdyby był nikim, to by jako szpieg nic nie był wart; w życiu narodu, zwłaszcza w kryzysie, zawsze są bohaterowie i zdrajcy”. Miałem wielką ochotę kontynuować a nawet podnieść dyskusję, ale nikt jej nie podtrzymał. Przypomniała mi się wtedy sprawa oficera królewskiej floty wojennej, który przed dekadą został skazany na wiele lat więzienia za szpiegostwo na rzecz Rosji. Żona jego była także w to wmieszana; sędzia starał się ją oszczędzić, bo małżeństwo miało pięcioro dzieci, jednak nie potrafił tego dokonać. Kobieta, bądź co bądź żona oficera marynarki, choć awansowanego z podoficerów, powiedziała przed sądem: „Kupiliśmy meble na raty, nie było czym płacić, to co miałam robić? Musiałam pójść do sowieckiej ambasady”. Pamiętam jak oburzył mnie wtedy ten krańcowy cynizm, ale moi angielscy przyjaciele widzieli to zupełnie inaczej: przecież ta kobieta była szczerą, mówiła prawdę.

Jednym z najmniejbezpiecznych działaczy związków zawodowych jest Arthur Scargill, przywódca górników. Wcale się z tym nie kryje, że jest komunistą, ma ambicje polityczne i widzi siebie w przyszłości jako członka Izby Gmin. Scargill otwarcie głosi, że jego celem jest obalenie rządu konserwatystów, między innymi przy pomocy strajków. Ostatnio skorzystał z pretekstu, że Rada Górnicza zdecydowała zamknąć jedną z kopalń, w której węgiel się już wyczerpał, i ogłosił strajk całego swego związku. Jednak konserwatyści potrafili już doprowadzić do tego, że taki strajk musi otrzymać przynajmniej 55 % głosów wszystkich górników w głosowaniu tajnym, więc Scargill musiał się temu poddać. Rezultat był niespodziewany: ponad 60 % opowiedziało się przeciwko zaleceniom swego przywódcy i przeciwko strajkowi. Była to klęska Scargilla, a jednak nie odezwał się nawet najłżejszy pomruk kwestionujący formalną stronę głosowania. A przecież telewizja pokazała jak beztrząsco jacyś młodzi ludzie taszczyli worki z głosami a młode dziewczęta, wśród śmiechów i rozmów, zajmowały się ich sortowaniem. Na oczach milionów rozgrywało się wielkie misterium prawdziwej demokracji, która przede wszystkim opiera się na wolnych i uczciwych głosowaniach.

W okresie, gdy Solidarność zwyciężała, przyjeżdżali do Londynu pełni zapału młodzi ludzie i upojeni sukcesami twierdzili, że za kilka miesięcy odbędą się w Polsce wolne wybory. Cóż miałem

im powiedzieć? Pamiętałem przecież Polskę przedwojenną i nasze wybory: bojkoty, protesty, nadużycia, kwestionowanie wyników. A nasza ordynacja wyborcza, w której kandydatów na posłów mogło zgłaszać tylko specjalnie dobrane zgromadzenie elektorów?

Kilkanaście lat temu, gdy toczyła się walka o utrzymanie Biblioteki Polskiej w Londynie w polskich rękach, POSK, który się nią opiekował, zwrócił się do władz brytyjskich z apelem o utrzymanie dotychczasowego subsydium. Właśnie zostało ono cofnięte, sprawa zatoczyła szerokie kręgi, stała się prawie mierzniakiem stosunku Brytyjczyków do naszego wychodźstwa, i dlatego POSK korespondował z członkiem rządu, Anthony Croslandem, który stał na czele Departamentu Nauki i Wiedzy, po likwidacji ministerstwa o tej samej nazwie. Odbyła się także konferencja z przedstawicielami Departamentu, w której wziąłem udział. Nie zostało to wprost powiedziane, ale z tonu korespondencji i dyskusji wynikało wyraźnie, że rząd brytyjski nie jest zainteresowany w dalszym subsydiowaniu biblioteki i pomaganiu Polakom w podtrzymywaniu ich odrębności narodowej. Jeżeli Polacy chcą mieć własną bibliotekę jako bazę własnej kultury, muszą ją utrzymywać sami.

Od daty tego listu wiele się w Wielkiej Brytanii zmieniło. Początkowo względy gospodarcze (tania siła robocza) a później skutki dawniejszych zobowiązań związanych z imperium sprawiły, że na tutejszych wyspach osiedliły się setki tysięcy kolorowych: Hindusów, Pakistańczyków i Murzynów z Zachodnich Indii. Liczba ich przekroczyła już trzy miliony, ciągle przybawają nowi, rodziny rozrastają się w szybkim tempie i Wielka Brytania staje się coraz bardziej krajem rasowo mieszanym, bez nadziei na integrację kolorowych przybyszów. Trzeba się było z tym pogodzić, szukać sposobów osłabienia powstających napięć i władze, tak centralne jak i lokalne, rozumując pragmatycznie, zaczęły subsydiować instytucje kulturalne nowych obywateli, pomagając im w utrzymaniu ich odrębności.

Ten zasadniczy zwrot w wewnętrznej polityce brytyjskiej odbił się także na stosunku do polskiej emigracji politycznej, którą traktuje się tutaj jak grupę etniczną, ale różniącą się od innych: spokojną, nie stwarzającą żadnych problemów, budzącą nadzieje, że się jednak kiedyś zintegruje.

Po kilku odmowach lokalne władze dzielnicy Hammersmith, gdzie znajduje się POSK, wypłaciły £ 70.000 na wykończenie sali teatralnej, a później dodały dalsze £ 15.000. Wprawdzie wpłaty te połączone były z warunkiem, że z sali będą także korzystać Brytyjczycy i inne grupy etniczne (oczywiście za opłatą), ale w niczym nie skomplikowało to związanych z salą planów, bo POSK nigdy nie dążył do stworzenia ze swego gmachu polskiego getta.

Ponadto już od trzech lat władze Wielkiego Londynu subsy-

diują w pewnym zakresie działalność kulturalną POSK-u i wpłaciły już na ten cel prawie £10.000, obiecując, że w przyszłości pomoc ta zostanie utrzymana. Dzięki temu można było zorganizować cykl koncertów i wystawić kilka sztuk teatralnych, także i w języku angielskim.



Data powszechnych wyborów jest w Wielkiej Brytanii trudna do przewidzenia, bo nigdy prawie rządząca partia nie dociąga do pełnych pięciu lat kadencji Izby Gmin i kończy ją wcześniej, zależnie od koniunktury politycznej. Przywilej wyznaczania daty wyborów należy do premiera i jest to przywilej niezwykle ważny, bo znakomicie podnosi szanse partii rządzącej. Stwarza to przeciwwagę przywilejom opozycji, która może krytykować wszystko bez ponoszenia jakiegokolwiek odpowiedzialności i obiecywać co się jej podoba, choć obietnice te mało mają wspólnego z życiowymi realiami.

Konserwatyści nadal zdecydowanie prowadzą we wszystkich ankietach, popularność pani Thatcher nie słabnie, znowu pisze się o Falklandach, bo już mamy rocznicę brytyjskiego zwycięstwa, więc przewiduje się, że w ciągu najbliższych miesięcy odbędą się wybory. Labour Party ogłosiła już nawet jako pierwsza 12 punktów, które staną się podstawą jej wyborczego manifestu.

Oczywiście jest w nich mowa o miliardowych inwestycjach, dokonanych za pożyczone pieniądze, o likwidacji bezrobocia, choć boryka się z nim cały zachodni świat, o kontroli cen bez kontroli zarobków, o znacjonalizowaniu banków i towarzystw ubezpieczeniowych, jakby za mało jeszcze było bankrutujących państwowych przedsiębiorstw, o dalszym poszerzeniu praw związków zawodowych, które już teraz ustawiają się w roli czynnika ważniejszego niż rząd i parlament. Ta część dokumentu dowodzi tylko ciągłego doktrynerstwa labourzystów, którzy po tylu latach doświadczeń nie chcą zrozumieć, że w sprawach gospodarczych ich pomysły zawsze kończą się fiaskiem. Jest jednak druga część planów, która z powodzeniem mogłaby być napisana w Moskwie.

Dwa punkty wysuwają się zdecydowanie na czoło: jednostronne nuklearne rozbrojenie i wycofanie się z europejskiego Wspólnego Rynku. Pierwszy z nich, gorąco oklaskiwany na Kremlu, wygląda groźnie, ale zawiera więcej propagandy i naiwności niż prawdziwego niebezpieczeństwa, bo Stany Zjednoczone zawsze znajdują miejsce w Europie dla swych baz i będą musiały jej bronić.

W związku z tym problemem wydarzył się tutaj wypadek zupełnie wyjątkowy: nareszcie ktoś o machinacjach skrajnej lewicy powiedział prawdę. Wbrew żelaznej zasadzie, że „w domu powieszono nie mówi się o stryczku”, nowy minister obrony, Michael Heseltine, przez wielu uważany za przyszłego przywódcę konserwatystów, jasno i bez żadnych zahamowań wymienił z imienia i nazwiska organizatorów „Kampanii Nuklearnego Roz-

brojenia”. Są to albo komuniści albo socjaliści, doskonale płatni, odbywający liczne podróże, mający duże doświadczenie organizacyjne i odpowiednie powiązania. Przewodnicząca, Joan Rud-dock, w roku 1979 kandydowała do Izby Gmin z listy Labour Party, wiceprzewodniczący, Michael Pentz, jest członkiem partii komunistycznej, drugi wiceprzewodniczący, Roger Spiller, ma powiązania z Międzynarodowymi Socjalistami, członkowie rady to na przemian komuniści i socjaliści. „Spontanizm” ruchu polega na tym, że tysiące naiwnych kobiet pełnych dobrej woli oblega amerykańskie bazy, moknie na deszczu, śpi pod płotem, a organizatorzy, korzystając z mechanizmu „zdalnego kierowania”, odbierają dyrektywy skąd należy, podróżują w komfortie, śpią w hotelach.

Znacznie groźniejszym, wprost samobójczym pomysłem jest labourzystowski plan wycofania kraju ze Wspólnego Rynku. Odejście jednego uczestnika nie zdecyduje, oczywiście, o końcu tej najważniejszej powojennej europejskiej inicjatywy, ale bardzo ją osłabi i zahamuje dalszą gospodarczą integrację zachodniej części naszego kontynentu. Wielka Brytania jest jednym z jego czołowych krajów a ponadto, poprzez *Commonwealth*, ma wpływy w swych dawnych koloniach, rozrzuconych po całym świecie.

W gruncie rzeczy wspólny europejski rynek bardziej niepokoi Kreml niż zachodnie zbrojenia nuklearne, bo wiadomo, że Zachód wojny nie zacznie, i dlatego pogróżki Labour Party, że po wygraniu wyborów wycofa kraj z Europy, znajdują w Moskwie gorąco przyklaskujących słuchaczy.

Rozważając taką możliwość, trudno nie powrócić myślą do wojennych i wczesnych powojennych lat, gdy Wielka Brytania dzięki bezkompromisowej postawie po upadku Francji i pomocy słanej ruchom podziemnym w okupowanej przez Hitlera Europie była wielkim autorytetem, nawet w zdradzonej Polsce. Cały ten ogromny kapitał popularności został szybko roztrwoniony, gdy rządząca krajem Labour Party zabrała się do likwidacji imperium, co było konieczne, ale także szybko opuściła Europę.

Stało się tak, bo zaszedł wypadek, możliwy chyba tylko w tym kraju: Churchill, najpopularniejszy człowiek na wyspach, zwycięski wojenny przywódca, natychmiast po zakończeniu walk przegrał wybory!

Dziś wszystkie sondaże opinii publicznej wskazują na konserwatystów jako na pewnych zwycięzców w niedalekich wyborach, ale kto to na pewno wie? Czyż można kogoś porównać z potężną sylwetką Churchilla w roku 1945?

Dlatego problem tutejszych wyborów i socjalistycznych pogróżek wykracza poza wewnętrzne problemy tego kraju.

Józef GARLIŃSKI

Londyn, maj 1983

## Kraj

### Pokusa emigracyjna

Zaciągnęło się.

Tak się powszechnie określa krajową sytuację. Na jak długo się zaciągnęło? Każdy chciałby wiedzieć, nikt nie wie, woli się nie zastanawiać i wciąż o tym myśli. Kto potrafi pielęgnuje prywatnie wiarę w cud boski, w dziejową sprawiedliwość, w opłacalność cierpienia i premię za wytrwałość.

Te już 3 lata „ciekawych czasów” wymagają dobrego zdrowia i elastycznych nerwów. Trzeba przyznać, że „Czerwony” (tak się potocznie przyjęło mówić) posiada te zalety, wykazuje też charakter chociaż będzie to charakter niedobry. Natomiast my, zwolennicy różnych wolności, wrażliwi na niedole bliźnich i na swoją własną również odczuwamy trudności w podtrzymaniu nadziei. Że mimo nieprzejednania „Czerwonego”, czujnego uścisku bratnich przyjaciół, obojętności świata, że mimo wszystko wyjdziemy jakoś na swoje. Ryzykownie jest (grzech, strach, brak wiary) stawiać na interwencję Matki Boskiej, która to możliwość i tak wydaje się bardziej prawdopodobna niż wielka wojna za Gdańsk. Niełatwo bez reszty, bez wątpliwości cieszyć się z konwulsji gospodarczych jako czynnika skutecznie utrzymującego niezadowolenie. Takie dolegliwości przysparzają władzy kłopotów, ale narodowi też nie służą. To niezadowolenie jest kwaśne, męczące, kieruje znaczną część energii, wyobraźni ku potrzebom ściśle prywatnym, rodzinnym, wąsko-towarzystwiskim, wystawia na ciężką próbę przekonanie o sensie społecznego działania. Tym bardziej ktoś musi podtrzymywać przysłowiowy płomyk i — trzymając się już metaforyki pożarnej — dbać aby nie doszło do niekontrolowanego wybuchu. A kto? Tradycyjnie, inteligencja polska. Nie tylko nieliczna grupa wybranych, którzy świadomie przyjęli na siebie rzadkie powołanie

i zawód społeczny jakim jest dawać przykłady, stawiać wzory, a w razie czego płacić koszta za innych, w imieniu innych. Również ci inni, których nie stać z różnych względów na opozycyjne wyczyny mają swoje obowiązki. Współtworzyć opinię publiczną, przestrzegać jej niepisanych ustaleń, dźwigać solidarnie wspólny los, bo tylko wtedy wydaje się on możliwy do zniesienia, a poczucie samotności i bezsensu, w którym trudno żyć godnie, oddala się na bezpieczną odległość.

Opinia publiczna dysponuje jedyną, ale za to bardzo skuteczną bronią wobec terroru policyjnego, benzynowego, telefonicznego, mięsno-nabiałowego i paszportowego, które władza ma do swojej dyspozycji. Ta wysoce nieprzyjemna, bo właściwie nieodparta broń zwie się terrorem moralnym.

Nie sposób wezwać radiowóz na okoliczność, że w garderobie teatralnej wypowiedzi kolegi-aktora, któremu przytrafiło się znaleźć na „liście kolaborantów” (wypowiedzi zupełnie apolityczne np. o futbolu czy pogodzie) pozostają bez śladu odpowiedzi. Ani wdrożyć śledztwa dlatego jeden robotnik nie zaprosił na piwo drugiego robotnika chociaż zachodzi uzasadnione podejrzenie, że przyczyna afrontu towarzyskiego jest polityczna i wiąże się ze sprawą członkostwa w najnowszych związkach zawodowych. Tym bardziej po dobroci, jeśli w ogóle wolno użyć tego słowa, władza nie umie poradzić sobie z różnymi bojkotami. Wciąż nie opłaca się wystąpić inżynierowi czy pisarzowi w telewizji, nie kalkuluje się aktorze udzielać wywiadów zwłaszcza w nowopowstałych pismach. Inflacyjne pieniądze nie są — okazuje się — warte zamknięcia telefonu, ani tłumaczenia się znajomym. Ale nawet gdyby władza miała dolary na kaperowanie (zresztą ich nie ma) sprawa byłaby niełatwa do przeforsowania. Władza wyspecjalizowana w represji zrobiła się okropnie niezgrabna, kompromitująco hałaśliwie reklamuje i zachowuje się nieojalnie wobec każdego, kto próbuje z nią współpracować. Brak jej stylu gospodarczej surowości, który przybierała za Gomułki, czy cwaniackiego wdzięku epoki Gierka. Ludzie boją się jej, ale nie do tego stopnia by wyzbyć się pogardy i lekceważenia. Słowem tak zwana kolaboracja nie zagraża w obecnym stanie rzeczy duchowi narodowemu, nie jest w stanie rozerwać ludzi silniejszych i słabszych ale trzymających się mocno za ręce. Wydaje się, że bez prawdziwego głodu, ognia i wojny groźby pomieszane z apelami, kłamliwe obietnice i policyjne złośliwości nie zdołają pogniebić społeczeństwa.

Nie kolaboracja więc stanowi tu główne niebezpieczeństwo, lecz emigracja. To emigracja, która stała się polskim zwyczajem od prawie 200 lat, może osłabić wolę aktywnego przetrwania

do lepszych czasów, do następnej niepodległościowej okazji. Solidarność polega między innymi na tym, że każdy czyni z własnych aspiracji jakąś ofiarę dla wspólnej sprawy. Ale trudności obiektywne, przykrości, niejasność losu osłabiają nieformalne zobowiązania. W wielu środowiskach narasta psychoza-przeświadczenie, że emigracja jest wyjściem jedynie słusznym, że w kraju zostana wedle prawa doboru negatywnego tylko smutne niedorajdy, co wyjechać nie potrafią. W zawodach technicznych, w naukach ścisłych o międzynarodowym zastosowaniu wyjazd — przynajmniej na parę lat — dla rodziny — żeby zarobić — staje się naturalny jeszcze bardziej, niż był wcześniej. Inteligencja humanistyczna ma oczywiście nieporównanie mniejsze perspektywy za granicą, ale tym bardziej podatna bywa na emigracyjne marzenia i dotkliwiej się frustruje. Należą do tej inteligencji ludzie utalentowani i mało zdolni, obiecujący i bez przyszłości, którzy czegoś dokonali albo niczego nie osiągnęli, upolitycznieni, apolityczni, rozczarowani i dynamiczni. Otóż każda spośród powyższych cech może, jeśli jest uświadomiona, wywołać nostalgię wyjazdową przechodzącą w obsesję a wtedy decyzja jest już tylko sprawą upragnionej okazji. Temu żal zmarnowanych zdolności, tamten tłumaczy, że jego wyjazd nie będzie dla nikogo stratą, ów nie może znieść przegranej, jeszcze inny sparzył się na polityce, powołuje się na Jałtę, Poczdam, Suworowa i Stalina żeby uzasadnić bezsens nadwiślańskiej egzystencji. Każdy lubi aby z góry rozczulano się nad jego przyszłą emigracyjną niedolą, aby współczuć przynajmniej mu całkowitą rację. Rekordowe wydaje się powiedzenie pewnego intelektualisty, że czeka lepszych czasów na Zachodzie dla przyjaciół — aby nie denerwowali się jego powrotem do Polski.

A przecież (tu powiem coś brzydkiego) od wystugiwania się istnieje zawsze szansa wejścia na dobrą drogę czego mamy liczne i budujące przykłady. Natomiast z emigracji wraca się do kraju niezmiernie rzadko. Jest to decyzja na całe życie. Praktyka wykazuje, że silniejsza bywa od węzłów krwi, nie mówiąc już o zobowiązaniach typu małżeńskiego. Ludzie bardziej psychicznie skomplikowani oceniają ex-post swój proces adaptacji, dystansowania się, niezbędnych korektur osobowości na 10 lat. Zwłaszcza w pierwszym trudnym okresie, niewielu emigrantów może sobie pozwolić na luksus wspomnienia niegdysiejszych śniegów. Muszą codziennie uparcie walczyć z resentymentami i czują że wygrywiają osiągając postęp życiowy. Niepowodzenia tym skutecznie zacierają pamięć dawnego życia. Można sobie nawet dla komfortu moralnego wytłumaczyć (choć aktualnie niełatwo) że w gruncie rzeczy krajowcy żyją sobie znośnie, miewają nawet samochody. Ale w ogóle po pewnym czasie okazuje się, że bez polskich spraw

można normalnie żyć. Przy pomocy dzieci, psów i kotów, chorób i wakacji emigrant obrasta nową tkanką codzienności. Porywa go potężna siła nowego, innego życia. Ex-ojczyzna oddala się niczym stara miłość, zamienia się w przyjazny sentyment, albo dotkliwy żal, zresztą prędzej czy później będzie można kraj odwiedzić, pomóc komu trzeba, zadać szyku i uspokoiwszy wspomnienia, wracać tam gdzie rozgrywa się prawdziwy los. Oczywiście wielu urządzonych już emigrantów będzie gorąco uprawiać filantropię patriotyczną, kupować na końcu świata polskie książki. Tylko, że nikt spośród nich do Polski nie wróci, a dzieci — na co nie ma sposobu — będą im odpowiadać już w obcym a dla siebie swoim języku.

Brak poczucia bezpieczeństwa, sensowności wykonywanej pracy, postępujący rozkład gospodarki powodują, że klasyczne motywy emigracyjne chętnie się upolitycznia. Powołuje się na Jaruzelskiego, ZOMO, jakiś skandaliczny artykuł. Ale wyjeżdżając z Polski zostawia się nie tylko generała, także rodzinę, przyjaciół. Nie wraca się, aby nie patrzeć na łapsów, ale wówczas nie zobaczy się również ludzi którzy robią coś sensownego. Nikt z powracających nie musi przecież zaraz występować w telewizji i prawdę mówiąc nie otrzyma nawet takiej propozycji, chyba, że jest dla władz pewny i sprawdzony. Nikt nie ma prawa obrazać się na społeczeństwo „Solidarność”, zwłaszcza ci, którzy zdecydowali się z nim zerwać w okresie nadziei czy w trudnych okresach represji, ci których jakoś nie raził technicolorowy, PeWeXowski patriotyzm epoki Gierka i metodyczne, brutalne odbieranie złudzeń przez Gomułkę.

Skomplikowana sprawa była z ochotnikami do propagandowej walki o wolność, ale tej prowadzonej w lepszych, bezpieczniejszych warunkach. Zwłaszcza byli pracownicy prasy - radia - telewizji, którzy wymknęli się z kraju już w okresie stanu wojennego łudzą się, że ich doświadczenia stanowią same przez się szansę zawodową. Na ogół trudno im znaleźć właściwy ton. Albo biorą się do pouczania, co odbierane jest w kraju nie najlepiej, albo krępują się, odmawiają sobie prawa do własnego sądu, co czyni ich emigrację, ze społecznego punktu widzenia, bezużyteczną. A poza tym wciąż zjawia się ktoś następny i licytuje, że tylko ten co był świadkiem, uczestnikiem wczorajszych zdarzeń ma prawo kompetentnie mówić o sytuacji w Polsce. Nie wiadomo też, mówiąc brutalnie i demagogicznie, czy list protestacyjny ogłoszony w piśmie emigracyjnym, manifestacja przed konsulem, albo udział w interdyscyplinarnym sympozjum ku czci cnoty i prawdy na wyspach Bahamas, są ważniejsze dla sprawy niż wygłoszenie odczytu w prowincjonalnym kościółku, albo zaopiekowanie się na miejscu rodziną więźnia politycznego. Trochę po-



chopnie pozwala się ludziom w chwili szoku czy załamania, upewnić się w przekonaniu, że na miejscu nie mają już co robić, że ich pierwszym patriotycznym obowiązkiem jest pędzić za granicę i tam czekać na poprawę sytuacji. Przykłady Marii Curie czy Paderewskiego bywają w takim rozumowaniu mocno nadużywane. Są to wyjątki wykraczające daleko poza ogólne rozważania: podwójne fenomeny światowej kariery i wierności sprawie polskiej. Regułą będzie raczej, zwłaszcza w specjalnościach ściśle naukowych i technicznych, wykorzystywanie swoich zdolności za mniejsze lub większe pieniądze co jest transakcją, w której trudno się dopatrzeć głębszego narodowego interesu. Ci ludzie dali sobie radę i chwała im za to. Posyłają paczki, kochają polską wódkę, polskie dziewczyny, tęsknią i na tym siłą rzeczy wyczerpuje się ich polska emocja.

Humanisci ulegają pięknej emigracyjnej legendzie. Ale inni, którzy wcześniej wyjechali i chętnie mówią o emigracyjnym powołaniu nie kwapią się z ułatwieniami wobec nowoprzybyłych. Myślą wychowawczo, a niechże się nowi przetrzą, posmakują zachodniego życia, zahartują się we frustracji i niedostatku aż myśl o powrocie stanie się snem. Ale niekoniecznie poetyckim i miłoszowskim, tylko snem emigrantów z obozów przejściowych, których męczy koszmar, że znowu są w Polsce, i nie mogą się wydostać spośród policjantów, konspiratorów, rewizji i kolejek.

Ciekawe, że psychoza emigracyjna omija często ludzi zagrożonych, represjonowanych, natomiast atakuje tych, co latami tolerowali nieciekawe strony życia reżymowego. Pierwszy symptom, to nagły, namiętny protest wobec nadwiślańskiej rzeczywistości. Powodów rzeczywiście jest w bród, niespodziewana metamorfoza budzi uznanie towarzyskie. Ale uwaga, być może ów radykał zechce protestować w formie rejterady, pozostawiając po sobie płomienne oburzenie a póki co, skoro już wyładował się opozycyjnie, pójdzie kombinować, szukać paszportowych znajomości, które uznają po protekcji czy po łapówce, że od dawna był groźny dla ustroju, dla sojuszków, i trzeba się raptusa pozbyć, nie zajmując jego skromną osobą miejsca w więzieniu. Czasem starający się musi, niestety, dla paszportu i wizy, trochę zaryzykować, udowodnić swoją polityczność. A potem ostatecznie wysoki resort zdecydować jak potraktować groźby, prośby, czy jeszcze pomęczyć, może postawić jakieś warunki, czy załatwić sympatycznie od ręki. Cały ten proceder podłączania się pod opozycję „na krzywy ryj” tym jest paskudniejszy, że władza ludowa, która znów zasmakowała w kierowaniu krętym, ludzkim losem, nie tylko aresztuje, zatrzymuje. Jest nowością ów dwuznaczny liberalizm policyjny, który czasem ułatwia wybór, wręcz nakłania, wywiera fachową presję, stawia propozycje nie do odrzucenia. Zwłaszcza na pro-

wincji, stosowany bywa przymus i szantaż wyjazdowy. Ludzie często nie mają wyjścia, ulegają, bo muszą. Czasem mimo wszystko próbują wytrwać: po prostu na złość policji, męczą się, ryzykują. Ale to wszystko naprawdę mało już obchodzi emigrantów *pseudo*-politycznych. Mawia się w tym środowisku, iż dotąd wolno było wyjeżdżać na stałe oficjalnie tylko Żydom, a teraz nareszcie ułatwiło się to Polakom. I trudno powiedzieć, aby takich ludzi nie interesowało co dzieje się w Polsce. Owszem, pragną liberalizacji, aby spokojnie, wygodnie, wynieść się z kraju.

Ci, których wymagający patriotyzm pchnął w miesiącach niepokojnej nadziei do Kanady albo Australii, ci rozczarowani, którym nieźle się żyło na PRL-owskich placówkach zagranicznych i nie widzą powodu, żeby umartwiać się w kraju, ci pełni wdzięku i uniżoności wobec tajnej policji nie będą się już nikomu tłumaczyć, bo są za granicą bezpieczni również wobec opinii społecznej, mogą opowiadać naokoło co zechcą. Donoszą więc, bardziej ze względów moralnych niż politycznych, aby nie udostępniano im zbyt pochopnie mikrofonu czy druku, gdzie popisywać się będą swoim nieprzejednaniem. Ze względu na tych co pozostali w kraju. Aby żyjąc ciężko nie czuli się śmieszni, bo i tak zostali opuszczeni. Tak jest, bo chociaż nie ma ludzi niezastąpionych, wyjazd każdego komu się w Polsce nie podoba (najlepszy dowód że wyjeżdża) osłabia pozycję, front (proszę wybaczyć wojskowe słownictwo) tych, którzy są przeciw. Ktoś wyłamuje się z szeregu, przyznaje sobie specjalne prawa, traktuje siebie arbitralnie jako szczególny przypadek. Wtedy inni będą być może, podejrzliwie popatrywać po sobie. Ktoś następny nie wytrzyma, bo uzna, że jest nie do wytrzymania. Ktoś następny swoim zniknięciem udowodni beznadzieję i bezsens polskiego krajowego losu; ktoś znów zacznie wciągać krewnych, ich znajomych w niewyraźne rozumowanie o tym, że pozostając w kraju popiera się huntę, grymasić że masa narodowa występuje raz za głupio, za ostro, to znowu zbyt pasywnie, lękliwie, zawsze nie tak jak się należy. Ze ratuj się kto może, póki czas i nieprawda, że wspólnie można zwalczyć uzasadniony strach, bo każdy, jak oni, którzy mają odwagę i zasługę wcześniej się do emigracji przyznać, myśli o tym samym. Mając dość, już ich nie interesuje samopomoc materialna, podpórki duchowe, nie pozwala się sterroryzować moralnie, nie chce słyszeć, że przecież nikt nikomu nie stawia bohaterskich wymagań, przeciwnie każdy sam powinien znać miarę swojej odwagi, której bezpieczniej nie przekraczać. Ci ludzie nie chcą należeć do żadnej odpornej tkanki społeczeństwa, w tym kraju nie widzą siebie, swoich dzieci i żadne argumenty do nich nie trafiają, skoro emigracja stała się ich potrzebą biologiczną.

Nie jestem przeciw emigracji, choćby dlatego, że i mnie pewnego dnia może spotkać taki sam los. Wiem, rozumiem że emigracja była, jest, zapewne będzie potrzebna. A ponieważ nie bywa dziedziczna, musi otrzymywać posiłki krajowe, aby za granicą rozwijała się wolna myśl polityczna, toczyły się dyskusje nad przeszłością i przyszłością, pomnażała się zagrożona kultura narodo-

Czym może być emigracja świadczą — jeśli cofnąć się w czasie — przykłady wieszczy romancyznych, Lenina, Piłsudskiego. Na przestrzeni 38 powojennych lat sprawdza się i utrzymuje emigracja nieliczna, elitarna. Reszta nieuchronnie, z tysiąca rozmaitych w pełni zrozumiałych powodów, rozplywa się po świecie. Również ostatnio, spośród ludzi których stan wojenny zaskoczył na Zachodzie aktywni i kompetentni są znowu ci, dla których poświęcanie się, trudne warunki są czymś oczywistym, którzy traktują swoją sytuację emigracyjną jako zobowiązanie moralne. Więc na emigracji potrzebni są tacy sami ludzie jak w kraju? Czy miałyby zatem powstać jakieś podziemne biuro paszportowe delegujące na emigrację?, zezwalające na powrót? Myśl czysto utopijna i bardzo niedemokratyczna, ale przecież w stanie długotrwałej wojny psychologicznej prowadzonej na wytrzymałość nie możemy sobie pozwolić na emigrację lekkomyślną, którą władza może sterować, a także znajdować w niej ludzi zagubionych, załamanych, gotowych na prawdziwą już, bezwarunkową kolaborację. Nie możemy pozwolić... tylko ten kto chce słuchać tych argumentów, weźmie je ewentualnie pod uwagę. Więc wypadałoby powiedzieć ostrożniej: będziemy się w kraju przejmować emigracyjną niedolą w takim stopniu, w jakim wychodźcy będą o nas pamiętać, i wzajemnie rozliczać się ze słabości i błędów, pamiętając, że podlegamy tym samym prawom i obowiązkom.

Stanisław JAŃCZAK

## Po zawieszeniu stanu wojennego

„19 grudnia 1982 roku Rada Państwa PRL przyjęła doniosłą uchwałę o zawieszeniu z dniem 31 grudnia 1982 roku na całym terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stanu wojennego

wprowadzonego ze względu na bezpieczeństwo państwa”. Wiadomość ta krzyczała tłustym drukiem z pierwszych stron wszystkich gazet. Radio wtórowało z radosną euforią, zachylając się wielkodusznością generała, który uznał, że naród względnie spokojnym zachowaniem zasłużył na zawieszenie stanu wojennego. Dlaczego zawieszenie, a nie całkowite zniesienie? Prawdopodobnie uznano metodę marchwi i kija za skuteczną w obcowaniu z upartymi długouchami. Marchwią jest zwolnienie internowanych, zezwolenie na zbieranie się w miejscach publicznych, zniesienie cenzury prywatnej korespondencji i zamknięcie w telefonie głosu przypominającego, że „rozmowa jest kontrolowana”. Kijem, a nawet czymś w rodzaju miecza Damoklesa jest cały szereg niezwykle mętnie zredagowanych ustaw, ostrzegających potencjalnych „gwałcicieli porządku publicznego” — tak zwane „elementy antysocjalistyczne” — przed jakąkolwiek próbą „naprawy Rzeczypospolitej”, czyli przeciwstawiania się władzy. Na ulicach nie spotyka się już szóstek milicyjno-wojskowych stojących na straży porządku publicznego. Chodzą tylko milicjanci po dwóch lub trzech, żeby było im raźniej. Część internowanych od razu po wyjściu z obozów została wcielona do wojska lub zamknięta w więzieniach. Komisarze wojskowi nie zostali dotychczas odwołani z instytucji cywilnych.

31 grudnia prasa wzruszała się „sylwestrowymi wizytami” premiera. Odwiedzał on tych, co mimo świąt musieli pracować — kolejarzy i pracowników Centrum Zdrowia Dziecka. Prócz ściskania rąk w „serdecznej atmosferze” generał ścisnął i całował dzieci. Stary, wyświechtany chwyt wielu dyktatorów.

Specjalną troską otoczone jest tworzenie nowych związków zawodowych, które osiągnęły już liczbę 2500. „Do zakładów wracają organizacje, bez których nie może funkcjonować ani przedsiębiorstwo, ani państwo w naszych warunkach ustrojowych” — píše *Życie Warszawy* z 3 stycznia. Co prawda nie są te nowe związki popularne. — „W wielu zakładach nadal istnieje wśród załóg rezerwa i wyczekiwanie” — kontynuuje ten sam artykuł w *Życiu Warszawy*. I chyba ma rację. W Fabryce Domów na Służewcu zwołano nadzwyczajne zebranie w celu zorganizowania nowych związków. Robotnicy przyszli niechętnie i przez cały czas demonstracyjnie stali, mimo że przygotowano dla nich krzesła. Nagle przez monotony głos prelegenta przebił się głos z sali — „A po co nam te nowe związki?”. — Na to zebrani wybuchnęli śmiechem i śmiali się tak głośno i długo, że delegacja werbunkowa musiała podać tyły.

Bywają wypadki stosowania szantażu ekonomicznego, który przy ogólnych trudnościach finansowych odnosi zamierzony skutek. W Muzeum Wojska Polskiego akcja formowania nowych

związków szła dość opornie. Kierownicy działów wystawowych i inwentaryzacji nie przejawiali inicjatywy werbunkowej. Znalazł się jednak nadgorliwiec, wicedyrektor administracji A. Czerwiński, który po prostu zaszantażował podległy sobie personel pracowni konserwatorskich. Ostrzegł ich, że nie mają co liczyć na dodatkowe prace zlecone (przynoszące wyższe dochody niż ich miesięczne zarobki), jeśli nie zapiszą się do nowych związków. Następnego dnia miał komplet nowych związkowców.

Struktura nowych związków przypomina system korporacyjny Mussoliniego w faszystowskich Włoszech. Mają one również spełniać tę samą rolę, a mianowicie zwiększyć zależność pracownika od pracodawcy oraz utrudnić porozumienie i współpracę pomiędzy poszczególnymi związkami. Jest to próba zabicia solidarności między ludźmi pracy.

Na skutek brutalnego traktowania młodzieży w 1982 roku zapiekło się jeszcze mocniej uczucie bezsilnej nienawiści do władzy. W dniu 10 listopada wszyscy uczniowie szkoły im. Sempołowskiej w Warszawie przyszli ubrani na czarno, a podczas wszystkich przerw zachowywali kompletną ciszę. Obyło się bez poważniejszych represji. Ta forma protestu jest dowodem dużej dojrzałości i zdyscyplinowania.

W tym samym dniu studenci wydziału psychologii Uniwersytetu Warszawskiego nie stawili się na zajęcia. Reakcja była natychmiastowa. Minister szkolnictwa wyższego prof. B. Miśkiewicz postawił dziekanowi prof. Grzelakowi ultimatum, że jeśli nie ustąpi dobrowolnie ze swego stanowiska, rozwiązany zostanie cały wydział psychologii, a ponowne przyjęcia tak pracowników naukowych jak i studentów będą zależały od podpisania deklaracji lojalności. Prof. Grzelak poprosił ministra o potwierdzenie na piśmie, że nie będą stosowane represje w stosunku do studentów i wykładowców, jeśli ustąpi ze stanowiska dziekana. Oczywiście nie było mowy o tym, by minister podpisał jakąkolwiek gwarancję. Po ustąpieniu dziekana wydział otworzono. Jedynym ludzkim odruchem przyzwoitości było przegłosowanie przez Senat Uniwersytetu podziękowania prof. Grzelakowi za jego zasługi położone dla wydziału psychologii.

W czasie obrad Komitetu Rady Ministrów do Spraw Młodzieży, które odbyły się 6 stycznia, debatowano nad koniecznością „pogłębienia i rozszerzenia badań nad młodzieżą i kształtowania jej świadomości społecznej” — pisze *Życie Warszawy*. — „Eksperti podkreślili, że współczesna polska młodzież jest w swych poglądach i postawach zróżnicowana”. A to już jest powód do zmartwienia, do tego nie powinno się być dopuścić w systemie totalitarnym. Aby tę sytuację naprawić, „Komitet Rady Ministrów uznał za celowe przekształcenie instytutu badań nad mło-

dzieżą istniejącego w Ministerstwie Oświaty i Wychowania w międzyresortowy instytut, który podlegałby bezpośrednio ministrowi do spraw młodzieży”. To postanowienie wydaje się być idealnym rozwiązaniem na wszystkie młodzieżowe problemy, a szczególnie na zróżnicowanie w poglądach i bierność polityczną.

Po koniec ubiegłego roku powołana została Narodowa Rada Kultury, której inauguracyjne posiedzenie odbyło się 24 stycznia 1983 w zamku królewskim w Warszawie. Członkowie Rady zostali nominowani przez gen. Jaruzelskiego. Nie ma wśród nich ani jednego luminarza życia kulturalnego w Polsce. Skrętnie dobrano różne miernoty, przyzwyczajone do jednomyślnego podejmowania uchwał. Minister kultury K. Żygulski, który jest jednocześnie członkiem Rady, stwierdził, że Rada Kultury jest „ciałem społecznym, opiniodawczym i doradczym rządu w zakresie polityki kulturalnej”. Generał zapewnił zaś, że „powołanie Rady Kultury stanowi część składową procesu postępowych reform zapowiedzianych przez IX zjazd partii”. Ten nowy pomysł ekipy rządzącej jest naiwny i grubymi nićmi szyty. Rada Kultury stworzona została w tym samym czasie, kiedy wzmożone zostały ataki na środowiska kulturalne i naukowe. Jest to prawdopodobnie reakcja na rok już trwający bojkot telewizji i radia. Okazał się on bolesny w skutkach i zdecydował o zastosowaniu represji i zmian personalnych w celu rozprawienia się z upartymi zwolennikami liberalizmu w kulturze. Liberalizm kulturalny używany był przez poprzednią ekipę rządzącą jako środek na uspokojenie opinii zachodnich bankierów, od których lały się szerokim strumieniem pożyczki dla Gierka, wyprzedającego Polskę obcemu kapitałowi. Liberalny stosunek do różnych przejawów życia kulturalnego w drugiej połowie lat siedemdziesiątych miał także na celu odwrócenie uwagi krajowej opinii publicznej od stopniowo pogarszającej się sytuacji gospodarczej. Na utrzymanie tego łagodnego stosunku do kultury rząd generała pozwolił sobie nie mógł. Nowo wybrani ministrowie: oświaty — Faron, szkolnictwa wyższego — Miśkiewicz i kultury — Żygulski zabrali się dziarsko do represji w środowiskach naukowych i kulturalnych. Patronuje im w tej akcji wicepremier Rakowski, wstawiony ostatnio rozwiązaniem Związku Artystów Scen Polskich.

Osoby piastujące w wyborze stanowiska zaczęto zwalniać z pracy, zastępując je nominowanymi miernotami. Istnieje niebezpieczeństwo weryfikacji lojalności osób piastujących odpowiedzialne stanowiska w instytucjach kulturalnych i naukowych. W listopadzie ubiegłego roku prof. S. Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, złożył protest na ręce ministra kultury przeciwko lekceważeniu sprawy konserwacji cennych zabytków krajowych. Podczas gdy w Polsce niszczyją dzieła sztuki,

nie mogąc doczekać się na konserwację, wykwalifikowani konserwatorzy wysyłani są na dolarowe kontrakty do krajów zachodnich lub też do pomocy w konserwowaniu obiektów sztuki w Związku Sowieckim. Dyrektor Lorentz postawił ministerstwu ultimatum, grożąc podaniem się do dymisji. Na drugi dzień sam minister Zygułski złożył w Muzeum Narodowym krótką wizytę, gdzie bez zdejmowania płaszcza, na stojąco wręczył dyrektorowi Lorentzowi dymisję. Nazajutrz wezwano do ministerstwa dwóch wicedyrektorów, którym również bez żadnego wytłumaczenia wręczono dymisje. Wszystkim trzem zabroniono wejścia na teren Muzeum Narodowego. Kierownictwo Muzeum oddane zostało w ręce komisji wojskowej, która przeprowadza weryfikacje pracowników i zbiera materiały przeciwko prof. Lorentzowi.

Powołane zostały specjalne komisje — centralna przy Prezydium Rady Ministrów i lokalne przy władzach administracyjnych lub partyjnych (Rady Narodowe, sekretarze partii), których celem jest weryfikacja prawowierności politycznej kadr kierowniczych i członków rad kolegialnych jak np. Rada Naukowa czy Senat Uniwersytetu. Jeśli osoba kwestionowana nie spodoba się komisji, zostanie zwolniona z pełnionej funkcji. W skład takiej komisji wchodzi milicjant, przedstawiciel SB i „czynnik społeczny”, czyli jeszcze jeden ubek.

11 kwietnia przed komisję przy prezydencie miasta Warszawy powołany został dziekan wydziału fizyki i członek Senatu Uniwersytetu Warszawskiego prof. Woźniakowski, oskarżony o uczestniczenie, z racji swego stanowiska, w zebraniu studenckim, na którym wyrażano „poglądy niezależne”, a także połowa studentów miała przypięte znaczki „Solidarności”. Skończyło się na udzieleniu profesorowi upomnienia, groziło mu jednak zwolnienie ze stanowiska dziekana lub w ogóle usunięcie z Uniwersytetu.

Zwalnia się ludzi w bibliotekach, szkołach i teatrach. Dwóm wybitnym aktorom, Adamowi Hanuszkiewiczowi i Gustawowi Holoubkowi, odebrano kierownictwo teatrów Narodowego i Dramatycznego. Teatr Dramatyczny został zamknięty, a na jego miejsce stworzony został decyzją ministra kultury i sztuki teatr Rzeczypospolitej. Nikt nie może zrozumieć, dlaczego popularny teatr Dramatyczny, wystawiający dobre i świetnie grane sztuki, musiał ustąpić miejsca teatrowi Rzeczypospolitej. Czy tylko po to, żeby zgubić po drodze Holoubka i kilku innych aktorów, nie kryjących się ze swymi przekonaniami? „Przedmiotem specjalnej uwagi należałoby uczynić sztuki odważnie odnoszące się do prawdziwego niezakłamanego portretu człowieka doby dzisiejszej, dzisiejszej Polski” — podsumowuje *Życie Warszawy* z

7 stycznia 1983. Czy to nagłe zapotrzebowanie na niezakłamanie nie brzmi w PRL jak farsa?

W ramach uzdrawiania świadomości młodzieży rozpoczęły się czystki w szkołach. Na pierwszy ogień poszli nauczyciele polskiego i historii. Z jednej ze szkół zwolniono nauczycielkę za to, że 10 listopada była ubrana na czarno. Nauczycieli historii, którzy próbowali zapełnić białe plamy w oficjalnych programach szkolnych i przekazać uczniom obiektywne fakty historyczne piętnuje się teraz najbardziej. Dużą rolę w ratowaniu ich przed represjami spełnia Polskie Towarzystwo Historyczne.

Wydział Historii UW przeżywał ostatnio dodatkowe wstrząsy związane ze sprawą Maćka Kuronia, który chciał się przenieść z Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie na Wydział Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Sprawa wydaje się prosta, ale nie dla kogoś o nazwisku Kuroń. W pierwszej instancji poszło gładko — dziekan Wydziału Historycznego prof. Łukaszewicz załatwił podanie pozytywnie. Po dwóch miesiącach, potrzebnych prawdopodobnie na dokładne przekonsultowanie sprawy z nadzrędnymi czynnikami z KC partii, rektor Uniwersytetu prof. Dobrowolski odrzucił wnioski o przyjęcie Macieja Kuronia na studia. Samorząd studencki próbował bezskutecznie interweniować u rektora. Cała sprawa wydaje się zainscenizowaną prowokacją. Gdyby Maciek Kuroń został przyjęty, prawdopodobnie po pewnym czasie wtarłby się w społeczność studencką bez większych konsekwencji. Wiadomość o niedopuszczeniu go do studiów na UW spowodowała znaczny wzrost napięcia wśród studentów, którzy zażądali, aby Senat zaprotestował przeciwko decyzji rektora. 20 kwietnia po czterogodzinnej walce na zebraniu Rady Senatu UW, gdzie starano się wysuwać argumenty czysto ludzkie — obojętne udzielenia pomocy człowiekowi, który po niedawnej śmierci matki i zaareztowaniu ojca jest sam, a jedynym jego przetrwaniem jest to, że jest synem swego ojca — sprawa Maćka Kuronia została przegrana. Nie ma prawa studiować na Wydziale Historii UW, mimo że w 1979 roku był jednym ze zwycięzców Olimpiady Historycznej. Uparta odmowa przyjęcia Maćka Kuronia na Uniwersytet ukazuje słabość władzy, a z drugiej strony potwierdza raz jeszcze perfidne prowokowanie studenckich rozruchów.

Głód książek jest wciąż niezaspokojony. Wydawnictwa historyczne i literackie drukowane bez cenzury mają szalone powodzenie. Sporządzane są listy czytelników, cierpliwie czekających na swą kolejkę. Nieliczne dobre wydawnictwa oficjalne natychmiast znikają z półek i za dużo wyższą cenę dostępne są tylko spod lady. Niedawno w czasie przewożenia transportu książek z drukarni sto egzemplarzy „Napoleona” A. Zahorskiego rozpytnęło

się bez śladu. Nie wiadomo, czy spowodowała to popularność cesarza, czy chęć zarobku. A może i jedno i drugie, bo w księgarniach już tej książki dostać nie można.

Na rogu Belwederskiej i Gagarina otwarto nową księgarnię Uniwersalną. Imponujący salon księgarski, zbudowany ze szkła i niklu z marmurowymi posadzkami i przestronnymi westybulami, takie warszawskie „Centre Pompidou”. W głównej sali królestwo słowa drukowanego. Niepokoje trochę obowiązek zaopatrywania się w koszyki, jak w supermarkecie. Nie bardzo bowiem wygodnie jest przeglądać książki nosząc nieporęczny metalowy kosz. Po chwili jednak okazuje się, że kosz właściwie nie przeszkadza, bo nie bardzo jest co przeglądać. Nie tylko tytuły nie zachęcają do lektury, ale i poziom graficzny wydawnictw jest bardzo słaby. Podniecić się można dopiero kapitalnymi książeczkami w dziale publicystyczno-politycznym. Te małe poręczne formaty pełne są wskazówek dla łaknącego uświadomienia politycznego czytelnika. Coś z „Notatnika agitatora”, a może raczej coś pomiędzy Mrożkiem a Pietrzakiem. Marian Reniak w „KPN — kulisy, fakty, dokumenty” pisze we wprowadzeniu, że odkąd zawodowo para się piórem, podejmuje w swej twórczości problematykę polskiego kontrwywiadu. Józef Tejchma w serii „Refleksje i poglądy” pod tytułem „Polityka i kultura” zamieszcza serie swych przemówień, artykułów i wywiadów z okresu 1980-1981. Perłą jednak stanowi Edwarda Modzelewskiego „Import kontrrewolucji — teoria i praktyka KSS KOR” z cyklu „Interpretacje”. Ze stu czterdziestu stron sześćdziesiąt dwie poświęcone są wpływowi paryskiej *Kultury* na KSS KOR, czyli „działalności na rzecz inspirowania i organizowania ruchu anty socjalistycznej opozycji w Polsce”. Autor twierdzi, że „KSS KOR przejął od *Kultury* metody zwalczania przeciwników techniką działania mafijnego”, a także wzorował się na słownictwie *Kultury* — „eliminując słowo 'socjalizm' a zastępując je słowem 'pluralizm'”, które według p. Modzelewskiego nie budzi podejrzeń zwolenników socjalizmu. Ciekawe, ilu ich jeszcze zostało? Język E. Modzelewskiego do złudzenia przypomina język „Notatnika agitatora”, standardowego „materiału źródłowego” prelegentów z okresu stalinowskiego. Na przykład: „zespół *Kultury*, grupujący w swoim gronie wytrawnych antykomunistów i polakożerców”. Książeczka ta ma jednak dużą szansę na szybkie rozsprzedanie, gdyż skrupulatny autor cytuje długie fragmenty wielu ciekawych artykułów z *Kultury*, aby je potem interpretować.

W ogólnej atmosferze miasta nie czuje się żadnego odprężenia czy ulgi z powodu zawieszenia stanu wojennego. Właściwie nic się nie zmieniło. Ludzie są nieufni, wciąż spodziewają się jakiejś pułapki. Dzień w dzień wędrówki po upstrzonych kolej-

kami ulicach, dyskusje na temat kartkowych przydziałów i podwyżki cen, która coraz bardziej zagraża budżetom liczniejszych rodzin i emerytów. Czasem dochodzi do tego, że emeryci sprzedają część swoich kartek, aby mieć za co wykupić resztę przydziału. To szamotanie się z przyziemnymi problemami walki o byt, wypełniającej prawie po brzegi każdy dzień, umęcza i oglupia. O to pewnie między innymi chodzi, żeby nie było już ani czasu, ani siły na żadne rozmyślenia, wymianę spostrzeżeń lub jakiegokolwiek działania.

Od kilku miesięcy plac Zwycięstwa jest ogrodzony płotem „w celu naprawy nawierzchni”. Tymczasem zabytkowa brama główna Uniwersytetu Warszawskiego świeci poobtłukiwanymi czerwonymi ceglami, przezierającymi przez resztki sypiącego się tynku. Z placu Zwycięstwa zniknął jednak niewygodny krzyż. Uparci warszawiacy ułożyli dwa inne krzyże z kwiatów i gałęzi koło kościołów św. Anny i ss. Wizytek. Wtykają w nie fotografie Wałęsy, podnoszące na duchu wiersze i slogany, zapalają świece, śpiewają pieśni religijne. W krzyż przed kościołem ss. Wizytek wetknięto fotografię Bieruta z wyliczeniem wszystkich jego przestępstw wobec narodu: likwidowanie AK-owców, gwałcenie wolności, dławienie kultury itp. — zakończone chrześcijańskim „wybaczymy”. Milicjanci obserwują z dyskretnej odległości ludzi skupiających się wokół krzyży. Sąsiedztwo kościołów nadaje temu charakter religijny, w przeciwieństwie do krzyża na placu Zwycięstwa, który sąsiadował z Głównym Zarządem Politycznym Wojska Polskiego. Tam nawet pieśni religijne miały niebezpieczny posmak demonstracji politycznej.

Najbardziej przynębiający jest brak nadziei na jakąkolwiek zmianę w obecnej sytuacji politycznej i gospodarczej. Jest to stan kompletnego bezwładu. Jaruzelski potrafił przy pomocy wojska zdławić „Solidarność”, ale nie jest w stanie przeprowadzić zapowiadanej reformy gospodarczej, mając do pomocy ludzi małego wymiaru, jak typowy watażka gospodarczy Obodowski lub oportunistą Olszowski czy czuwający nad ideologią Czyrek, czy wreszcie dławiący kulturę Rakowski. Ci ludzie nie mogą uzyskać poparcia społeczeństwa. Na wymianę ich nie ma co liczyć bez możliwości wolnych wyborów do sejmu i tu wracamy do pozycji wyjściowej. (Czy zresztą mielibyśmy na kogo głosować?). Właśnie żądanie wolnych wyborów do sejmu stało się jedną z głównych przyczyn klęski „Solidarności”.

„Solidarność”, choć ciężko zraniona, ciągle żyje. Świadczą o tym szeroko kolportowane biuletyny prasy podziemnej, których jest już kilkaset tytułów. Czasem zaopoczne gdzieś flaga „Solidarności”. Od czasu do czasu odzywa się „Radio Solidarność”. Ażeby powiększyć grono słuchaczy, parę dni przed każdą audycją

rozrzucane są po mieście małe karteczki z wystukany na maszynie czasem nadania programu i długością fal. Ludzie podnoszą te kartki na przystankach tramwajowych, w sklepach i w kościołach. Ostatnie zawiadomienie brzmiało następująco: „Radio Solidarność ponownie na antenie 31 marca 1983 godz. 21.00. Prosimy nas słuchać na różnych częstotliwościach w pasmie UKF. W razie zagłuszania prosimy nie zniechęcać się, lecz pokręcić gałką odbiornika. Solidarność nie można zniszczyć ani podzielić. Nie da się jej również zagłuszyć. Do usłyszenia. Radio S”. O dokładnie podanej godzinie 31 marca w czasie nadawania Dziennika Telewizyjnego spikerowi nagle odjęto mowę, a na tle jego poruszających się ust przebił się dźwięk sygnału Radia Solidarność, który jest fragmentem okupacyjnej piosenki „siekiera, motyka, piłka, szklanka...”. Audycja trwała kilka minut, w których przekazano garść pokrzepiających wiadomości i apeli. Słuchacze dowiedzieli się też, że próbę generalną programu przeprowadzono włączając się do radiowęzła Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Słyszalność była wyśmienita, dlatego też zdecydowano się na zrobienie konkurencji dziennikowi telewizyjnemu.

Wszystko to są symbole, ale o zasadniczym znaczeniu. Jest to kontynuacja walki o uratowanie godności narodu i konieczna pożywka dla młodzieży, która nie może nagle zawisnąć nad przepaścią bierności i ciszy. I tu staje zadanie przed emigracją — udzielać ze wszystkich sił pomocy krajowi w kontynuowaniu obrony i rozwoju kultury narodowej. Należy rozszerzyć akcję zaopatrywania czytelnika krajowego w publikacje literatury polskiej i światowej drukowane „bez cenzury”. Kraj na to czeka. Ważne jest zachowanie tożsamości kulturowej. A potem pozostaje już tylko dać się ponieść optymizmowi T. Konwickiego, który wierzy, że „nas uratuje cud. Kolejny realny cud... Inne kraje potrzebują dla swej egzystencji dobrych granic, rozumnych sojuszków, zdyscyplinowanych społeczeństw, a nam wystarczy przyzwyczoić cud”.

R. M.

## Sprawy i troski

### Perspektywy polonistyki północnoamerykańskiej

Dobrze się stało, iż *Kultura* ogłosiła artykuł p. Sally Boss „Sławistyka nierosyjska w USA” (wrzesień 1982). Wbrew niepochlebnym komentarzom w rubryce listów (zob. *Kultura* nr. 11 i 12, 1982), jest on przykładem dobrze pojętej publicystyki i daje, z grubsza rzecz biorąc, trafne rozeznanie, albo raczej wprowadzenie do omówionej w nim problematyki. Nie znaczy to, że zgadzam się bezkrytycznie ze wszystkimi tezami autorki. Przede wszystkim tytuł artykułu jest mylący. Powodem zmartwić autorki jest przecież nie sławistyka, lecz polonistyka amerykańska i trzeba rzeczy nazwać po imieniu: źle się dzieje nie ze sławistyką, lecz z polonistyką, bo gdybyśmy potraktowali sławistykę rzeczywiście jako całość i porównali z rusycystyką, to okazałoby się, że sprawy nie wyglądają aż tak źle jak przedstawia je p. Sally Boss. Po drugie kwestia studiów polonistycznych (pojętych szeroko, łącznie z historią, tzw. naukami politycznymi) na uniwersytetach północnoamerykańskich wyizolowana została z szerszego kontekstu emigracyjnego czy etnicznego i dlatego nie wyjaśnia złożoności podjętego zagadnienia. Po trzecie, mimo braku powodów do zachwyty, autorka przesadza chyba w krytycyzmie: w tych ciemnościach przelatują jednak robaczki świętojańskie, a w mrocznym obrazie dadzą się dostrzec przebliski autentycznych osiągnięć. Przeczytać tego faktu nie wolno, bo wyrządza się krzywdę tym, którzy bądź co bądź wnieśli swój wkład do rozwoju polonistyki poza Polską. O nazwiska nie trudno. Prace i tłumaczenia L. Iribarne (Cz. Miłosz), H. B. Segel (A. Fredro), D. Welsh (monografia o J. Kochanowskim i tłumaczenie B. Prusa), G. Gömöri (o C. K. Norwidzie), książka M. Levine o współczesnej poezji polskiej (1925-1975) należą dziś do

lektur zalecanych studentom. Celowo wymieniam tu nazwiska autorów niepolskiego pochodzenia. Ich wkład jest szczególnie ważny, gdyż w większości wypadków połączony jest z działalnością przekładową, a więc niesie większą szansę upowszechniania kultury polskiej. Nie znaczy to, że nie doceniam sławistów-Polaków, ale o tym nieco szczegółowiej za chwilę.

Kwestia polonistyki nie była dotychczas przedmiotem szczególnych rozważań na łamach prasy emigracyjnej, a chodzi tu przecież o sprawę niebłahą, bo upowszechnienie znajomości języka i kultury polskiej na kontynencie amerykańskim, a więc i potwierdzenie naszej obecności wśród społeczeństwa, w jakim żyjemy i pracujemy. To co powiedziałem nie jest czczym frazesem. W tutejszych warunkach obecność etniczna w różnych dziedzinach działalności publicznej bardzo się liczy (w Kanadzie prawdopodobnie bardziej niż w USA), choć waga i znaczenie poszczególnych gałęzi tej działalności może się różnić. Z pewnością więcej ma do powiedzenia warstwa przedsiębiorców (tzw. *businessmen'ów*) i polityków, znacznie mniej natomiast grupujący się wokół uniwersytetów lub innych szkół stan profesorski i nauczycielski. Te dwa ostatnie pozostają tu zawsze w cieniu pierwszych. Ale wspólny wysiłek wszystkich składa się na pewien obraz (tzw. *image*) grupy etnicznej jako całości. Ogólnie rzecz biorąc polska grupa etniczna nie potrafiła, moim zdaniem, wypracować sobie wyraźnego i „wysokiego” profilu (*high profile*), albo mówiąc już zupełnie po polsku — ukształtować wysokiego o sobie mniemania. Może się mylę, ale takie jest moje odczucie sprawy i o ile mnie pamięć nie myli, wspominali już o tym inni. Moje spostrzeżenia odnoszą się głównie do środowiska akademickiego, a w węższym sensie — do spraw polskich na uniwersytetach. W ostatecznym rachunku jednak środowisko akademickie odzwierciedla chyba szersze zjawisko rzeczywistości. Ale gdybyśmy nawet założyli, że wszystko na tym odcinku układa się pomyślnie i, jak to się mówi, „gra”, to przecież nie oznacza to, że nie należy od czasu do czasu poruszać naszej działalności naukowej i dydaktycznej na obczyźnie, a zwłaszcza tutaj. Nawet jeśli przyjmujemy, że dane statystyczne mówiące o dziesięciomilionowej rzeszy Amerykanów polskiego pochodzenia (czy blisko półmilionowej w Kanadzie) są przesadzone, nie ulega wątpliwości, że stanowiącej część składową jakiejś ilościowo pokaźnej, nazwijmy to, „mini” społeczności, „mini” Polski. Pod wieloma względami wspomniana działalność jest ważniejsza niż ta, którą prowadzi się w kraju. Nabiera ona szczególnego znaczenia dziś, kiedy z kraju napływają coraz bardziej ponure wiadomości o represjach środowisk uniwersyteckich i twórczych przez klikę Jaruzelskiego. Dlatego trzeba pogratulować p. Redaktorowi J. Gied-

royciowi zarówno nieomylnego wycucia aktualności chwili jak i niezawodnego instynktu dla zrozumienia ważności tematu — w tym wypadku studiów polonistycznych na kontynencie północnoamerykańskim. Powiadam „na kontynencie północnoamerykańskim”, gdyż uwagi jakimi chcę się tu podzielić czerpię z własnego doświadczenia profesora uniwersytetu w Kanadzie, gdzie obok innych przedmiotów od 1968 roku wykładałem język i literaturę polską.

Muszę się przyznać, że trochę się dziwiłem czytając gwałtowne protesty wyrażone w listach panów profesorów, prof. A. M. Schenker i J. R. Krzyżanowskiego. Dziwię się, ale i w pewnym sensie ich rozumiem. Wszystko zależy od tego, jaką miarę przyłożymy dla oceny tych samych faktów i zjawisk. Zwróćmy uwagę, z jakich uniwersytetów ci naukowcy pochodzą. Profesor Schenker wykłada na Yale, jednej z najlepszych uczelni amerykańskich, i powiada, że zajęcia z literatury polskiej w katedrze slawistyki prowadzą profesorowie V. Erlich i R. Picchio. Ale ileż uniwersytetów może się poszczycić tej klasy uczonymi, wykładającymi literaturę polską? I tutaj dochodzimy do sedna nieporozumienia: uwagi p. Sally Boss odnoszą się do sytuacji panującej na setkach, może nawet tysiącach przeciętnych uniwersytetów i *college'ów* (na których wykształcenie zdobywa właśnie przynajmniej większość dzieci średnio-zamożnych rodziców), zaś prof. A. M. Schenker i J. R. Krzyżanowski mówią o *oazach*, o wyjątkach raczej niż regule.

Sytuacja kanadyjska nie różni się wiele od amerykańskiej. Jest to różnica ilościowa, a nie jakościowa. Chodzi o różnicę skali. Pełne programy polonistyczne, tzn. programy umożliwiające uzyskanie doktoratu z polskiego, istnieją na uniwersytetach w Toronto i Vancouver. Pierwszym programem polonistycznym kieruje zasłużony tłumacz i popularyzator twórczości Czesława Miłosza prof. L. Iribarne. Na University of British Columbia literaturę i historię Polski wykłada znany poeta, krytyk, a dziś można już powiedzieć i działacz polonijny prof. Bogdan Czaykowski, który jest jednocześnie kierownikiem katedry. Jest to fakt tym bardziej godny odnotowania, że — o ile mi wiadomo — jest to jedyny wypadek pełnienia takiej funkcji przez rodowitego Polaka. Potwierdzałyby to zresztą uwagi p. Sally Boss o znikomych wpływach administracyjnych wywieranych przez tutejszych slawistów-polonistów na środowisko akademickie. W strukturze uniwersyteckiej wpływy takie liczą się tutaj bardziej niż w Europie. Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do sytuacji kanadyjskiej. Program polonistyczny istnieje również na University of Alberta, gdzie w ramach slawistyki (rosyjski i szczególnie ukraiński są tu programami bardzo mocnymi, choć

istniejącymi w obrębie tej samej katedry) uzyskać można stopień magisterski. O ile wiem, lektorat języka polskiego wegetuje na University of Manitoba w Winnipegu oraz jakaś namiastka programu polonistycznego istnieje na University of Ottawa, ale obecnie po zgonie T. Krukowskiego los jego jest niepewny. W Montrealu, po świetnych latach sześćdziesiątych, kiedy zresztą nietrudno było o ekspansję, polonistyka wyraźnie się skurczyła, podupadła i może obecność prof. V. Krysińskiego na Université de Montreal zdoła przywrócić jej, przynajmniej częściowo, dawny blask i nadać bardziej prężny charakter. Lektorat języka polskiego istniał (i mam nadzieję, że nadal istnieje) na York University w Toronto, prowadzony przez p. prof. Y. Grabowską.

Zastrzegam się, że podane tu informacje nie pretendują do matematycznej ścisłości (bo też nie o dokładny ich opis tu chodzi), ale też nie odbiegają daleko od obiektywnego stanu rzeczy. Brak studentów i trudności finansowe z jakimi borykają się dziś uniwersytety amerykańskie z pewnością wprowadziły niejedną poprawkę do programów polonistycznych, w wielu wypadkach zagroziły nawet ich istnieniu — także na wspomnianych uczelniach kanadyjskich — i odbiły się ujemnie na całych studiach slawistycznych w ogóle, nie wyłączając rusycystyki. Tym niemniej nie sposób wszystkiego uzasadnić wyżej wspomnianymi trudnościami. Czegoś w takiej argumentacji brakuje. Mnie osobiście od dawna nurtuje, a nawet męczy pytanie jak to się stało, że mając bądź co bądź bogatą tradycję kulturalną, literaturę, która zawsze dostrzymywała kroku głównym fazom rozwojowym literatury europejskiej — nie zdołaliśmy mimo wszystko wzbudzić wśród tutejszej społeczności akademickiej większego zainteresowania. Częściową odpowiedź na to pytanie znajdujemy oczywiście u p. Sally Boss: istotnie, Ameryka nie jest wdzięcznym gruntem do upowszechnienia tych wartości. Chciałbym tu jeszcze dodać, że chociaż współczesna cywilizacja północno-amerykańska stanowi w swym głównym zrębie odgałęzienie europejskiej — krzyżują się w niej z wielką intensywnością i uczestniczą w jej kształtowaniu inne kręgi kulturowe: afrykański, azjatycki, indiański, południowoamerykański itd. Tłoczno tu i trudno o zaimponowanie oryginalnością. Wyszczególnianie tych tzw. „obiektywnych” czynników niepowodzeń usprawiedliwia raczej brak sukcesów niż je wyjaśnia. Dlatego chcę tu mówić o sprawach, które są jakoś przemilczane, a w moim przeświadczeniu stanowią jednocześnie niezbędny warunek zmiany istniejącej sytuacji w przyszłości. Pragnę zacząć od wykładawców.

Oczywiście najprościej jest obarczyć winą za istniejący stan rzeczy profesorów: że niedostatecznie dbają o swój przedmiot,

że wykazują brak aktywności, że spoczęli na laurach, że przytłoczeni nawałem obowiązków nie wytrzymują tempa współzawodnictwa (istotnie jest ono tu mordercze, jak słusznie zauważyła p. Sally Boss) i w rezultacie obojętnieją na sprawy polskie, hołdując zasadzie „niewychylania się” itd., itd. W liście p. J. Lubańskiego (*Kultura* nr 1-2, 1983) pobrzmiwia nawet nuta groźnego oskarżenia: zaprzędaliśmy się! Zaprzędaliśmy się złotemu cielcowi. Dobra płaca, piękne domki, rozjazdy, atrakcyjne wakacje (dziwne, że w tym kontekście nie wymienione zostało słowo „kochanki” — one przecież też należą do nieodzownych atrybutów dobrobytu). Słowem obrośliśmy w tłuszcz, daliśmy się zwięść pokusom doczesnego materializmu i wyraz „Polska” ztracił w nas swój istotny sens. A więc co? Wyzbyć się tych materialistycznych ciągotek a wszystko automatycznie się naprawi, zmieni samo przez się? Albo zacząć „nawracać” Amerykanów którzy, jak sam p. Lubański pisze, są „ignorantami w sprawach wykraczających poza sport i uciechy codziennego *American way of life*”? A więc mamy się przekształcić w jakichś wędrowców, pątników propagujących określoną sprawę? Moim zdaniem jest w tej postawie coś z Nabokowowskiego Pnina, z plecakiem książek na grzbiecie, jakieś odległe echo emigracji dziewiętnastowiecznej. Ci co taką postawę propagują zapominają, że żyjemy w wieku dwudziestym. W dziewiętnastym wieku świat zachodni był bardziej skłonny do zrozumienia idealizmu, wyrzeczeń i poświęcenia emigracji polskiej. Aż dziw bierze, że po tylu latach gorzkich doświadczeń i rozczarowań, zarówno w Europie jak i Ameryce, nie nauczyliśmy się definiować naszych działań w kategoriach bardziej realistycznych, racjonalnych i wciąż wybieramy się z przysłowiową motylką na księżyc. Jakie jest wyjście z tego ślepego zaułka w jakim znalazła się polonistyka amerykańska? Pani Sally Boss doradza pisać listy, podejmować inicjatywy. Dobrze, pisać, ale po co i do kogo? Otóż twierdzę, że polonista na kontynencie północnoamerykańskim jest chyba najbardziej wyizolowaną zawodowo osobą w środowisku akademickim. Polonista jest jednostką wyizolowaną podwójnie: raz że sprawy polskie obchodzą administrację uniwersytecką tyle co zeszłoroczny śnieg i często spotyka się on on z wyraźną niechęcią zwierzchników; po drugie, jego zabiegi o pomoc Polonii napotykają zwykle na mur obojętności, a jeśli udziela mu się pomocy, to ma ona wyraźnie charakter odświętny, sporadyczny. W działalności organizacji polonijnych sprawy nauczania języka polskiego znajdują się na szarym końcu. Zdarzają się przecież wypadki niedwuznacznych oświadczeń, że pieniądze wydać możemy na wszystko byle nie na kulturę polską, bo ostatecznie komu to potrzebne. Przesadzam? Może, ale moje narzekania w tym zakresie zilustruję



przykładem z własnego doświadczenia. Kiedy przyjechałem do Edmonton, poradzono mi skontaktować się z miejscowym kołem studentów polskiego pochodzenia. Rozumiałem ważność takiej inicjatywy. Byłem pierwszym Polakiem mającym wykładać te przedmioty, poprzednio wykładali polski ludzie bez odpowiedniego przygotowania; nadarzała się okazja, aby tę sytuację poprawić. Istotnie zjawiała się na tym zebraniu spora grupa młodych ludzi, ale jakież było moje zdziwienie, kiedy po moim wystąpieniu jeden z nich wstał i oświadczył, że niech ja sobie nie wyobrażam, że oni (tzn. ci młodzi ludzie) przyjechali tu po to, aby budować drugą Polskę, że takie przedmioty są im właściwie niepotrzebne itp., itp. Nawiasem mówiąc w swych uwagach nie wspominałem o żadnym budowaniu „drugiej Polski” natomiast wskazywałem na praktyczne i kulturalne korzyści płynące ze znajomości języka polskiego. Aspekt praktyczny jest tu szczególnie ważny: lekarz czy prawnik znający język polski ma szansę przyciągnięcia szerszej klienteli i zarazem dopomożenia nowoprzybyłym emigrantom. We wspomnianej wypowiedzi wyczułem jednak jakąś złośliwą chęć dokuczenia, a może i odrobinę naszej małostkowej zazdrości: „aha, przyjechał i chce sobie uwić ciepłe gniazdko profesorskie z polskich studentów”. Na szczęście w moim wypadku nie zachodziła taka potrzeba, bo miałem wykładać także i inne przedmioty, ale pozostało mi po tym zebraniu nie tylko uczucie zawodu, ale i niesmaku, oraz pytanie: dlaczego mam zabiegać o rodzaj łaski. Najbardziej byłem jednak zaszokowany obojętnością tych, którzy mieli być rzekomo zainteresowani polskim, polską literaturą. Nieco później zrozumiałem motywy takiej postawy. Na ogół studenci wybierający język czy literaturę polską czynią to w ramach jakiejś innej specjalizacji, która z reguły przewiduje tzw. *option*, czyli możliwość wyboru dodatkowego przedmiotu z innej dyscypliny i podług własnego upodobania. Wybór takiego przedmiotu nie jest jednak sprawą bezinteresowną: chodzi o wybranie takiego wykładu, który pozwoliłby na podniesienie *przeciętnej* ostatecznej oceny studiów przy — oczywiście — minimum wysiłku. Im lepsza taka ocena tym większa szansa otrzymania pracy. Ci co osłuchali się i wynieśli z domu jako taką znajomość polskiego sądzą, że nadarza się okazja poprawienia owej przeciętnej. Ich wybór jest jednak podyktowany wyrachowaniem, a nie emocjonalnym przywiązaniem do języka ojców. Nie twierdzę, że tych ostatnich wypadków nie ma, ale należą one niestety do rzadkości. W tym miejscu jeszcze kilka uwag o wykładowcach. Z małymi wyjątkami, sławistyka nierosyjska traktowana jest przez katedry jak piąte koło u wozu, i kiedy zatrudnia się nowego wykładowcę, np. „polonistę”, zakłada się niemal z góry, że nie będzie on miał pełnego

wymiaru godzin, a przeciwnie — będzie wykładać także w obrębie innych, pokrewnych dyscyplin (np. rosyjski lub ukraiński\*). Do wykładania polskiego wybiera się często ludzi ze specjalizacją inną niż polski i ich znajomość polskiego jest na ogół słaba. Wytwarza się rodzaj błędnego koła: z jednej strony nie zatrudnia się odpowiednich fachowców, z drugiej zaś studenci nie chcą „brać” przedmiotu, w którym nie zapewnia się im kompetentnego instruktora. To zniechęca nawet tych, którzy wybierają wspomnianą *option*, w tym wypadku polski, z rozsądku raczej niż — nazwijmy to — etnicznego sentymentu; ostatecznie w ich wypadku powinno to być obojętne kto wykłada i jak, bo chodzi przecież głównie o uzyskanie zaliczenia i jak najlepszego stopnia przy minimum wysiłku, ale dobry fachowiec zawsze imponuje i posiada magnes przyciągający słuchaczy. Niestety zdarza się nieraz i tak, że studenci mówią po polsku lepiej niż wykładający. Stwarza to dodatkowe napięcia, człowiek *ex cathedra* narzuca swój autorytet wykładowcy środkami innymi niż autorytet wiedzy i w rezultacie wszyscy są zniechęceni.

Chciałbym tu wspomnieć jeszcze i o innym problemie który, moim zdaniem, przyczynił się w pewnym stopniu do braku zainteresowania językiem, literaturą i sztuką polską. Mimo wielkich zasług jakie wcześniejsza emigracja położyła dla utrwalenia polskości na tym kontynencie — możliwości jej były znacznie bardziej ograniczone gdy chodzi o upowszechnienie wartości stworzonych przez naszą tradycję kulturalną. Rezultat był taki, że w świadomości tubylców kultura polska utożsamiona została z tańczeniem krakowiaków, kujawiaków lub ognistych tańców góralskich ze znanym już dziś nawet wśród Amerykanów pokrzykiwaniem „hop dziś-dziś” lub „oj dana moja dana”. Ale tańce ludowe wykonują często przy różnych okazjach także Albańczycy, Bułgarzy, Macedończycy, Turcy... W tym morzu etnicznym zostaliśmy zgłajchszałtowani z tymi, którzy właściwie nie posiadają jakiejś dłuższej tradycji, zredukowani do poziomu małych narodów, które nie odgrywały w nowoczesnej historii Europy jakiejś większej roli. Nie chcę tu niczych wartości pomniejszać, ani obrażać godności narodowej, ale różnice przecież są. Dlatego nie zdziwił mnie fakt, gdy w miejscowej gazecie bądź co bądź dziś już prawie siedmioletniego miasta przeczytałem w recenzji pewnej pani zdanie, odnoszące się oczywiście do Polski, że „w ciągu tysiącletniej historii Polacy cieszyli się zaledwie dwu-

\* Już po napisaniu tego artykułu przeczytałem, że Uniwersytet Ottawski ogłosił konkurs na stanowisko profesorskie o specjalizacji rosyjsko-polskiej. Mogę się założyć, że wybrany zostanie ktoś, kto jest zainteresowany przede wszystkim rusycystką.

dziesiątymi latami niepodległości". Chodziło oczywiście o lata 1918-1939, a recenzja poświęcona była powieści *The Thousand Hour Day*, napisanej przez Kuniczaka, pisarza polskiego pochodzenia piszącego po angielsku. Inny przykład: zaproszony zostałem kiedyś do wygłoszenia odczytu na temat Solidarności w okresie największego jej rozkwitu. Słuchaczami byli ludzie o średnim i wyższym wykształceniu. Zamiast o Solidarności, mówiłem głównie o historii Polski. I jakież było moje zdziwienie, gdy okazało się, że odkrywam przed słuchaczami nową Amerykę. Nic im nie było wiadome o początkach Polski, o świetnym okresie Jagiellonów, o Renesansie, o naszej wielkiej tradycji tolerancji i monarchii elekcyjnej. W ich świadomości Polska kojarzyła się z krajem ciągle bitym, poniewieranym przez innych (swoją drogą sami przyczyniamy się do takiego właśnie obrazu Polski), a jeden ze słuchaczy przyznał się, że stawiał Polskę w rzędzie takich samych krajów jak Albania. Gratulowano mi wystąpienia, gdyż jak zgodnie oświadczyli wszyscy obecni na sali, pomogło ono zrozumieć samo zjawisko Solidarności. I wreszcie parę słów o jeszcze jednej przeszkodzie na drodze do upowszechniania naszych wartości duchowych: wasalska, służalcza wobec Sowietów polityka reżymu komunistycznego. W sytuacji kiedy tzw. suwerenność Polski utożsamiona została z prawem władców do niszczenia i dławienia najświętszych aspiracji narodu do samodzielnego bytu — staliśmy się w oczach innych przybudówką sowieckiego imperium i niczym więcej. To już nie chodzi po prostu o bycie satelitą, bo rola i znaczenie Polski wśród narodów europejskich zredukowane zostały do minimum. Ileż to razy w przeszłości musiałem tłumaczyć młodym adeptom slawistyki i w ogóle młodym ludziom w Kanadzie, czy w Danii sąsiad o miedzę!), gdzie również wykładałem polski, że nie mamy alfabetu cyrylicznego, że posługujemy się „łacinką”, że mamy zupełnie odrębną w stosunku do rosyjskiej kulturę i literaturę. Myśląc o podjęciu studiów slawistycznych młody człowiek rezonuje prosto i logicznie: zamiast brać jakiś peryferyjny język imperium, wezmę rosyjski, bo to umożliwi mi zorientowanie się we wszystkich innych peryferyjnych sprawach imperium łącznie z kulturą. Nie widzę powodów dla których istniejąca sytuacja mogłaby ulec poprawie w najbliższej przyszłości.

W świetle powyższych uwag, jakie nasuwają się wnioski? Co zrobić, aby zmienić istniejące układy na bardziej korzystne? Wydaje się, że obarczanie winą profesorów niewiele tu pomoże. Sprawę polonistyki na uniwersytetach północnoamerykańskich powinno się uczynić sprawą całej Polonii, co znaczy, że znów wkraczamy w sferę polityki etnicznej i jej zadań. Otóż wydaje mi się, że wysiłki wszystkich grup etnicznych idą dotychczas w nie-

właściwym kierunku, bo zmiierają przede wszystkim do utrwalenia prawa do zachowania i posiadania własnego obyczajowego, językowego i kulturalnego getta, a nie do upowszechnienia ich wartości wśród szerszych kręgów ludności. Jest to polityka paasywna i, podejrzewam, bardzo odpowiadająca interesom anglosaskiej większości. Czego nam potrzeba to polityki aktywnej: chodzi o znalezienie takich form działalności, takich mechanizmów transmisyjnych, które by pozwoliły na bardziej skuteczne upowszechnianie i włączenie do obiegu tutejszych wartości, opartych głównie na tradycji anglosaskiej, naszych własnych zdobyczy kulturalnych. Nie wiem w jakim stopniu możliwe to jest do zrealizowania w Stanach Zjednoczonych, gdzie *melting-pot* stał się zasadą życia, ale w Kanadzie z pewnością da się jeszcze sporo zrobić. Potrzebne tu jest jednak współdziałanie a nie wzajemne oskarżanie się o brak dobrych chęci. Dlaczegożby np. nie domagać się włączenia do programów szkół średnich kilku pisarzy polskich w angielskich przekładach? A z pewnością można by znaleźć więcej takich inicjatyw. Nie robią tego jednostki, muszą tu działać grupy nacisku, a więc chodzi o działanie zbiorowe.

Mówiąc o środowisku uniwersyteckim warto by się zastanowić czy wspólnym wysiłkiem nie dałoby się stworzyć jakiegoś centrum studiów polonistycznych, na wzór ukraińskich w Harvardzie, albo Instytutu Ukrainistycznego stworzonego w Edmontonie i zajmującego się głównie ogłaszaniem prac po angielsku, poświęconych literaturze, historii i językowi ukraińskiemu. Dojrzała sprawa założenia jakiegoś porządnego pisma w języku polskim na tym kontynencie. W miarę rosnącego oporu w kraju, większa liczba twórców będzie chciała korzystać z wolnej trybuny słowa. *Kultura* paryska pozostanie tu niedoścignionym wzorem i nie da się jej niczym zastąpić, ale z pewnością można ją uzupełnić i trochę odciążać. Jest dla mnie rzeczą niepojętą, że na kontynencie tak olbrzymim i tak bogatym, o tak dużej ilości emigrantów z Polski, niczego trwałego na tym polu nie dało się stworzyć. Również wielkiego znaczenia nabiera sprawa bardziej atrakcyjnego pisma naukowego w języku angielskim. Osobiście cenię sobie *Polish Review*, ale czy nie dałoby się mu nadać większej rangi i rozgłosu? Oba takie pisma, tzn. jedno w języku polskim i drugie w angielskim, spełniałyby dwie różne funkcje: pierwsze miałoby spełniać funkcję kulturotwórczą, tzn. udostępnić swoje łamy pisarzom, krytykom, artystom nie godzącym się na kompromis z reżymem, drugie zaś powinno być nastawione na upowszechnianie kultury polskiej i mieć nie tylko charakter akademicki, lecz być otwarte na sprawy bieżące, reagować na różne przejawy życia kulturalnego tutaj (np. gdzie może się ukazać obiektywna recenzja o takiej szmirze jak *Winds of War*, pokaza-

nej niedawno w USA przez ABC i w Kanadzie przez CTV, w której znów odmalowani zostaliśmy — konkretnie mówiąc polski oficer — jako antysemita i niemal idiota. Wydaje się, że rzeczą szczególnie ważną byłoby podkreślenie związków współczesnej kultury i literatury polskiej z dawną i nowszą tradycją zachodnią. W tej dziedzinie zrobiliśmy bardzo mało, aby nie powiedzieć nic, a przecież wbrew czterdziestoletniej blisko izolacji i niszczącemu działaniu narzuconego ze wschodu systemu, kultura polska zdołała zachować w zasadniczym zrzębie swój zachodni charakter.

Pomyśleć by też może warto o stworzeniu stowarzyszenia wykładowców języka polskiego, a może jakiegoś ciała koordynującego, lub organizującego, inspirującego badania w zakresie kultury polskiej. Bułgariści w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie powołali do życia tzw. *Bulgarian Study Group* złożoną w przytłaczającej części z Amerykanów i Kanadyjczyków (nawet dołączyło się do tego kilku Europejczyków). Rezultat? Trzy interesujące konferencje poświęcone literaturze, historii i językowi bułgarskiemu na przestrzeni stosunkowo krótkiego czasu. Grupa wydaje regularnie biuletyn informujący systematycznie o poczynaniach naukowych w zakresie bułgarystyki (sympozja, konferencje, publikacje itd.). Rzeczą niezwykle ważną jest tu zaktywizowanie właśnie naukowców tutejszych, tzn. urodzonych tutaj.

Zasugerowałem zaledwie kilka możliwych inicjatyw. W czasach dzisiejszych uniwersytety rozpaczliwie szukają nie tylko nowych dróg ale i uzasadnienia swego istnienia, związków z praktyką. Otwiera się wielka szansa, aby połączyć wysiłki wszystkich, aby wydobyć polonistykę północno-amerykańską z akademickiej izolacji, rozczłonkowania i chaosu i uczynić ją sprawą naszej codziennej działalności. W okresie zagrożenia naszej kultury, jakie obecnie istnieje, nie ma nic szlachetniejszego nad upowszechnianie i kontynuowanie wysiłków zmierzających do zachowania jej autentycznego i niezależnego charakteru. Zrozumienie tej prawdy oznacza zmianę nastawienia do polonistyki, rozumianej w szerszym znaczeniu tego wyrazu.

Artykuł ten podyktowany został nie tylko uwagami p. Sally Boss, lecz także nagromadzoną pod wpływem nieustannych obserwacji frustracją oraz rozwojem ostatnich wypadków w Polsce. Nie potrafię zrozumieć jak można wciąż liczyć na „dialog” z dyktaturą, o którym piszą publicyści, a i Kościół tę iluzję podtrzymuje. Cenię sobie niezwykle wysoko opinie Stefana Bratkowskiego (któż by to się przed laty spodziewał, gdy graliśmy nieopodal boiska Wisły w piłkę nożną — on reprezentował wydział prawa i stał bodajże w bramce, a ja grałem po stronie filologów na lewym skrzydle — że wyrośnie z niego tej klasy dziennikarz,

publicysta i polityk!), ale jego konkluzje w artykule „Polska: życie na zakneblowanym wulkanie” są zupełnie nierealistyczne. Nie będzie ani ustępstw, ani dialogu, pozostanie natomiast brutalna i niczym nieskrępowana dyktatura z którą trzeba będzie prowadzić ciężką walkę przez długie lata i obawiam się, że moje (i Bratkowskiego) pokolenie dnia zwycięstwa nie doczeka. Dlatego bardziej przemawiają do mnie uwagi i myśli J. J. Lipskiego wypowiedziane w wywiadzie „Proces o podpalenie PRL”. Czytamy tam następujące zdanie: „Emigracja będzie musiała — jako całość — podjąć dzieło ratowania od nowa zagrożonej kultury polskiej. Jest to zadanie z punktu widzenia życia narodowego pierwszoplanowe” (*Kultura* nr 10, 1982, str. 10). Odnoszę wrażenie, że uwagi te wypowiedział człowiek, który nie stracił poczucia rzeczywistości i dobrze wie o czym mówi. Podjęto już rozmaite inicjatywy zarówno lokalne jak i o zasięgu międzynarodowym w celu dopomożenia kulturze polskiej. W tej akcji nie powinno zabraknąć uniwersytetów. Są one przyczółkami, które mogą i powinny się stać ważnym elementem upowszechniania wiedzy o Polsce, jej kulturze oraz ideałach Solidarności (niedawno przeczytałem w jednym z australijskich kalendarzy uniwersyteckich, że do programu polonistyki włączono przedmiot o Solidarności), ale trzeba wyzbyć się nieufności i stworzyć takie formy współpracy, które by pozwoliły uczynić z polonistyki w USA i Kanadzie aktywne ogniwo działalności polonijnej. Innej drogi nie ma.

Edward MOŻEJKO

## Solidarność w W. Brytanii

Od stycznia 1981 działa w Wielkiej Brytanii reprezentacja NSZZ Solidarność — „Grupa Robocza Solidarności” (314/320 Gray's Inn Road, London WC IX 'DP tel. 387-9464). Grupa składa się z członków Solidarności i Niezależnego Zrzeszenia Studentów, których 13 grudnia 1981 zastał na ziemi brytyjskiej. Przewodniczącym Grupy jest członek zarządu Regionu Mazowsze — Artur Świergiel. Główne kierunki działalności Grupy to: organizacja pomocy dla prześladowanych związkowców w Polsce, prowadzenie Biura Informacyjnego, które wydaje 2-tygodniowy biuletyn w języku angielskim oraz utrzymywanie kontaktów z brytyjskimi związkami zawodowymi.

Dnia 16 marca odbyła się w gmachu centrali związkowej TUC konfe-

rencja poświęcona intensyfikacji i koordynacji pomocy dla NSZZ Solidarność.

W konferencji, zorganizowanej przez szefa Działu Międzynarodowego TUC Michaela Walsha, udział wzięli między innymi: Sekretarz Generalny CPSA (związku urzędników państwowych) Alastair Graham, Prezydent NUJ (związku dziennikarzy) Jonathan Hammond, Sekretarz Generalny Equity (związku aktorów) Peter Plouviez oraz przedstawiciele władz krajowych związków NUR (kolejarzy), UCW (pocztowców), NALGI i IPCS (urzędników miejskich i państwowych). Listy z wyrazami poparcia przesłali też przedstawiciele USDAW (pracowników sklepowych) z Manchesteru oraz większego brytyjskiego związku TGWU (transportowców). Przewodniczył obradom członek Rady Głównej TUC Ken Baker. Solidarność reprezentowali Artur Świergiel — Przewodniczący Grupy Roboczej oraz Marek Garztecki — kierujący pracami Biura Informacyjnego. Zebrani potwierdzili swe poparcie dla walki NSZZ Solidarność w Polsce, jak też dla istnienia Biura Informacyjnego Solidarność w Londynie. Postanowiono też utworzyć centralny fundusz TUC w celu zwiększenia pomocy materialnej dla działalności informacyjnej Solidarność w Wielkiej Brytanii oraz komitet, który będzie tym funduszem dysponował. TUC potwierdziło uznanie Biura Informacyjnego Grupy Roboczej NSZZ Solidarność za jedyne prawowitego reprezentanta Związku na terenie Wielkiej Brytanii.

Jak dotychczas, brytyjcy związkowcy woleli udzielać Polsce pomocy czysto humanitarnej, stroniąc od czynnego popierania walki podziemnej. Odbudowa struktur i wzmocnienie się Solidarność w Kraju połączone z presją szeregowych członków wpłynęły na ewolucję ich stanowiska. Deklarowane obecnie poparcie ma mieć charakter stały i to aż do odzyskania przez NSZZ Solidarność wszystkich należnych praw. Praktycznym tego wyrazem jest działalność ICFTU (Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych), w której TUC posiada głos decydujący. To właśnie ICFTU oraz chrześcijańska federacja związkowa WCL doprowadziły do potępienia gwałcenia praw człowieka i obywatela w PRL przez ILO (Międzynarodową Organizację Pracy). Przekazana przez obie federacje dokumentacja skłoniła ILO do powtórnego wystąpienia wobec rządu PRL o umożliwienie zbadania faktów na miejscu, w Polsce. Jeśli władze PRL odmówią tej prośbie po raz drugi, ILO zapowiada zwołanie specjalnego trybunału. Warto podkreślić, iż byłby to pierwszy przypadek zajęcia się przez trybunał ILO sprawą łamania praw człowieka i obywatela w kraju bloku wschodniego.

## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

Czaru leninowsko-marksistowskiej dialektyki nie docenia tylko ten, kto jej nie zna. Główne jej rysy znajdują ostatnio wyraz w materiałach o Polsce, ogłaszanych w gazetach, czasopiśmie, niekiedy i w książkach. Z jednej strony Polska „normalizuje się” w szybkim tempie: „Górnicy z miesiąca na miesiąc zwiększają wydobycie 'czarnego złota'. Gospodarstwa rolne sektora uspołecznionego wnoszą szczególnie wielki wkład w zaopatrzenie państwa w zboże”. „Pegeery i spółdzielnie produkcyjne — oznajmia specjalny korespondent *Izwestii* z 13 kwietnia 1983 — dostarczyły państwu milion ton zboża”. Polski dziennikarz Adam Wysocki z kolei informuje sowieckich czytelników, że „plany kontrrewolucyjnego buntu w Polsce i oderwania jej od bratniej rodziny krajów socjalistycznych zakończyły się porażką” (*Izwestia* z 17 kwietnia 1983). Z jednej więc strony wszystko idzie jak najlepiej (no, powiedzmy, nieźle), ale z drugiej strony (na tym właśnie polega dialektyka, żeby spojrzeć i z drugiej strony) imperializm wyhodował sobie w Polsce kontrrewolucyjną „piątą kolumnę”. Poinformował o tym autorytatywnie sekretarz KC i członek Politbiura Michaił Gorbaczow na uroczystym posiedzeniu w Moskwie z okazji rocznicy urodzin Lenina (*Prawda* z 23 kwietnia 1983). „Piątą kolumnę” wyhodowano w ramach „precyzyjnie opracowanego scenariusza przewrotu kontrrewolucyjnego w PRL”. Scenariusz ten, ujawnia *Literaturnaja gazeta* nr 14 z 6 kwietnia 1983, opracował nie kto inny jak Zbigniew Brzeziński, kiedy był „pomoconikiem prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa”. Plan Brzezińskiego był prosty: wykorzystać zadłużenie zagraniczne Polski, podsyć nastroje antysowieckie i stworzyć w Polsce „rząd koalicyjny”. Tu znowu wchodzi w paradę dialektyka: plan był podstępny i perfidny, ale Zbigniew Brzeziński „pokpił sprawę, bo nie docenił siły i zwartości całego łańcucha (myślał, że Polska to „słabe ogniwo”), potęgi wspólnoty socjalistycznej”... „Dialektyczne sprzeczności” rozwiązuje się drogą „nasilenia

pracy ideologicznej". W nabierającej z dnia na dzień rozmachu kampanii ideologicznej Polska służy jako model i przestroga. Artykuł pierwszego sekretarza KC KP Estonii Karla Wajno (*Ko-munist* nr 4/1983) wyciąga wnioski z wydarzeń w Polsce i ostrze-ga. K. Wajno przyznaje (po raz pierwszy w prasie sowieckiej), że w Estonii kursowały ulotki z napisem „przeczytaj i podaj dalej”, w których „na wzór polskiej Solidarności nikczemnie pod-żegano do strajków”. Pierwszy sekretarz przytacza nawet przy-kład „nikczemnego podżegania”: „Jeśli jesteś za sprawiedliwoś-cią i demokracją, weź udział w półgodzinnym 'strajku milczącym' począwszy od 1 grudnia. Zachowaj półgodzinne milczenie każde-go pierwszego dnia każdego miesiąca”. Wódz estońskich komu-nistów donosi jednak swym moskiewskiemu zwierzchnikowi, że nic z tego nie wyszło: „Organizatorzy wrogiej kampanii ponieśli klęskę... Dywersanci ideologiczni, chcący 'wysondować' sytuację w Estonii, napotkali zorganizowaną jedność naszego narodu”. Wiadomo, że były aresztowania i szykują się procesy.

K. Wajno zwraca tym niemniej uwagę na „konieczność dal-szego zwiększenia czujności politycznej” i tłumaczy się, objaś-niając, dlaczego akurat Estonia okazała się podatna na „nikczem-ne podżeganie”. Objasnienia te stosują się i do kilku innych sowieckich republik, a także do wszystkich krajów obozu. Prze-de wszystkim „władza sowiecka zaprowadzona została w Estonii dopiero w 1940 roku... Przeciwnik ideologiczny liczy dziś na względną młodość władzy sowieckiej w Estonii, na fakt, iż istnie-ją w republice ludzie, których świadomość przez długi czas ulega-ła silnym wpływom ideologii burżuazyjnej”. Druga przyczyna to nacjonalizm. „Wiadomo — informuje K. Wajno — że ideolodzy burżuazyjni zawsze stawiają na nacjonalizm”. W Estonii na przy-kład wroga propaganda „usilnie lansuje tezę o postępującym dławieniu kultury estońskiej i języka”, o utracie „tożsamości na-rodowej”. Pierwszy sekretarz kategorycznie zaprzecza tym nik-czemnym wymysłom i ogłasza rozkwit kultury estońskiej, który wyraża się przede wszystkim „rozszerzeniem telewizyjnych pro-gramów informacyjnych w języku rosyjskim celem zaspokojenia specyficznych potrzeb językowych, kulturalnych i bytowych oby-wateli pochodzenia nie-autochtonicznego”. Królewski trakt wal-ki z nacjonalizmem prowadzi do przetopienia wszystkich naro-dów ZSSR w naród sowiecki.

Ponieważ jednak na drodze tej piętrzą się przeszkody, K. Waj-no proponuje konkretne środki udoskonalenia ideologicznego wychowania narodu estońskiego, a wśród nich nieustanną propa-gandę nie tylko w pracy, ale i w domu. Mówiąc jego słowami, „zwiększa się zainteresowanie dla potrzeb i aspiracji mikro-rejonów [czytaj: osiedli] miejskich”.

Estońscy agitatorzy i propagandyści nie dość pracowali — ot i główna przyczyna pewnego „ideologicznego rozluźnienia”. W Polsce rozluźnienie to przybrało oszałamiające rozmiary — w tym cała bieda. Pora konieczne podjąć kroki. Jakże mianow-icie, sugeruje m.in. pismo *Woprosy filozofii* ze stycznia 1983 w

artykule zatytułowanym krótko i z naukową jasnością „Fałszo-wanie historii i teorii marksizmu-leninizmu w służbie kontrre-wolucji” (rubryka: „Walka ideologiczna na obecnym etapie”). Autorami artykułu są: Jurij Filipow, starszy pracownik nauko-wy Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZS, Boris Bies-sonow, profesor, szef katedry Akademii Nauk Społecznych przy KC KPZS i in. Brygada ta (szczególnie urzekającą postacią jest w niej M. Jowczuk, jeden z ulubionych filozofów Stalina) na za-ledwie dwunastu stronicach drobnego druku obraca w proch i pył „Główne nurty marksizmu” Leszka Kołakowskiego.

Michaił Bułgakow pierwotnie zamierzał zatytułować swą ge-nialną powieść „Mistrz i Małgorzata” — „Konsultant z kopytem”. Oto więc trzech konsultantów z kopytami posługuje się w rzeko-mo naukowym, teoretycznym piśmie językiem i metodami z naj-mroczniejszych stalinowskich lat. Biografia Leszka Kołakowskie-go ujęta jest „w najzwęższym skrócie”: „Ten były profesor filozofii Uniwersytetu Warszawskiego już w latach sześćdziesią-tych rozpoczął swą drogę od rewizjonizmu do renegactwa. Po wyjeździe na Zachód Kołakowski już od wielu lat ochoczo służy najbardziej reakcyjnym kołom imperializmu jako jeden z inspi-ratorów kontrrewolucyjnych grupiek na emigracji i w samej Pol-sce, zwłaszcza takich jak KPN i KSS 'KOR', których jest zagra-nicznym emisariuszem”.

Przydatność takiej biografii i charakterystyki polega na tym, że dla następującej po niej rozprawy z „paszkwilem na mark-sizm” argumenty już nie są potrzebne. Czyż opisany wyżej prze-stępca mógłby napisać coś innego niż antysowieckie (czyli anty-marksistowskie) oszczerstwa? W odległych latach chińskiej rewo-lucji kulturalnej wymyślono hasło idealne: „Narodowe komuny — są dobre”. Konsultanci z kopytami powtarzają na dwunastu stronicach drobnego druku: „Leszek Kołakowski — jest zły”. „Spekuluje na trudnościach w budowie socjalizmu w tym czy innym kraju, zwłaszcza w Polsce”, „zręcznie żongluje tak zwa-nymi pluralistycznymi programami i hasłami”, stara się „zdezin-tegrować, skłócić, rozbić międzynarodowy ruch robotniczy” i wreszcie „występuje jako przeciwnik nie tylko socjalizmu, ale i niepodległej Polski”. Stanowisko jego, „podobnie jak i innych ideologów kontrrewolucji, jest antypatriotyczne i antynarodowe: układ jałtański (a zatem i poczdamski) ustalony i podpisany w wyniku starań Związku Sowieckiego, zabezpiecza przecież inte-grołość narodową, niezależność i suwerenność Polski Ludowej”.

Wniosek z tego jest jeden — powstrzymać Leszka Kołakow-skiego! Odmalowawszy apokaliptyczny obraz działalności „był-e-go profesora filozofii” brygada KC KPZS kończy optymistycznie: „Wszelkiego rodzaju reakcyjno-burżuazyjne, oportunistyczne i tym podobne 'pluralistyczne' koncepcje, rozmaite fałszerstwa wielkiej prawdy marksizmu-leninizmu, głęboko humanistycznych osiągnięć realnego socjalizmu skazane są na porażkę. Tak było w przeszłości, tak jest dziś, tak będzie też w przyszłości”.

Krótko mówiąc nie ma się czego bać, czas pracuje dla nas,

ale bądźmy czujni: od rewizjonizmu do kontrrewolucji jest tylko krok. A za rewizjonizm uchodzi dziś nie tylko odstępstwo od ducha, ale także od litery. Konsultanci z kopytami wykryli na przykład, że warszawska *Polityka* popiera wprawdzie aktywnie Jaruzelskiego, ale robi to jakby bez zadowolenia. W „Córce kapitana” Puszkina stary wierny sługa namawia swego młodego pana, który wpadł w ręce Pugaczowa: „Spuń i pocałuj rączkę bandyty!”. Tak mniej więcej ocenia strategię *Polityki* moskiewskie pismo *Nowoje wriemia* (nr 18/1983). Zdaniem pisma „walka na froncie ideologicznym ma dziś w Polsce szczególne znaczenie. Klasa robotnicza jest zdezorientowana, obałamuciona pseudodemokratycznymi reformami Solidarności, a drobna burżuazja broni swoich interesów, poświęcając interesy ludzi pracy... Część polskiej młodzieży nie odczuwa jeszcze odpowiedzialności za przyszłość kraju” W takiej chwili *Polityka* pozwala sobie na jakieś duchowe rozterki. *Nowoje wriemia* przywołuje tygodnik wraz z jego duchowym wodzem, wicepremierem Rakowskim, do porządku, do przestrzegania czystości ideologicznej.

Wydarzenia w Polsce: narodziny Solidarności, proklamacja stanu wojennego i opór Polaków przeciw normalizacji budzą w Związku Sowieckim niedowierzanie, rozdrażnienie i pragnienie prostej odpowiedzi, która wyjaśniłaby dziwną reakcję narodu, który nie chce postępować tak jak inne, jak narody sowieckie, jak Czesi, jak Węgrzy itd.

Zaczynają pojawiać się książki, poszukujące odpowiedzi na tę zagadkę. Autorzy odwołują się do historii. Tak zrobił Aleksander Kriwickij (patrz: *Kultura* nr 4/1983). Tak robi też czuwaszki pisarz M. Kibek w powieści „Bohaterowie nie przepadają bez wieści”. Dla sowieckich pisarzy historia sowiecko-polska zaczyna się w latach drugiej wojny światowej. Akcja powieści M. Kibka zaczyna się w roku 1944. Kadrowy wywiadowca Władimir Truchanow zostaje wysłany do okupowanej Polski, aby włączyć się do walki podziemnej. Sytuacja w Polsce jest bardzo ciężka. Sowiecki autor opisuje ją tak: polscy kułacy się bogacą, gnębą małorolnych, synów posyłają na służbę w policji, za pieniądze pomagają okupantom. Wierni rządowi londyńskiemu reakcjoniści wydają gestapowcom komunistów i jeńców sowieckich. Szlachecka Armia Krajowa prowadzi bezustanną zdradziecką walkę przeciw patriotycznej Armii Ludowej. — Nieustraszonego zwiadowca sowiecki pragnie zjednoczyć patriotyczne siły, aby wspólnie z czołowymi oddziałami Armii Czerwonej zająć mosty na Wiśle i otworzyć drogę na Warszawę oddziałom Pierwszego Frontu Białoruskiego. Ale polityczna krótkowzroczność polskich wojskowych, w tym generała Montera, doprowadza do upadku Powstania Warszawskiego. W recenzji tej powieści słusznie podkreśla się, że „u M. Kibka historia wrasta wszędzie w teraźniejszość najżywotniejszymi problemami, skojarzeniami, ostrzegawczymi analogiami...” (*Literaturnaja gazeta* nr 16/1983).

Historia tłumaczy, historia przestrzega: Polacy są tacy jacy są, bo nie rozumieją historii, nie pojmują jej kierunku. Tymcza-

sem wszystko jest jasne. Admirał Sorokin, pierwszy zastępca Głównego Zarządu Politycznego armii i floty sowieckiej z żołnierską prostotą sformułował cztery zadania, jakie stoją dziś przed sowieckimi siłami zbrojnymi: obrona granic państwa, obrona granic obozu socjalistycznego, pomoc dla narodów krajów wyzwalających się i obrona pokoju na świecie (*Woprosy filozofii* nr 2/1983). Dwie pierwsze funkcje znane są od dawna; sowieckie akcje w Angoli, Etiopii, Południowym Jemenie, Afganistanie itd. datują się od początku lat 70-tych. Zadanie czwarte sformułowane zostało całkiem niedawno. Admirał Sorokin ogłasza zasady opracowanej w ostatnim czasie „filozofii pokoju”. U podstaw tej filozofii leży stwierdzenie geopolityczne: na planecie Ziemia istnieje świat sowiecki i świat niesowiecki. Między tymi dwoma światami znajduje się strefa buforowa, w której Związek Sowiecki ma pełne prawo atakować — w imię obrony pokoju. Związkowi Sowieckiemu — głosi „filozofia pokoju” — nie jest potrzebna wojna, bo zwycięstwo socjalizmu na świecie nie budzi wątpliwości. Dlatego też Związek Sowiecki jest zwolennikiem pokoju. Ale nie pokoju w ogóle, nie abstrakcyjnego pokoju tzw. humanistów. Znane pojęcia „wojny sprawiedliwej” i „niesprawiedliwej” sowieccy ideolodzy uzupełniają o nowe — „sprawiedliwy” i „niesprawiedliwy” pokój. Niesprawiedliwy pokój to pokój, w którym nie ma wojen. Jest oczywiście, że to Związkowi Sowieckiemu nie wystarczy. Dlatego opowiada się za pokojem sprawiedliwym: „Pojemem powszechnym, wykluczającym wojny między państwami jako środek do urzeczywistnienia przemian społecznych, ale zostawiającym pole dla walki klasowej wewnątrz zantagonizowanych społeczeństw, dla rewolucji społecznych i wyzwolenia narodowego”. Sprawiedliwy pokój to pokój, który „idzie ręką w rękę z postępem społecznym”. Toteż sprawiedliwy pokój powinien sprzyjać zwycięstwu socjalizmu na świecie. Sprawiedliwy pokój — jedynie wrogowie mogą go nazwać *pax sovietica* — uznaje naturalnie „wyższość sowieckich sił zbrojnych nad siłami wojny”. Potężne sowieckie siły zbrojne zdołają zabezpieczyć pokój na świecie tylko wtedy, jeśli będą silniejsze od innych.

„Filozofia pokoju” nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, że koniecznie trzeba umocnić zaplecze sowieckich sił zbrojnych, a w szczególności „znormalizować” Polskę. „Ogólnie rzecz biorąc — komentuje doktor nauk filozoficznych Fiodor Burlackij „filozofię pokoju” — świat socjalizmu odznacza się rosnącą jednością i współpracą krajów, należących do wspólnoty socjalistycznej”. Istnieją jednak problemy, wynikłe przede wszystkim z „subiektywnych błędów przywódców sił politycznych”, tzn. niektórych nieudanych przywódców, źle spełniających dyrektywy Moskwy. Wystarczy ich zmienić i polepszyć pracę ideologiczną, a zaplecze się wzmocni. Można będzie kontynuować utrwalanie pokoju.

Biada tym, którzy sprzeciwiają się dziełu pokoju. Jurij Andropow wyraził niezadowolony z powodu działań władz francus-

kich, które wydalili z Francji 47 szpiegów sowieckich. Odpowiadając *Spiegłowi* w *Prawdzie* z 25 kwietnia 1983, pierwszy sekretarz KC KPZS nie posiada się ze zdziwienia: „Oświadczono nam tylko, że pracownicy sowieccy zajmowali się zbieraniem informacji. O ile wiem, do zadań służby dyplomatycznej i innych służb każdego państwa, każdego poselstwa należy zbieranie informacji o kraju, w którym przebywają i przekazywanie ich swemu rządowi. Czyżby była to działalność niedozwolona?”. Jurij Andropow wie, jak brzmi odpowiedź na to retoryczne pytanie: sowieckim agentom wolno zbierać informacje (powinno być wolno), natomiast dyplomatom przebywającym w Moskwie jest to kategorycznie zabronione.

Przykładem wychowywania człowieka sowieckiego w duchu „filozofii pokoju” może być zadanie, jakie zlecono studentom moskiewskiego instytutu transportu kolejowego. Zadanie brzmi: „Planowanie przewozu wojsk”. Studenci mają zorganizować transport czołgów, dział i innych rodzajów broni dla zasilenia wojsk pierwszej linii. Zadanie byłoby normalne, gdyby nie trasa. Studenci mają mianowicie przetransportować wyżej wymienioną broń w kierunku Osnabrück - Antwerpia — Louvain - Mons - Rouen - Rennes lub też Osnabrück - Münster - Liège - Maastricht - Compiègne - Alençon - Rennes.

Wrogowie socjalizmu gotowi powiedzieć, że terytorium Związku Sowieckiego jest wystarczające dla celów nauki, a kształcenie przyszłych cywilnych inżynierów w transporcie wojsk sowieckich drogami Belgii, Holandii i Francji stanowi akt nieprzyjazny. Przyjaciele socjalizmu słusznie będą mogli odeprzec, że na tym polega walka o sprawiedliwy pokój.

Lektura prasy sowieckiej to zadanie nie tylko nużące, ale i dręczące. Nierzadko ma się uczucie, że ta dziwna machina wojskowa, ideologiczna i propagandowa dysponuje oszałamiającą siłą. Uczucie to jednak zawsze się rozwiewa, bo ta sama prasa cytuje fakty, świadczące o absolutnej kruchości systemu, który się swą opiera wyłącznie na słabości przeciwnika. W kwietniu niedzielny dodatek do *Izwestii* pod nazwą *Niedziela* opublikował korespondencję z Tomsku. Korespondent własny *Izwestii* Leonid Lewickij udał się do syberyjskiego miasta w ramach wszelkowiedzkiej kampanii oszczędzania chleba. Obszedł wszystkie stołówki i bary Tomsku, zadając sobie pytanie: „...jakoś bardzo dużo jedzenia zostaje na talerzach a duże kawały chleba idą do śmieci. Co to ma znaczyć?”.

Zagadka zaiste niepojęta — dlaczego to mieszkańcy Tomsku zostawiają na talerzu jedzenie, za które zapłacili? Sowiecki Sherlock Holmes zaczął badać sprawę. Przede wszystkim wyjaśnił, że „w większości stołówek jedzenie jest niesmaczne. W prawie wszystkich barach miasta zupa mleczna jest przypalona, zlepione kluski z sosem wyglądają jak mało apetyczna breja, a zapiekanka z serem smakuje jak trociny, chociaż produkt wyjściowy był w dobrym gatunku”. Pozostało jednak nierozwiązane pytanie drugie: dlaczego mianowicie wszędzie (mowa oczywiście o

wszystkich stołówkach i wszystkich barach) źle gotują? Sherlock Holmes, komisarz Maigret i inni bohaterowie kryminałów razem wzięci nigdy by nie wpadli na trop tajemnicy: sowiecki dziennikarz rozwiązuje ją z łatwością. Otóż wszystkie stołówki i bary miasta należą do Zjednoczenia Żywnienia Zbiorowego. Zjednoczenie to w oparciu o kolejną uchwałę KC KPZS o poprawie usług na rzecz ludności założyło hodowlę świń. Każdy bar, każda stołówka musi do niej dostraczyć zaplanowany dzienny kontyngent odpadków. Aby uzyskać odpadki, wszędzie zaczęto odpowiednio źle gotować. Ponieważ stołówki i bary realizują plan dostaw odpadków, wykonany zostanie także plan produkcji szynicy. Stołówki i bary dostaną wieprzowinę, którą będą gotować tak wstrętnie, że wróci do kubła z odpadkami dla następnych świń.

Jak słusznie zauważył towarzysz Stalin, Związek Sowiecki jest krajem nieograniczonych możliwości.

Adam KRUCZEK

9 maja 1983

## Ukraińcy w Polsce

Wprowadzenie w Polsce stanu wojennego spowodowało kilkumiesięczną przerwę w działalności Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, sześciotysięcznej organizacji, będącej jedynym reprezentantem ludności ukraińskiej w PRL. 7 marca 1982 ponownie ukazał się warszawski tygodnik w języku ukraińskim *Nasze Słowo*, zaś dwa miesiące później odbyło się niezwykle burzliwe plenum Zarządu Głównego UTSK. Była to w zasadzie rozprawa z opozycją wewnątrz Towarzystwa, której znaczenie i wpływ w okresie działalności „Solidarności” znacznie wzrosły. Kilku uczestników plenum wystąpiło przeciwko utworzeniu organu, nazwanego eufemistycznie Komisją do Przeprowadzenia Rozmów z Niektórymi Członkami Towarzystwa, a którego faktycznym zadaniem było zbadanie zachowania nieprawomyślnych członków organizacji przed 13 grudnia 1981 roku. Wspomniana Komisja przesłuchiwała 21 członków, w wyniku czego 6 spraw skierowano do Sądu Towarzyskiego, który polecił odebrać legitymacje członkowskie dwóm osobom za czyny niezgodne ze statutową działalnością UTSK, zaś trzem innym udzielił surowej nagany. Tyle na podstawie danych, zamieszczonych w *Naszym Słowie*. Z innych źródeł wiadomo, że „rozmowy” z wieloma członkami Towarzystwa przeprowadziły także organa SB.

Pożyteczną tradycją młodzieży ukraińskiej w PRL stały się letnie wędrówki po Bieszczadach. W zeszłorocznej wędrówce

uczestniczyło 150 młodych ludzi z całej Polski, przy czym wielu z nich odnajdywało po drodze ślady swoich ojców, mieszkających tu przed wysiedleniem na Zachód. We wsi Bilanka zwiedzieli prywatne muzeum kultury łemkowskiej, w Hłomczy pomagali przy remoncie miejscowej cerkwi, a w Siedliskach uporządkowali stary cmentarz. Rajd zakończono w Komańczy wielkim ogniskiem przy współudziale miejscowej ludności.

W tym samym czasie Częstochowa była świadkiem pierwszej w historii zorganizowanej pielgrzymki ukraińskiej na Jasną Górę. W obchodach 600-lecia klasztoru wzięło udział około dwóch tysięcy ukraińskich katolików. Liturgię w obrządku wschodnim celebrowało trzech duchownych greko-katolickich, zaś homilię w języku ukraińskim, wzywającą Polaków i Ukraińców do wspólnej modlitwy i jedności wygłosił ks. Józef Romanyk — przełożony zakonu oo. Bazylianów w Warszawie.

Szczególną aktywnością w życiu społeczno-kulturalnym wyróżnia się młodzież studencka. W listopadzie 1982 roku odbył się w Warszawie IV Zjazd SZSP. W związku z tym w jednym z numerów *Gazety Zjazdowej* ukazała się odezwa Grupy Inicjatywnej Studentów Mniejszości Narodowych Obywateli PRL do Kongresu ZSP zatytułowana „Także mieszkamy w Polsce”. Autorzy odezwy, podpisanej przez przedstawicieli młodzieży białoruskiej, litewskiej i ukraińskiej, stwierdzili, iż reprezentują pięcioletnią rzeszę studentów nie-Polaków, zaproponowali utworzenie Krajowej Rady Kultury Studentów Mniejszości Narodowych. Przedstawiona na posiedzeniu Kongresu propozycja została przyjęta, wskutek czego wniesiono odpowiednią poprawkę do uchwały Kongresu.

10-lecie swego istnienia obchodził w roku ub. reprezentacyjny chór UTSK „Zurawli”. Chór jest swego rodzaju fenomenem, składa się bowiem z sześćdziesięciu śpiewaków, mieszkających w kilkunastu różnych miastach. Chórzyści pracują nad repertuarem samodzielnie, zbierają się raz na kwartał we wskazanej przez dyrygenta miejscowości na próby, po czym dają 2-3 występy w pobliskich środowiskach ukraińskich. Dotychczas chór „Zurawli” dał blisko 100 koncertów na terenie całego kraju, niestety nie uzyskał zezwolenia na *tournee* po Ukrainie i Kanadzie. Nie tak dawno chór wystąpił w filharmonii krakowskiej w związku z obchodami 1500-lecia Kijowa. Według słów recenzenta obok „Mnohaja Lita” Dmytra Bortniańskiego wspaniale brzmiała w wykonaniu chóru polska pieśń rycerska „Gaude Mater Polonia”.

W Olsztynie znajduje się jedno z najaktywniejszych kół UTSK. Piękny bilans przeszło 20-letniej współpracy olsztyńskiego koła z miejscową księgarnią zamknął się cyfrą pół miliona sprzedanych książek w języku ukraińskim. Do tego dochodzi kilkanaście tysięcy książek w języku polskim o tematyce ukraińskiej. Warto zaznaczyć, że księgarnia w Olsztynie zaopatruje w książki ukraińskie teren całej Polski.

Z ciekawą propozycją wystąpił jeden z korespondentów czasopisma *Opole*. Otóż proponuje on utworzenie w porozumieniu

z władzami ZSSR komitetu, który roztoczyłby opiekę nad grobami wybitnych Polaków na Łyczakowskim cmentarzu w Lwowie. Wystarczy wspomnieć, że leżą tam ludzie tej miary co Konopnicka, Grottger, Zapolska, Koszczyński i Szajnocha. Zamieszczając powyższą informację *Nasze Słowo* popiera słuszną propozycję *Opola*, wskazując ze swej strony na potrzebę utworzenia podobnego organu w Polsce z zadaniem pielęgnowania grobów wybitnych Ukraińców. Skoordynowana akcja w tej dziedzinie byłaby sprawdzianem możliwości konkretnej współpracy kulturalnej między przedstawicielami obu narodów.

Bez entuzjazmu przyjęli Ukraińcy w Polsce wiadomość, że jednym z nowo mianowanych ministrów został gen. Włodzimierz Oliwa. Poseł Oliwa utrwalił się w ich świadomości swym niefortunnym wystąpieniem w Sejmie, kiedy to próbował straszyc polskie społeczeństwo rzekomym pojawieniem się w kraju jakichś ulotek „spod znaku nacjonalistycznego ukraińskiego 'Tryzuba'”. Prasa, radio i telewizja szeroko informowały o tej ulotce, która zdaniem ludności ukraińskiej spreparowana została w „laboratoriach” SB. Nie po raz pierwszy ludzie stojący u władzy PRL w chwilach trudności ekonomicznych i napięć politycznych uciekają się do różnych straszaków, w tym straszaka ukraińskiego nacjonalizmu.

Religijne sprawy zawsze odgrywały ważną rolę w życiu społeczności ukraińskiej. 30 stycznia 1983 w prawosławnym soborze w Warszawie odbyła się uroczysta chirotonia dziekana przemysko-sanockiego ks. Aleksandra Dubca. Wśród ludności ukraińskiej mówi się o planach wskrzeszenia diecezji prawosławnej w Przemyślu oraz reindykacji katedry greko-katolickiej, zajętej obecnie przez oo. Karmelitów. Wskazywałaby na to rozbudowa parafii prawosławnych na Rzeszowszczyźnie oraz wydana nie tak dawno praca naukowa jednego z młodych naukowców Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie Mariana Bendzy, zatytułowana „Prawosławna Diecezja Przemyska w latach 1596-1681”. Latem ub. roku poświęcono miejsca pod budowę nowych cerkwi prawosławnych w łemkowskiej wsi Zyndranowa oraz w Krynicy. W obu uroczystościach wziął udział metropolita warszawski Wasilij. Prawosławna ludność przyjmuje te wiadomości z zadowoleniem, natomiast greko-katolicy z mieszanymi uczuciami, w obawie przed możliwością spięć na tle religijnym na tym do niedawna greko-katolickim terenie. Półlegalny status Kościoła greko-katolickiego w Polsce nie zezwalał nigdy na pełne zaspokojenie potrzeb religijnych ludności ukraińskiej. Dlatego też kiedy na początku ub. roku podpisano umowę między Komitetem do spraw Radia i Telewizji i Polską Radą Ekumeniczną w sprawie transmisji nabożeństw różnych Kościołów, nabożeństw w obrządku greko-katolickim w tej umowie nie uwzględniono.

Szczególnym jabłkiem niezgody stały się cerkwie poukraińskie na Rzeszowszczyźnie, przejęte po roku 1947 przez Kościół rzymsko-katolicki, których zwrotu domagała się ludność ukraiń-



ska, powracająca z Ziemi Zachodnich. Kler rzymsko-katolicki rzadko kiedy zdradzał ochotę do zwrotu świątyń, więc pozbawieni wyższej władzy duchownej greko-katolicy szukali pomocy w Metropolii Prawosławnej w Warszawie. Zazwyczaj zwrot cerkwi był możliwy jedynie z równoczesnym zaproszeniem duchownego prawosławnego. W ten sposób powstało w tej części kraju kilkanaście parafii prawosławnych.

Sprawa cerkwi poukraińskich na Ziemiach południowo-wschodnich ma jeszcze inny aspekt. Wielu z nich nikt nie użytkuje. Niezabezpieczone dostatecznie przed działaniem czynników atmosferycznych świątynie te, mające częstokroć zabytkowy charakter, niszczone są też są rozkradane przez „miłośników sztuki”. Zarówno *Nasze Słowo* jak i ukraińska prasa emigracyjna biją na alarm, poświęcając temu zagadnieniu wiele artykułów.

*Borys BEJ*

## Karta 77 i chrześcijaństwo

Pierwsze dyskusje, które w rezultacie doprowadziły do powstania Karty 77 odbyły się wkrótce po podpisaniu aktu końcowego KBWE w Helsinkach. Zainteresowanie tzw. trzecim koszykiem było w Czechosłowacji ogromne. Pewną rolę w wytworzeniu atmosfery, z której zrodziła się Karta 77 odegrała również kampania wyborcza Cartera, a szczególnie ta jej część, która w poszanowaniu praw ludzkich upatrywała warunek pokojowego współistnienia w świecie.

Wielkie zainteresowanie wzbudziła ratyfikacja przez Czechosłowację Międzynarodowego Paktu Praw Politycznych i Obywatelskich oraz Międzynarodowego Paktu Praw Gospodarczych i Społecznych. Monitor z zawiadomieniem o ratyfikacji został rozchwytyany.

Niecałe cztery miesiące przed ogłoszeniem Karty 77 powstał w Polsce we wrześniu 1976 Komitet Obrony Robotników KOR. Nie pozostało to bez echa wśród czechosłowackiej opozycji.

Bezpośrednim bodźcem do założenia Karty 77 był proces sądowy przeciwko niezależnym grupom muzycznym. Przy powstaniu Karty 77 ogromną rolę odegrały dwie wielkie indywidualności: dramaturg Vaclav Havel i filozof Jan Patočka, pierwszy daleki od wszelkiej religii, drugi głęboko związany z chrześcijaństwem. Ci dwaj ludzie zdecydowali o duchu nowego ruchu i stali się jego najsłynniejszymi rzecznikami. Obaj doczekali się w zamian brutalnych represji.

Karta od początku skupiała ludzi o różnych profilach. Byli tam młodzi i starsi, a nawet bardzo starzy, intelektualiści, artyści, naukowcy, dziennikarze, robotnicy, urzędnicy, gospodynie domowe, eks-komuniści i antykomuniści, ateści i ludzie głęboko wierzący, katolicy i protestanci. Podkreślam to na dowód głębokiej tolerancji panującej w tym ruchu.

Karta nie włączyła się w życie społeczne kraju jako siła opozycyjna i antyreżymowa. To właśnie nie podoba się wielu jej krytykom. Ruch Karty 77 jest jakby głosem sumienia dochodzącym ze społeczeństwa i do niego jednocześnie skierowanym. Nie jest to głos powstańców wzywających do obalenia znieprawdzonego, a jednocześnie znoszonego z rezygnacją ustroju.

O czym mówią Karta 77? O tym, jakie prawa mają obywatele i czego mogą żądać od rządzących. Przypomina wszystkim, że winni domagać się od władzy poszanowania dla norm prawnych, które sama ustanowiła. Tak brzmi przesłanie Karty 77. Kto chciałby żądać od niej więcej, kieruje swe żądania pod niewłaściwym adresem. Karta nigdy nie zmieniła swego pierwotnego stanowiska i trwa przy nim do dziś.

Ruch Karty 77 nie jest ruchem masowym. Bezustannie prześladowany, czyli ryzykowny dla każdego, kto się doń przyłączy, nie może przyciągać tłumów. Mimo to Karta 77 imponuje swym moralnym profilem. Szczególnie widoczne było to w roku 1977, pierwszym roku jej działania.

Po ogłoszeniu Karty 77 reżym przypuścił potężną kontrofensywę, mającą zastraszyć ludzi. Sygnatariuszy Karty w ciągu kilku godzin wyrzucano z pracy, prześladowano ich dzieci, odbierano im prawa jazdy, przerywano linie telefoniczne, nęcano ich bezustanną inwigilacją, różnymi groźbami zmuszano do emigracji, przesłuchiowano, terroryzowano w sposób często zagrażający zdrowiu i życiu. Niektórych aresztowano i skazano na lata więzienia. Nawet ich sąsiedzi byli narażeni na różne przykrości, co miało odizolować członków Karty 77 od społeczeństwa.

Jednocześnie wprawiono w ruch największą od lat 50-tych kampanię prasową, trwającą przez wiele miesięcy. Dzień w dzień radio, prasa i telewizja wylewały na sygnatariuszy Karty kubły oszczerstw. Zwoływano masówki, zwłaszcza w wielkich fabrykach, domagając się od robotników potępienia Karty 77.

Była to znakomita reklama, o jakiej nikomu się nawet nie śniło. Dzięki niej Karta stała się powszechnie znana. W styczniu 1977 sygnatariuszy było 245. Do końca 1977 roku liczba ich wzrosła do tysiąca. O ile pierwsi nie do końca mogli przewidzieć, co ich czeka, o tyle dalsi z całą świadomością brali na siebie ryzyko.

Karta 77 pojawiła się w chwili, kiedy nadwątlony w roku 1968 reżym zdołał się już zrestaurować. Proces odnowy nie był przecież, jak się niekiedy mylnie sądzi, wyrazem dążenia partii komunistycznej do większej wolności i demokracji, lecz wynikiem wewnętrznego kryzysu partii, której zaczęło braknąć sił do panowania nad społeczeństwem. Atmosferę lat 70-tych, epoki

restauracji reżymu totalitarnego, najlepiej charakteryzują następujące zjawiska:

— w prywatnych mieszkaniach odbywają się grupowe dyskusje nad różnymi aktualnymi tematami. Niektóre takie kółka mają charakter jedynie dyskusyjny, inne, jak na przykład słynne kółko zbierające się wokół prof. Patočki — seminaryjny.

— Samizdat. Na początku lat 70-tych pisarz Ludwik Vaculik założył wydawnictwo „Petlice” (Pętla); wkrótce potem powstały inne wydawnictwa i kilka czasopism. W tym samym czasie pojawił się również samizdat religijny — czasopisma i książki, zbiorki i tłumaczenia.

— Ważną rolę odgrywały w tym czasie pisma emigracyjne, zwłaszcza — moim zdaniem — *Svědectví, Listy i Studie*.

— Nasiliło się zainteresowanie zagranicznymi audycjami radiowymi w języku czeskim i słowackim, ale także polskim; mam na myśli audycje Wolnej Europy, Głosu Ameryki i BBC.

W Karcie 77 dostrzegalne były dwie podstawowe siły: ekskomuniści i chrześcijanie (katolicy i ewangelicy). Z wielkiej masy byłych komunistów pojawili się w Karcie znani politycy, dziennikarze i inni, którzy uprzednio należeli do komunistycznego *establishment'u*. Ze strony chrześcijan przyszli nieznanymi w większości ludzie, jak np. dwaj rzecznicy, Václav Malý i Miloš Rejchert. Obaj są młodymi księżmi, jeden katolickim, drugi ewangelickim. Oba pozbawiono prawa wykonywania swego poślanictwa. Wymienić należy także teologa ewangelickiego Jakuba Trojana, filozofa Boženę Komarkovą — ewangeliczkę, robotnicę katoliczkę Marię Rut Křižkovą, katolickiego księdza Františka Lizné — z wykształcenia historyka literatury, a przede wszystkim katolickiego teologa Josefa Zvěřinę. Mógłbym wymienić wiele innych nazwisk, które świadomie podaję w pełnym brzmieniu — po pierwsze dlatego, że ich nosiciele zasługują, żeby o nich wiedziano, a po drugie aby im przysporzyć rozgłosu za granicą. Milczenie nie sprzyja sprawie, o którą walczą, wręcz przeciwnie.

W roku 1981 dostałem z Pragi list. Chciałbym zacytować dwa krótkie fragmenty:

„Leżymy na łopatkach. Czekamy na cud. Ktoś może przyjdzie i pomoże... Straciliśmy honor. Polacy go mają. Nie udało się ich rzucić na kolana. Pomogła im świadomość narodowa, nacjonalizm i wiara, religia. Głęboka wiara w rzeczy sprawiedliwe. Wiara w Boga. Nie pozwolili sobie odebrać tej wiary żadnemu marksizmowi-leninizmowi. Zostali wierni swym przodkom i ich wierze”.

„Karta znajduje się w ciężkiej sytuacji. Ubywa nas coraz bardziej (to znaczy tych, którzy chcą coś robić), Służba Bezpieczeństwa obsadziła wszystkich swoimi ludźmi... Pomimo to, w tych niesłychanie ciężkich warunkach, stała kadra jest ciągle znakomita, godna podziwu, chociaż zmęczona. Najlepsi są wierzący — katolicy i ewangelicy. W nich tkwi największa siła moralna, są to ludzie nie zepsuci, wartościowi, broniący się od 40 lat. A jest to jedyna struktura łącząca naszą przeszłość z teraźniejszością. Poza tym

wszystko się rozpadło. W ogóle w powrocie wiary widzę nasz ratunek na przyszłość i siłę”.

Słowa te napisał znany niegdyś komunista, którego szczególnie dotknęły prześladowania.

Jeden z przytoczonych cytatów podkreśla znaczenie Polski i najnowszych w niej wydarzeń dla Czechów i Słowaków. Nie jesteśmy jeszcze w stanie w pełni ocenić wpływu, jaki wywarło na sposób myślenia i odczuwania naszego społeczeństwa wstąpienie na tron papieski Polaka ani jaki oddźwięk w duszach naszych narodów miała Jego wizyta w Polsce. Już sam fakt jednak, że papież jest w Czechach popularny dowodzi fundamentalnej zmiany, nie mającej precedensu w naszych dziejach.

W latach 70-tych byliśmy świadkami odradzania się w Czechosłowacji wiary chrześcijańskiej. Wielu ludzi skłoniło do niej rozczarowanie komunizmem, który im obiecywał raj na ziemi. Inni, szczególnie młodzi, zbliżyli się do religii przez opozycję wobec reżymu. Nieprzypadkowo odrodzenie wiary zbiegło się z powstaniem Karty 77. Lutowy przewrót 1948 roku zapoczątkował okres najokrutniejszych prześladowań religijnych, nie mających odpowiednika w całej historii Czech i Moraw. Jednocześnie rozpoczął erę bezprzykładnego dławienia praw ludzkich. W latach 70-tych zrodziły się w społeczeństwie siły, które zdecydowały się stawić czoła wszystkiemu, co przyniosł przewrót lutowy. Ironia losu i historii sprawiły, że o duchową i społeczną odnowę walczą wspólnie byli komuniści i chrześcijanie.

Może ktoś uznać, że przypisuję zbyt wielką wagę do Karty 77 i renesansu wiary w naszym kraju. Oba te zjawiska mogą się wydać słabe w porównaniu z reżymem totalitarnym, wspartym na kolosalnej sile sowieckiej. Myślę jednak, że te prześladowane i tłumione zjawiska nie są całkiem bez perspektyw, bo są wyrazem trudno postrzegalnych ale trwałych przemian duchowych w tym na pozór zubożonym i biernym społeczeństwie.

Zastanawiając się nad dziejami chrześcijaństwa w naszym kraju na przestrzeni ostatniego półtora wieku, można obecną tendencję uznać wręcz za zwrot w rozwoju. Przecież pod koniec zeszłego stulecia narastały w Czechach tendencje ateistyczne, ba, antyklerykalne. Czeskie społeczeństwo nie uważało Kościoła katolickiego za nieodłączną część życia narodowego, jak polskie. Pierwsza republika (po pierwszej wojnie światowej) głosiła hasło „dalej od Rzymu”, czyli dalej od katolicyzmu, a właściwie od chrześcijaństwa w ogóle. W tej atmosferze dorastała moja generacja. Chodzenie do kościoła było uważane za wyraz zacofania.

Tę właśnie politykę kontynuowali komuniści po przewrocie lutowym, z tym że doprowadzili ją do końca, stosując całą gamę prześladowań.

Lata 70-te stanowią przełom. W religii przestaje się dostrzegać wyraz zacofania. Nawet ludzie niewierzący zaczynają rozu-

mieć — ich akces do Karty 77 jest często tego właśnie wyrazem — że tam gdzie się gnębi i prześladowuje religię, tam gnębi się i prześladowuje ludzi za ich przekonania.

Myślę, że znajdujemy się na początku ery rekrystianizacji Czech. Gdyby się to okazało prawdą, znaczyłoby *novum* o historycznym znaczeniu. Również z punktu widzenia stosunków wewnętrznych, na przykład wzajemnych stosunków między Czechami i Słowakami, a następnie między Czechami a Polakami itd.

Karta 77 jest przejawem dążenia narodu do wolności, przejawem zorganizowanym, o największym znaczeniu od 1948 roku (nie licząc roku 1968). Odradzanie się chrześcijaństwa natomiast wyraża nowy impuls duchowy, niesłuchanie ważny i mający znacznie dalsze implikacje.

Zarówno Karta jak i renesans chrześcijaństwa w naszych krajach sygnalizują coraz większy rozpad Europy. Myślenie i stanowiska Europy Wschodniej i Zachodniej dzieli coraz większa przepaść. Obie części Europy zbyt długo już zmagają się z zupełnie innego rodzaju problemami życiowymi i społecznymi, aby nie oddalać się od siebie. W Europie Wschodniej narastają siły dążące do życia w ładzie, wolności i demokracji, pragnące powrotu do chrześcijaństwa jako do źródła naszej cywilizacji. W Europie Zachodniej rosną siły anarchii, braku zaufania do demokracji, czyli odwrót od cywilizacji.

JIŘI LEDERER

## Kronika niemiecka

Na zaproszenie *Kościola Ewangelicko-Augsburskiego* w PRL przebywał w Polsce ks. bp dr Karlheinz Stoll, zwierzchnik *Zjednoczonego Kościoła Luteranckiego* w RFN, który zrzesza ponad 11 milionów wiernych. Bp dr K. Stoll odwiedził luteranckie diecezje: pomorsko-wielkopolską, katowicką i cieszyńską. Bp Stoll został ponadto przyjęty przez min. Adama Łopatkę w *Urzędzie do Spraw Wyznań*. ■ „Wychowanie internacjonalistyczne” młodzieży było tematem seminarium ZHP oraz organizacji pionierskiej im. Ernsta Thälmana z NRD, które odbyło się w Oleśnicy k/Wrocławia. Wypracowano wspólne stanowisko w kwestiach polityczno-ideologicznej pracy z młodzieżą. Odbyło się spotkanie kierownictwa *Główniej Kwatery ZHP* z delegacją niemiecką. Naczelnikiem ZHP jest obecnie Ryszard Wosiński. ■ Syn wysokiej rangi PRL-owskiego dyplomaty w Berlinie Wschodnim został zatrzymany na przejściu granicznym *Checkpoint Charly* pod zarzutem przemytu do Berlina Zachodniego 14 tys. papierosów i 90 puszek z sowieckim kawiozem. ■ Witold Wirpsza omówił na łamach bońskiego dziennika *Die Welt* niemieckie wydanie *Malej apokalipsy* Tadeusza Konwickiego (*Fischer Verlag*, Frankfurt. Tłum. Gabriele Hanussek. ■ Heinrich Windelen (CDU), nowy minister spraw wewnątrzniemieckich na-

leżał do garstki deputowanych chadeckich, którzy w 1972 roku głosowali w *Bundestagu* przeciwko układowi o podstawach normalizacji z Polską, podczas gdy zdecydowana większość posłów z ramienia CDU/CSU wstrzymała się od głosu. *Hannoversche Allgemeine*: Przede wszystkim wobec Polski Windelen reprezentował zawsze postawę bezkompromisową. ■ Jerzy Romańczyk, syn oficera z brygady pancernej gen. Maczka, właściciel biura podróży *Jeroma Reisen* k/ Brunzswiku, sprzedawał na giełdzie turystycznej w Berlinie Zachodnim klientom wycieczki jeepami po Polsce. Według Romańczyka Polska „dobrze idzie, mimo że na Zachodzie opowiadają takie głupoty o naszym kraju. 500 osób zawiozł w tym roku do Polski”. Gratulujemy! ■ *Polskie Linie Lotnicze LOT* wytaczają proces o odszkodowanie w wysokości 12 tys. marek ośmiu uciekinierom, którzy w kwietniu ub. roku uprowadzili samolot z Wrocławia do Berlina Zachodniego. ■ Archidiecezja kolońska wysłała do Polski za pośrednictwem własnego oddziału *Caritasu* w ciągu 12 miesięcy 70 wielkich transportów żywności, lekarstw i odzieży wartości 5 mln marek. Tylko w kwietniu bież. roku trzy ciężarówki dostarczyły do kościelnych punktów rozdzielczych w Polsce 55 ton żywności i 2 tys. par butów. ■ Adam Kaliński, b. działacz *Solidarności*, oświadczył na łamach *Gazety Poznańskiej*, że Wałęsa „wypisując sążniste dziękczynienie za paczki wysyłane z RFN zatracca honor i godność narodową. (...) To jest lanie wody na zachodniemiecki rewizjonistyczny młyn. (...) Wspólnota krwi sprawia, Panie Wałęso, że jesteście rodakami, ale pytam, kto upoważnił Pana do korespondowania po niemiecku w imieniu moich rodaków?”. Widzimy, że zaznacza się „wspólnota” między *Gazetą Poznańską* a londyńską *Myślą Polską*... ■ Nakładem *Instytutu Zachodniego* w Poznaniu ukazała się praca Antoniego W. Walczaka pt. *Dylematy i obsesje jedności i podziału Rzeszy XIX-XX w. Polityka ogólnoniemiecka RFN 1949-1969*. ■ Egon Bahr, ekspert *SPD* d/s bezpieczeństwa, ostrzega stale swych rodaków przed wiarą w „stuprocentową tożsamość interesów” USA i RFN. Bahr reprezentuje antyamerykańskie skrzydło w czołówce zachodniemieckich socjaldemokratów, nie szczędzi również słów krytycznych skierowanych pod adresem działającej w Polsce opozycji demokratycznej. ■ W RFN rzekomo 82 tys. obywateli PRL korzysta z tzw. *duldungu* (tolerowanie czasowego pobytu), natomiast 9 tys. Polaków złożyło podania o azyl. Są to dane szacunkowe. Władze niemieckie są zdania, że podane liczby zmniejszyły się na przełomie 1982/1983 o ok. 20%. ■ Telefoniczny apel lekarzy z Zakopanego do ambasady RFN w Warszawie o konieczne podłączenie 14-letniej dziewczynki do sztucznej nerki został natychmiast przekazany do *Niemieckiego Czerwonego Krzyża*, skąd już następnego dnia samolotem przybył lekarz ze sztuczną nerką. ■ Sąd zachodniobermberski skazał 22-letniego Piotra Winogrodzkiego (funkcjonariusz *MO*, odpowiedzialny za bezpieczeństwo lotu), który w listopadzie ub. roku uprowadził do Berlina Zachodniego samolot pasażerski *LOT-u*, na karę 5 lat więzienia. ■ W obozach przejściowych we Friedland i Norymberdze zarejestrowano w 1982 roku 30.355 przesiedleńców z Polski. Ok. połowa to osoby, które przybyły do RFN w odwiedziny do rodzin i później odmówiły powrotu do PRL. 46,7% przesiedleńców pochodzi z Górnego Śląska; zaledwie 0,6% przybyło z Pomorza Zachodniego; jedynie 9,7% przekroczyło 65 rok życia. ■ *Collage* i obrazy polskiej plastyczki Ewy Partum wystawiła zachodniobermberska *Galerie Wewerka (Hommage à Solidarność)*. ■ Helmut Schmidt, b. kanclerz RFN, został obok Marion hrabiny Dönhoff współwydawcą hamburskiego tygodnika *Die Zeit*. ■ *Instytut Badań Gospodarki Światowej* w Kilonii ogłosił raport, z którego wynika, że PRL zahamowała nieco spadek dochodu narodowego, który w 1981 roku wynosił aż 12,1%. ■ I program zachodniemieckiej *TV* nadał film Andrzeja Wajdy *Kanał* (prod. 1956). W prasie ukazały się bardzo przychylnie recenzje. ■

W bońskim *Kulturforum* wystawiono pastele Krystyny Żywulskiej, natomiast malarstwo Eugeniusza Muchy zaprezentowano w znanej *Schloss-Galerie*, również w Bonn. ■ W programie kolońskiej rozgłosił *Westdeutscher Rundfunk* nadane zostało słuchowisko Jerzego Tuszwskiego pt. *Festung Breslau (Twierdza Breslau)*. ■ Staraniem *Ewangelickiego Kościoła* czynna była na terenie b. obozu koncentracyjnego w Dachau wystawa obrazów Mieczysława Kościelniaka. ■ Na *Uniwersytecie im. Johanna Gutenberga* w Moguncji prowadzony jest od 1979 roku jednoroczny kurs nauki języka polskiego. Kurs obejmuje również 6-tygodniowy pobyt w Krakowie, gdzie uczestnicy biorą udział w intensywnych ćwiczeniach na *U.J.* W tym roku tzw. *model moguncki* zostanie włączony do programu *Instytutu Slavistyki Uniwersytetu im. Gutenberga*. ■ Dobrze rozwija się partnerska współpraca między *Uniwersytetem im. Eberharda Karla* w Tybindzie a *Uniwersytetem Warszawskim*. W Tybindzie zebrano już pokaźną ilość literatury naukowej dla poszczególnych fakultetów *UW*. ■ *Wspólnota Obozowa Oświęcimaków* (Hermann Reineck, Schillerstr. 18 (D-6309 Münzenberg 1) w Górnej Hesji pomaga od dłuższego czasu polskim b. kacetowcom w Krakowie, Łodzi, Warszawie i Bydgoszczy. ■ Zgromadzenie synodalne *Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego* w Polsce uchwaliło treść listu do prezydenta ewangelickiej organizacji charytatywnej *Diakonisches Werk* w RFN z podziękowaniem za pomoc humanitarną. ■ Po 15-miesięcznej przerwie wznowiono wydawanie *Radaru* w języku niemieckim. Wychodzi obecnie jako miesięcznik. W najnowszym numerze artykuły o powstaniu w getcie warszawskim i szereg pozycji z zakresu „skomplikowanych stosunków z RFN”. M. in. Wilhelm Szewczyk stwierdza autorytatywnie, „że w obu państwach niemieckich są ludzie, którzy nie lubią Polaków”. ■ Siedzibę *Zarządu Głównego ZBoWiD* odwiedziła delegacja *Polskiego Związku Inwalidów w RFN* z prezesem Stanisławem Janczurem na czele. *Związek Inwalidów* od dawna kolaboruje z reżymem. ■ Oddziały *Związku Polaków w Niemczech* — *RODŁO* w Essen i Solingen zaprotestowały pisemnie przeciwko przyjęciu przez *Zarząd Główny ZPwN* — *RODŁO* (prezes — ks. Edmund Forycki) *Komandorii Orderu Zasługi PRL*. Wychodzący w Essen *Niezależny Informator* pisze o „haniebnym akcie” i „zaprzędaniu ostatniego śladu honoru i powagi Związku”. Z biuletynu dowiadujemy się również, że ks. Edmund Forycki nie przybył na obchody 60-lecia *ZPwN* — *RODŁO* z powodu obecności... biskupa niemieckiego. W centrali *ZPwN* w Bochum doszło do strajku pracowników etatowych, którzy w ten sposób wyrazili protest przeciw wprowadzeniu przez *Zarząd Główny* „systemu dyktatorskiego”; „uznanie tych praktyk przez *Radę Państwa PRL* mówi swoje, więc zbędne są dalsze refleksje na ten temat”... ■ Na liście partnerów związanych formalnymi umowami o współpracy znajdują się kolejne dwie placówki — *Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika* w Toruniu i *Uniwersytet w Oldenburgu* (Dolna Saksonia). Umowa podpisana na 5 lat przewiduje m.in. wymianę naukowców. ■ Ukazała się interesująca praca Gerdy Hagenau pt. *Jan Sobieski. Der Retter Wiens. Amalthea Verlag, Wiedeń-Monachium* 1983. Str. 624, liczne ilustracje. ■ Adam Hanuszkiewicz przygotowuje spektakl *Domu Bernardy Alba* Garcii Lorki na scenie *Saarländisches Stadttheater* w Saarbrücken. ■ Dyrygent Kazimierz Kord podjął dłuższą współpracę z orkiestrą w Baden-Baden. ■ Henryk Czyż dyrygował w Kilonii, gdzie wykonał oprócz utworów Beethovena i Haydna również własną *Canzona di Barocco*. ■ Organista Maurycy Merunowicz dał recitale w Fischen, Kloster, Dortmundzie i Kilonii. ■ Kazimierz Wiłkomirski (wiolonczela) występował w Brunzwicku. ■ Kompozytor Krzysztof Meyer uczestniczył w imprezie *Wittener Tage neuer Kammermusik* (Witten, Zagłębie Ruhry), gdzie miał swój wieczór kompozytorski. ■ Dyrygent Wojciech Michniewski poprowadził w Karlsruhe przedstawienie

*Aidy Verdiego*. ■ *Hamburski tygodnik Die Zeit* zamieścił obszerny artykuł Władysława Bartoszewskiego o powstaniu w getcie warszawskim. ■ *Sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych* oceniając pracę wspólnej komisji d/s podręczników szkolnych PRL-RFN podkreśliła w wydanym oświadczeniu, że polscy naukowcy w pracach komisji „powinni stale uwzględniać polskie racje polityczne”. A więc nic innego jak dalsze brnięcie w kształtowaniu „socialistycznej prawdy historycznej”. Inaczej tego „apelu” zrozumieć nie można. ■ Film Andrzeja Wajdy *Danton* doczekał się entuzjastycznych ocen w prasie zachodnoniemieckiej. ■ Władysław Bartoszewski powiadomił zarząd *Międzynarodowego Towarzystwa Obrony Praw Człowieka (IGFM)* z siedzibą we Frankfurcie n/Menem, że ustępuje z prezydium honorowego i w ogóle uchyła się od wszelkich kontaktów z *IGFM* wobec stanowiska zajętego publicznie przez dr. R. Gnaucka, prezesa *Towarzystwa*, który jest przeciwny integralności terytorialnej Polski w jej obecnych granicach. Z podobnych powodów z *IGFM* ustąpił prof. Andrzej Zięba, który w tej organizacji kierował działem polskim i jednocześnie redagował biuletyn *INFOBRIEF POLEN*. ■ Eugen Loderer, przewodniczący zachodnoniemieckiego *Związku Zawodowego Metalowców* oświadczył, że *Solidarność* nadal pozostaje autentyczną reprezentacją polskich robotników i ostrzegł zachodnie związki zawodowe przed nawiązywaniem jakichkolwiek kontaktów z nowymi związkami w PRL, które są, jak powiedział dosłownie Loderer, „jedynie sztucznym tworem władz, a nie rzeczywistą reprezentacją polskich robotników”. ■ *Z Deutsche Oper* w Berlinie Zachodnim współpracuje kilkoro polskich wokalistów z Teresą Zyliś-Garą, Wiesławem Ochmanem i Stefaną Toczyską na czele. Ochman śpiewał tam ostatnio partię Dymitra w *Borysie Godunowie* Musorgskiego. ■ Henryk Baranowski na podstawie długotrwałego kontraktu prowadzi scenę eksperymentalną *Transformtheater* w Berlinie Zachodnim. ■ Kurt Blecha, kierownik *Urzędu Prasy* przy *Radzie Ministrów NRD* przeprowadził w Warszawie rozmowy „dotyczące aktualnych problemów współpracy w dziedzinie informacji między Polską i NRD”. Blecha konferował z rzecznikiem prasowym rządu Jerzym Urbanem i Janem Głowczykiem, zastępcą członka *Biura Politycznego KC PZPR*. Przyjął go również wicepremier Mieczysław F. Rakowski. ■ *Possev-Verlag* we Frankfurcie n/Menem wznowił głośną książkę Józefa Mackiewicza pt. *KATYŃ — ungesühntes Verbrechen (KATYŃ — nie odpokutowana zbrodnia)*. ■ Na *Wydziale Polonistyki Uniwersytetu im. Humboldta* w Berlinie Wschodnim studiuje 46 studentów. ■ We Wschodnim Berlinie zakomunikowano, iż Erich Honecker nie złoży spodziewanej wizyty w RFN. ■ *Polorbis* w Kilonii oblicza, że w bież. roku przybędzie do PRL ok. 170 tys. turystów z RFN (1978 — 303 tys.). Polska dla turystów z RFN jest ciągle trudnym do skalkulowania ryzykiem.

Andrzej J. CHILECKI

## Kronika czeska i słowacka

Konflikt, jaki wywiązał się między Kościołem a władzami w związku z watykańskim zakazem (w marcu br.) działalności w proreżymowej organizacji „księży-patriotów” *Pacem in terris* zaostrza się i przybiera na sile. Rozpętano ogromną kampanię prasowych obelg i oszczerstw przeciwko Pa-

piezowi, której szczytem były artykuły Ondreja Danyja w bratysławskiej *Prawdzie*. Danyj napisał, że Papież „powrócił do faszystowskiej linii poparcia dla wyzyskiwaczy i imperialistów tudzież emigrantów” (aluzja do mianowania w styczniu br. biskupów dla emigracji czeskiej i słowackiej). Zarzucił też Papieżowi „mobilizację konserwatywnych i najbardziej zacofanych warstw społecznych” w różnych krajach. Podobne ataki pojawiają się w wielu gazetach czeskich i słowackich niemal co tydzień. ■ Dziennik watykański *Osservatore Romano* opublikował w marcu list kardynała Casaroli do biskupów czeskich i słowackich, datowany 14 lutego, w którym autor tłumaczy stanowisko Watykanu wobec problemu pokoju światowego, którego nie można sobie wyobrazić bez wolności sumienia i religii. Casaroli podkreśla wagę jedności hierarchicznego Kościoła, co stanowi odpowiedź na próby władz podzielenia biskupów i kleru, a jednocześnie wzywa władze do podjęcia dialogu. Odpowiedzią na to wezwanie była bezprecedensowa, przypominająca okres stalinowski akcja bezpieki, w wyniku której aresztowano 27 marca dziesiątki członków zakonu franciszkanów w Koszycach, Bratysławie, Pradze, Liberecu i wielu innych miejscowościach. Dotychczas dotarły wiadomości o 6 czeskich i 5 słowackich braciach znajdujących się w więzieniu i oskarżonych o „łamanie prawa”. ■ Po półtorarocznej przerwie spowodowanej „wpadką”, ukazał się w marcu obszerny, 7-my z kolei numer kwartalnika teologicznego *Teologické texty*. W tym samym miesiącu wyszedł też 8-my numer kwartalnika krytyczno-literackiego *Kritický sborník*, który jest głównym pismem czeskiego środowiska literackiego wychodzącym poza cenzurę. ■ Zachodniemiecki minister spraw zagranicznych Genscher poruszył w czasie wizyty w Pradze sprawę Jaroslava Javorsky'ego, skazanego na 13 lat więzienia za próbę opuszczenia Czechosłowacji. Jego mieszkająca w RFN żona już od 5 lat prowadzi kampanię na rzecz jego uwolnienia, ale dopiero teraz sprawa ta zaczyna nabierać rozgłosu. Pisał o niej londyński *Times* i szwedzki dziennik *Côteborgs-Posten*. ■ Akcja przeciwko działaczom i współpracownikom Karty 77 trwa. W marcu aresztowano 55-letnią ekonomistkę Drahomirę Fajtlową, oskarżając ją o rozpowszechnianie „materiałów antypaństwowych”. ■ 200 osób podpisało petycję do władz, prosząc o zwolnienie pisarza J. Šavrdy i działaczy Karty 77 R. Battěka i J. Lisa. Petycję podpisał także zwolniony niedawno z więzienia Vaclav Havel. W kwietniu w kilku dziennikach zachodnich (m.in. w *Le Monde*) ukazał się obszerny wywiad z Havlem, w którym mówi on o swoich doświadczeniach z 4-letniego pobytu w więzieniu i wypowiada się na temat obecnej sytuacji. Mówi też o miłym zaskoczeniu, jakim było dla niego zapoznanie się z kulturą niezależną, która wydaje mu się dużo silniejsza i bogatsza niż 4 lata temu, i to mimo dużo większych represji i prześladowań. ■ Nowym rzecznikiem Karty 77 została Maria Růt Křížková, z zawodu krytyk literacki. Jej najobszerniejsza praca o twórczości Jiřího Ortena, żydowskiego poety, który popełnił samobójstwo w czasie wojny, została wydana w samizdacie w latach 70-tych.

Alexander TOMSKY

## Kronika kulturalna

### Nagrody

Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” przyznała — na wniosek zespołu d/s kultury — Nagrody Kulturalne „Solidarność” za lata 1981 i 1982. Mają one charakter wyróżnień honorowych, nie pieniężnych. Przyznano je bez porozumienia i laureatami, na podstawie opinii środowisk, gdzie twórczość ich jest znana.

Są to nagrody za twórczość artystyczną umacniającą więź ludzkiej solidarności. Dodaje ona odwagi i siły, potrzebnej dla godnego życia w warunkach, jakie powstały w Polsce.

Otrzymali je:

- Anonimowy autor lub autorzy piosenki „Idą, idą panery na Wujek”;
- Lech Bądkowski, Gdańsk — za twórczość literacką i publicystyczną oraz za redagowanie Tygodnika *Samorządność*;
- Ryszard Bugajski, Warszawa — za reżyserię filmu fabularnego „Przesłuchanie”, ukazującego walkę o ludzką godność w czasach stalinowskiej pogardy;
- Edward Dwurnik, Warszawa — za twórczość malarską, a zwłaszcza za powstały w początkach roku 1981 cykl obrazów ukazujących proces i metaforycznie stan wojenny w Warszawie;
- Eugeniusz Get-Stankiewicz, Wrocław — za twórczość graficzną, a zwłaszcza za pracę „Zrób to sam”;
- Zbysław Grzywacz, Kraków — za twórczość malarską tematycznie związaną z życiem w warunkach stanu wojennego;
- Jerzy Jarocki, Kraków — za reżyserię „Mordu w Katedrze” T. S. Eliota, spektaklu wystawionego w czwartym miesiącu stanu wojennego w Katedrze św. Jana w Warszawie i w Katedrze na Wawelu;
- Tomasz Jastrun, Warszawa — za twórczość poetycką powstałą w okresie stanu wojennego;
- Jan Kelus, Warszawa — za piosenki z ostatnich lat;
- Krzysztof Kieślowski, Warszawa — za reżyserię filmu fabularnego „Przypadek”, będącego analizą postaw inteligencji polskiej w okresie wojennym;
- Marek Nowakowski, Warszawa — za tom opowiadań „Raport o stanie wojennym”;
- Andrzej Piekutowski, Warszawa — za pełnometrażowy film dokumentalny „Chłopi 81”;

- Jan Polkowski, Kraków — za twórczość poetycką, zwłaszcza za wiersze powstałe w okresie stanu wojennego;
- Andrzej Szczepkowski, Warszawa — za rolę Ambasadora w sztuce „Ambasador” S. Mrożka (Teatr Dramatyczny).
- Teatr Osmego Dnia, Poznań — za spektakl „Mandelsztam”, przygotowany w okresie stanu wojennego;
- Janusz Zaorski, Warszawa — za reżyserię filmu fabularnego „Matka Królów”;
- Zbigniew Zapasiewicz, Warszawa — za role: „Łunina w „Łunin czyli śmierć Kubusia Fatalisty” Radzińskiego oraz Ojca w „Pieszo” S. Mrożka (oba spektakle — Teatr Dramatyczny).

Francuska literacka Nagroda Wolności przyznana została 4 maja *ex aequo* Markowi Nowakowskiemu za „Raport o stanie wojennym” (po francusku wyd. Stock) i przebywającemu obecnie w więzieniu pisarzowi sowieckiemu Leonidowi Borodinowi za „Powieść dziwnych czasów” (Gallimard).

Marek Nowakowski, ur. 1935, zyskał sobie od 1957 roku popularność pełnymi humorem krótkimi opowiadaniem, poświęconymi często ludziom z marginesu społecznego. Jego „Raport o stanie wojennym”, pisany od chwili proklamowania w Polsce stanu wojennego, wydostał się na Zachód podziemnymi kanałami.

Leonid Borodin, aresztowany w maju 1982 roku, lat 45, należał do Chrześcijańsko-Społecznego Zjednoczenia na Rzecz Wyzwolenia Narodu, zlikwidowanego w 1967 roku. Borodin spędził już sześć lat (od 1968 do 1974) w gułagu. Po wyjściu z obozu założył podziemne pismo o inspiracji religijnej, *Almanach moskiewski*. Autor trzech książek, z których żadna nie została opublikowana w ZSSR, jest obecnie ponownie oskarżony o agitację i propagandę antysowiecką.

W skład jury Nagrody Wolności, któremu przewodniczy Eugene Ionesco, wchodzi: Georges-Emmanuel Clancier, Pierre Emmanuel, André Lwoff, Dimitri Stołypin, René Tavernier i Vercors.

Pierwszymi laureatami nowo ufundowanej dorocznej nagrody im. Ireny Grabowskiej-Kruszewskiej za najlepszą książkę o Polsce napisaną w języku angielskim są Neal Ascherson (nagroda za rok 1981), korespondent zagraniczny pism *Guardian*, *Scotsman* i *Observer*, za książkę „The Polish August” (Penguin Books 1981) oraz dr J. K. Zawodny (nagroda za rok 1982) za doskonale udokumentowaną relację z Powstania Warszawskiego pt. „Nothing but Honour” (Hoover Institution Press 1978). Nagroda w wysokości 150 £ została ufundowana przez prof. Z. A. Kruszewskiego z University of Texas dla uczczenia pamięci jego matki, Ireny Grabowskiej-Kruszewskiej, zmarłej w Ravensbrück w 1945 roku.

Nagroda Konkursu Kompozytorskiego im. Ks. Pierre de Monaco przyznana została w tym roku, za całokształt twórczości, jednemu z siedmiu znanych kompozytorów współczesnych, przedstawionych do tej nagrody w 1982 roku.

Jury w składzie: Emmanuel Bondeville (przewodniczący, Francja), Lennox Berkeley (Anglia), Narcis Bonet (Hiszpania), Henri Dutillieux

(Francja), Lawrence Foster (USA), Virgilio Mortari (Włochy), Zygmunt Mycielski (Polska) przyznało tę nagrodę Andrzejowi PANUFNIKOWI, zamieszkałemu od 27 lat w Anglii.

Na tegorocznym zjeździe Związku Kompozytorów Polskich powzięto jednomyślnie uchwałę, przyznającą członkostwo honorowe Aleksandrowi Tansmanowi, Romanowi Palestrowi i Zygmuntowi Mycielskiemu.

## Premiera "Indyka" w Kiel

Dzięki pomocy i troskliwej opiece towarzystwa użyteczności publicznej, które w ubiegłym roku zawiązało się w Kilonii i przybrało nazwę *Initiative Polnisches Theater* grupa aktorów, będąca obecnie zalążkiem polskiego zespołu, rozpoczęła w lutym br. próby znanej sztuki Sławomira Mrożka „Indyk”. Akurat tę sztukę udało się obsadzić aktorami, którzy znaleźli się mniej więcej przypadkowo na miejscu.

Był to na razie teatr „bez ziemi”, nie posiadający niczego poza zapałem tworzących go ludzi i dobrymi chęciami życzliwych opiekunów, którzy z poświęceniem i kosztem własnego czasu pomagali nam w tym przedsięwzięciu. Próby odbywały się w popularnym młodzieżowym domu kultury „Die Pumpe”. Równoległe z pracą nad tekstem i ustawianiem sytuacji zaczęło się budowanie dekoracji, które zaprojektował reżyser przedstawienia Aleksander Berlin. Aktorzy własnoręcznie wykonali dwupoziomową konstrukcję, której wymagała akcja sztuki. Dekoracja wzbogaciła się o horyzont i kotary, które uszyliśmy sami z pustych worków jutowych po kartoflach. Trzeba było najpierw porozcinać ok. 200 worków, a potem je pozszywać w wielkie płyty. Muszę dodać, że te wielkie opony jutowe robiły mocne wrażenie. Gorzej, że dosyć skomplikowaną dekorację trzeba było codziennie rozbiierać po próbie i nazajutrz ustawiać na nowo, bowiem sala widowiskowa *Ball Pompos*, którą dostaliśmy do dyspozycji, była wykorzystywana w tym samym czasie na inne imprezy. Na dodatek akurat przed samą premierą dano nam do dyspozycji wyłącznie noce, podczas których trwały ostatnie cztery próby generalne.

Kostiumy do spektaklu ofiarował nam nieodpłatnie dyrektor Opery. Trzeba je było jednak uzupełnić i dopasować, a niektóre nawet uszyć na nowo, jak na przykład suknię Laury. Robili to wszystko sami aktorzy, przy pomocy kilku Polaków, którzy przyłączyli się do naszego zespołu i bezinteresownie, tak jak zresztą i sami aktorzy, którzy nie dostawali przecież żadnego dodatkowego wynagrodzenia za swoją pracę, utrzymując się nadal z zaopatrzenia socjalnego — pomagali z zapałem w przygotowaniach do premiery.

21 kwietnia o godzinie 20-tej padły ze sceny *Ball Pompos* w Kilonii pierwsze słowa, rozpoczynające akcję „Indyka”. Cały spektakl był grany w języku polskim, z wyjątkiem dialogów trzech chłopców, spełniających u Mrożka rolę swego rodzaju „greckiego chóru”, które były mówione po niemiecku. Do roli dwóch chłopców pozyskaliśmy kolegów niemieckich. Trzeciego chłopca zagrał niżej podpisany, starając się w miarę poprawnie interpretować niemiecki dialog. Snuliśmy więc nasze absurdałne rozmowy w

języku niemieckim, zaś równoległe z akcją sztuki, która toczyła się dalej po polsku, było czytane tłumaczenie niemieckie sztuki przez głośniki rozmieszczone na widowni.

W dalszej, już może niedalekiej przyszłości zespół opracuje tekst „Indyka” w pełnej niemieckiej wersji językowej. Jest to zadanie trudne, ale musi być wykonane, wychodząc z założenia, że teatr ten został powołany, aby grać w przyszłości polski repertuar dla niemieckiej publiczności.

Nie mogąc sam ocenić wyników naszej pracy, chcę na zakończenie przytoczyć obszerny fragment recenzji, jakie ukazały się w miejscowej prasie nazajutrz po premierze.

W *Kieler Nachrichten* czytamy: „Na widowni, jeszcze przed rozpoczęciem przedstawienia, wyczuwało się zycziwą ale i pełną napięcia atmosferę. Wiele znanych osobistości ze świata kultury, duża grupa Polaków oraz wielu sympatyków ciekawych tego wydarzenia wypełniało szczelnie salę *Ball Pompas* podczas pierwszego przedstawienia *Initiative Polnishes Theater* w Kilonii. Niezależnie od wszystkiego, ta premiera jest niewątpliwym dowodem, że projekt stworzenia warunków artystycznej egzystencji dla polskich aktorów, którzy znaleźli się w naszym kraju, ma realne szanse powodzenia.

To pierwsze przedstawienie, satyrę Sławomira Mrożka „Indyk”, widzowie przyjęli burzliwą owacją. Reakcja publiczności nie pozostawia żadnej wątpliwości: polski teatr na obczyźnie jest sprawą doniosłą, która musi być poparta, musi przetrwać! „Sympatia widzów przebijają bez trudu przez bariery językową”, zaś *Lübecker Nachrichten* napisał: „To, w jaki sposób doszło obecnie w Kiel do wystawienia sztuki Sławomira Mrożka (ur. 1930) 'Indyk', samo mogłoby posłużyć temu mistrzowi jako pomysł absurdalnej groteski. I z jakim rezultatem? Wygrali tu wszyscy, Mroźek zaś dał teatrowi szerokie możliwości.

O nadanie odpowiedniego kształtu śmiałemu eksperymentowi postarał się rutynowany polski reżyser Aleksander Berlin, mając poparcie w aktorach, którzy zrealizowali swoje zadania w sposób mistrzowski, tworząc sceny pełne poezji, dramatyczności i wdzięku”.

W premierze „Indyka” udział wzięli — przepisują z programu: Ewa Ławniczak, Włodzimierz Kowalewski, Henryk Nolewajka, Tadeusz Galia, Ryszard Balcerek, Sławomir Wabik, Heino Dose i Holger Vogeru (koledzy niemieccy), zespół techniczny: Magdalena Michel, Marian Kram, Roger Niklasiewicz i Krzysztof Woźniak. Spektakl wyreżyserował i dekoracje zaprojektował Aleksander Berlin. Kierownictwo organizacyjne sprawował Anatol Kobyliński.

### ROZPORZĄDZENIE MINISTRA NAUKI, SZKOLNICTWA WYŻSZEGO I TECHNIKI Z DNIA 14 STYCZNIA 1983 ROKU

w sprawie szczegółowych zasad i trybu postępowania wobec pracowników szkół wyższych i studentów zakłócających ład i porządek w okresie zawieszenia stanu wojennego

Na podstawie art. 6 ust. 2 i 3 ustawy z dnia 18 grudnia 1982 roku o szczególnej regulacji prawnej w okresie zawieszenia stanu wojennego (*Dziennik Ustaw* Nr 41, poz. 273) zarządza się co następuje:

§ 1. W razie ukarania nauczyciela akademickiego lub studenta prawomocnym orzeczeniem sądu lub kolegium do spraw wykroczeń za czyny określone w art. 46, 48 i 50 ust. 1 dekretu z dnia 12 grudnia 1981 roku

o stanie wojennym (*Dziennik Ustaw* z 1981 roku Nr 29, poz. 154 i z 1982 roku Nr 3, poz. 18) popełnione poza terenem szkoły wyższej, albo uczestniczenie w strajku, akcji protestacyjnej i zgromadzeniu lub działaniu zakłócającego ład i porządek przeprowadzonych\* wbrew przepisom prawa na terenie szkoły wyższej, rektor szkoły wyższej odpowiednio:

- 1) rozwiązuje z pracownikiem stosunek pracy bez wypowiedzenia z winy pracownika,
- 2) występuje z wnioskiem o rozwiązanie stosunku pracy,
- 3) skreśla studenta z listy studentów.

§ 2. 1. Rozwiązanie stosunku pracy lub skreślenie z listy studentów, o których mowa w § 1, następuje po przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego.

2. Postępowanie wyjaśniające powinno być zakończone w terminie 7 dni od dnia zlecenia jego przeprowadzenia przez rektora.

3. Nie można zakończyć postępowania wyjaśniającego bez wysłuchania osoby, której ono dotyczy.

§ 3. Nauczyciel akademicki, z którym rozwiązano stosunek pracy, lub student skreślony z listy studentów może odwołać się do ministra nadzorującego szkołę wyższą. Odwołanie powinno być wniesione w terminie 14 dni.

§ 4. W sprawach nie uregulowanych przepisami rozporządzenia oraz do pracowników szkoły wyższej nie będących nauczycielami akademickimi stosuje się przepisy rozporządzenia Ministra Pracy, Płac i Spraw Socjalnych z dnia 29 grudnia 1982 roku w sprawie szczegółowych zasad i trybu postępowania w niektórych sprawach pracowniczych w okresie zawieszenia stanu wojennego (*Dziennik Ustaw* Nr 45, poz. 303).

§ 5. Rozporządzenie wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Minister Nauki, Szkolnictwa Wyzszego  
i Techniki  
B. MIŚKIEWICZ

\* Pozostawiamy składnię oryginału — Red.

### LEKTURY SZKOLNE

P. Monika Warneńska w artykule: „Cyryle i metody” (*Perspektywy* z 6 maja 1983) uskarża się, że na skutek nacisków zarządu głównego Z.L.P. i Komisji Edukacji Narodowej usunięto z programów literackich w IV szkole średniej pisarzy takich jak Iwazskiewicz, Putrament, Czeszko i Zukrowski, którzy są obecnie reprezentowani tylko jedną pozycją. Natomiast przeważają: Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys (trzy książki), Marek Nowakowski (dwie książki), Tadeusz Konwicki (trzy książki), Strykowski (dwie), Jan Józef Szczepański (trzy). W uzupełniającej ten program decyzji resortu Oświaty — decyzji dotyczącej „lektur do wydania w roku 1984” — figurują — dla przykładu — pozycje takie jak W. Woroszyńskiego „Cyryl gdzie jesteś” — 200 tys. egzemplarzy, M. Nowakowskiego „Wesele raz jeszcze” — 150 tys. egzemplarzy, S. Mrożka „Woda” — 300 tys. egzemplarzy i „Tango” — 100 tys. egzemplarzy. Opozycja literacka wykazała (nie po raz pierwszy) jak sprawnie umie chodzić wokół interesów ludzi z nią związanych”. — Nie przypuszczaliśmy, że tak zwalczana opozycja posiada tak wielkie wpływy.

## SOLIDARNOŚĆ — PARIS

Tygodnik założony w styczniu 1982 roku przez Andrzeja Kowalczyka zawiera w każdym numerze serwis informacyjny, fotograficzny, przedruki z podziemnej prasy krajowej, wybrane artykuły z prasy polskiej i zagranicznej.

Prenumerata roczna: F. 185,00 lub \$ US 25,00.

Konto: *Solidarité Pologne* — à la *Société Générale Agence Défense Leclerc* 37265283.

Adres wydawnictwa:

24, Allée de L'Arlequin, apt. 10032,  
92000 Nanterre, France  
Tel.: (1) 778-03-45

NAKŁADEM „ANEKSU”

JAN JÓZEF LIPSKI

K O R

Jest to książka o wysiłkach gromady ludzi, bardzo różnych, którzy postanowili wystąpić w obronie bitych i więzionych robotników, przeciwstawić się totalizmowi, stworzyć ruch budujący przyszłą Polskę niepodległą i demokratyczną od podstaw, od pokazania swym przykładem, że można się przeciwstawić — o ludziach, których połączyły wspólne postawy moralne i którzy byli tylko ludźmi, a więc nieraz mylili się, kłócili się między sobą, a przy tym potrafili być zespołem — Komitetem Obrony Robotników.

K O R nie tylko stworzył oryginalny model opozycji, lecz przede wszystkim był prawie bezkonkurencyjny w działaniu, wiodącym od pomocy dla robotników w 1976 roku, przez „Robotnika” i Komitety Założycielskie Wolnych Związków Zawodowych do „Solidarności”.

Str. 536.

Cena: £ 8.90, \$ US 17.90.

Zamówienia wraz z wpłatą prosimy kierować na adres:

ANEKS, 61 Dorset Road, London W5, England

## Książki

### Książka o kardynale Wyszyńskim

I

Na początku drugiej połowy naszego stulecia polski poeta Czesław Miłosz pisał o Polsce: „Kraj stał się prowincją Imperium i jest rządzony edyktami z Centrum, przy zachowaniu autonomii, która będzie się coraz bardziej zmniejszać. Być może okres niepodległości narodów jest już skończony... Przykro jest pożegnać się z marzeniami o federacji równych narodów, o zjednoczonych stanach Europy, w których różne języki i różne kultury miałyby takie same prawa... Narody zachodniej Europy przejdą tę fazę później... Aż wreszcie syn stepów kirgizkich będzie pasł konia nad Loarą, a Sycylijczyk sadził bawełnę w turkmeńskich dolinach i tak zrealizowane zostanie *Cité Universelle*”.

Nie należy lekceważyć przepowiedni Kasandry. Ale przez ówczesnego Miłosza nie przemawiał duch wieszcz, lecz gorzyc człowieka, który zawiódł się na swej wierze w „wyzwolony” umysł ludzki i teraz stawił mu nagrobek, na którym wykuwał słowa „Umysł zniewolony”. Historia obeszła się z Miłoszem łaskawie. Dane mu było dożyć chwili, kiedy w jego ojczyźnie zatriumfowała alternatywa zarówno „wyzwolonego”, jak i „zniewolonego” umysłu. Był tą alternatywą wolny rozum ludzki, którego nie trzeba wyzwalać, bo nie można go zniewolić. Rozum czerpiący swą żywotność z wiecznie młodego źródła wiary, wspierany nadzieją, rozum, wobec którego bezsilny okazał się światopogląd Murti-Binga.

II

Tym, który z woli Opatrzności Bożej poprowadził naród w walce o zachowanie prawdziwego rozumu był Kardynał Wyszyński, Prymas Polski. Jego zasługą jest, że możemy dziś patrzeć z ufnością w przyszłość, umocnieni w rozumieniu naszego przeznaczenia narodowego, ponieważ dany nam jest znak: Polak na



Stolicy Piotrowej. Zwracając się do Prymasa Wyszyńskiego po swym wyborze, mówił Ojciec Święty Jan Paweł II: „Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego Papieża Polaka, który dziś pełen bojaźni Bożej, ale i pełen ufności, rozpoczyna nowy pontyfikat, gdyby nie było Twojej wiary, nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem. Twojej heroicznym nadziei, Twego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry i tego całego okresu dziejów w Ojczyźnie naszej, które związane są z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem”.

### III

Jest więc rzeczą zrozumiałą, że ukazanie się biografii Prymasa Wyszyńskiego odpowiada ogromnemu zapotrzebowaniu społecznemu. A że biografia ta nie mogła się ukazać w Polsce świadczą dowodnie o złej woli ludzi szermujących obłudnie swym szacunkiem dla Prymasa Polski, w rzeczy zaś samej usiłujących przekreślić Jego dzieło, zafałszować Jego naukę, wymazać z pamięci narodu Jego testament duchowy. Dobrze więc się stało, że Andrzej Micewski nie zląkł się olbrzymiej odpowiedzialności spadającej na autora tak oczekiwanego dzieła i ryzyka opublikowania go za granicą. Z wiedzą, nabytą w ciągu lat uprawiania ważkiego pisarstwa historycznego i politycznego, z temperamentem człowieka przekonanego o swych racjach, lecz równocześnie nieustannie je porządkującego i pogłębiającego, dał nam książkę, która zajmie zapewne niepoślednie miejsca w polskim piśmiennictwie i której na pewno nie będzie mógł pominąć żaden przyszły biograf Prymasa Wyszyńskiego\*.

Micewski zebrał wielkie bogactwo faktów. Zaczerpnął je nie tylko ze źródeł powszechnie dostępnych, lecz również z ustnych relacji osób, którym dane było zetknąć się z Prymasem, oraz z udostępnionych mu notatek i nieautoryzowanych wypowiedzi Księdza Prymasa. Praca tym większe wzbudzi zainteresowanie, że wyszła spod pióra jednego z tych katolików świeckich, którzy — powtarzam słowa Micewskiego — byli świadkami wszystkich wydarzeń, towarzyszyli Kardynałowi, spierali się z nim, i „jak się okazało [to On] zazwyczaj miał rację”. Doczeka się więc książka Micewskiego wnikliwych recenzji, a nie obejdzie się bez polemik.

### IV

Wydaje mi się rzeczą znamienną, że Prymas Wyszyński przeszedł na zmianę dwóm wielkim książętom Kościoła w Polsce, prymasowi Hlondowi i kardynałowi Sapięcie, w okresie, w którym Polska zmagala się z dwoma głównymi następstwami wojny: geograficznym przesunięciem na zachód i narzuconymi jej gwał-

\* Andrzej Micewski: *Kardynał Wyszyński — Prymas i mąż stanu*. Str. 465. Wyd. Edition du Dialogue, Paryż 1982.

townymi przemianami społeczno-politycznymi. Z tymi zmianami wiązało się powstanie państwowości, która w oczach znakomitej większości społeczeństwa pozbawiona była podstawowych znamion suwerenności. Nowa epoka domagała się nowych ludzi. Nowe doświadczenia przekraczały percepcję pokoleń, które co prawda przetrwały czasy ciężkie, dramatyczne, tragiczne, ale które, choć postrzegały apokaliptyczne wymiary czekającej naród próby, stawały wobec niej bezradne. Okupanci doprowadzili naród na skraj fizycznej zagłady; teraz groziła mu zagłada duchowa. Już w październiku 1945 roku biskupi polscy uznali za konieczne przestrzec „przed materializmem, bezbożnictwem, sektami i propagandą antychrześcijańską”. Przypominali, że „gdy chodzi o stosunek do Boga, o ducha, o moralność i sumienie, pamiętać należy o przestrodze Chrystusowej, że 'nikt nie może dwóm panom służyć'. Katolicy powinni szczerze współpracować przy odbudowie Rzeczypospolitej w zdrowym duchu demokratycznym, ale zarazem trwać niewzruszenie przy swoich wierzeniach religijnych, opierając się hasłom niezależnienia życia prywatnego i zbiorowego od wyższych norm moralnych... przeciwstawiać się zakusom, które by chciały rozpętać w Polsce szkodliwą dla państwa i jedności narodowej walkę z Kościołem”.

Wskazania biskupów stały się programem przetrwania, zachowania godności, a z czasem walki o odzyskanie należnego miejsca w rodzinie wolnych narodów, zaś „rozwój wypadków w zakresie stosunku nowego ustroju do Kościoła katolickiego w Polsce musiał stać się w oczach Europy i świata jednym z zasadniczych — pod względem moralności politycznej — sprawdzianów tych rozstrzygnięć, jakie przyniosło ze sobą zakończenie straszliwej drugiej wojny światowej” (Kardynał Karol Wojtyła: „Znaczenie Kardynała Stefana Wyszyńskiego dla współczesnego Kościoła”, *Zeszyty Naukowe KUL* XIV, 1971, nr 3).

„Jest więc rzeczą zrozumiałą — czytamy dalej — iż w takich okolicznościach istnienie i działalność Kościoła łączy się zarażem z gruntowną próbą sił. Znaczenie zaś takiej próby dla Kościoła powszechnego pochodzi stąd, że nie tylko w Europie środkowo-wschodniej, ale także w innych częściach globu stoi on wobec faktu albo przynajmniej możliwości podobnych zmian ustrojowych jak w Polsce”.

Tę próbę sił Prymas Wyszyński przeszedł zwycięsko, wkorzeniając Kościół powszechny „w tę część chrześcijańskiej Jedności, z którą Opatrzność Boża związała go przez posłannictwo pasterskie i prymasowskie”.

### V

Próba sił, o której mówił Kardynał Wojtyła, stała się z historycznej konieczności główną treścią misji Prymasa Wyszyńskiego. Micewski, zgodnie z zapowiedzią we wstępie, kładzie nacisk na doczesny, społeczno-polityczny aspekt tej konfrontacji. Przed-

stawia go szczegółowo i choć nie stroni od komentarzy i ocen, pozostawia czytelnikowi własne odtworzenie i zrozumienie przesłanek działań Prymasa Wyszyńskiego, których zwieńczeniem stała się obecna postawa narodu. Skłonny jestem uważać, że główną taką przesłanką w myśleniu Prymasa było przeświadczenie o nadrzędności narodu w stosunku do państwa. „Bez rodziny — pisał w czerwcu 1978 roku — nie ma narodu, tak jak bez narodu trudno sobie wyobrazić zdrowe, porządne państwo. W rodzinie rodzi się naród i wychowuje poczucie ładu społecznego. Ale wszystkie rodziny tworzą rodzinę rodzin — Naród!”.

Nie zawsze i nie wszyscy rozumieли lub choćby dostrzegali złożoność problemu wynikającą z takiego właśnie widzenia relacji naród-państwo. W tym samym czasie, kiedy Prymas narzucał władzom państwowym dialog i zmuszał je do prowadzenia tego dialogu trafiali się tacy, którzy obawiali się, że Prymas okazuje zbyt wielką ustępliwość i tacy, którzy mu zarzucali zajmowanie zbyt nieprzejednanej, a nawet wrogiej wobec państwa postawy. A przecież tym pierwszym wystarczyłaby chwila namysłu, tym drugim zaś chwila szczerości, by uwolnili się z więzów anachronicznych — już nie idei, a nawyków myślowych.

Kardynał Wyszyński nie miał i nie mógł mieć złudzeń co do natury państwowości, która stała się udziałem Polaków. Skoro jednak mieli przetrwać, to państwo, choćby najułomniejsze, nie-suverenne, kierowane przez złe i nieudolne rządy, represyjne i marnotrawne, wciąż jeszcze stanowiło lepszy stan wyjściowy dla walki o naprawę i samostanowienie, niż brak bytu państwowego. „Bywały sytuacje — mówił Prymas w grudniu 1980 roku — kiedy Kościół wypełniał zadania zastępcze. Tak było w okresie niewoli, kiedy Kościół... włączał się niekiedy nawet w walkę zbrojną, jak zakonnicy warszawscy w czasie Powstania Listopadowego czy Stycziowego, których masowo zsyłano na Sybir albo an szubienice pod Cytadela. Dzisiaj nikt nie śmie powiedzieć, że oni przekroczyli granice swoich zadań. Wtedy to bowiem zaczął się budzić duch świadomości narodowej... w wielkiej mozaice dziejowej te karminowe kamyczki krwi synów Kościoła były konieczne”. Ale dziś, kiedy świadomość narodowa jest rozbudzona, co więcej, okrzepła i zna swą siłę, „większym nieraz bohaterstwem jest żyć, trwać, wytrzymać całe lata”.

Choćby po to, by umrzeć za Ojczyznę, kiedy tego będzie wymagało życie dla niej.

## VI

„Zadania zastępcze”. Nie darmo mówił Prymas Wyszyński o ich wypełnianiu przez Kościół w okresie niewoli. Do przyznawanej mu roli *interrexa*, nie tylko przez katolicką większość społeczeństwa, ale także przez władze komunistyczne, odwołujące się do Jego autorytetu w chwilach kryzysów państwa, zachowy-

wał Prymas zawsze stosunek właściwy. Micewski przytacza fakt wysłania przez Prymasa depeszy do Bolesława Bieruta, podówczas już nie tylko nominalnego, ale i faktycznego szefa państwa, z życzeniami urodzinowymi. Dowodziło to, że Prymas lepiej rozumie funkcję *interrexa* niż wielu spośród tych, którzy mu ją przyznawali. *Interrex* stawał u steru nawy państwowej w okresach bezkrólewia, ale nie w okresach, kiedy państwo przestawało istnieć względnie traciło tylko swą suwerenność. Był tym autorytetem ostatecznym, który w imieniu społeczeństwa obejmował władzę, kiedy nie było jej komu sprawować. Nie był natomiast stroną w stosunkach między państwem i społeczeństwem. Z chwilą, gdy wakans wypełniał nowy cesarz, Prymas wracał do swych zadań podstawowych. Do nich należało między innymi stanie na straży całości państwa. Kiedy zachodziła potrzeba, nie wahał się mówić wyraźnie o tym, co całości państwa zagraża. W ten właśnie sposób bronił suwerenności narodu, prawa narodu do samostanowienia.

W kwietniu 1978 roku mówił: „... niedawno powstał w Polsce ruch 'obrońców praw człowieka'... Otrzymałem pewien referat — bo Polacy bardzo dużo teraz piszą — w którym jest powiedziane: 'Cieszymy się, że i Episkopat przyłączył się do tej sprawy'. Groteskowe jest to zestawienie. W odpowiedzi wliczyłem autorowi referatu wszystkie wysiłki i postawę Episkopatu od 30 lat. To nie dziś Episkopat 'się przyłączył'. Od lat, niekiedy osamotnieni, opuszczeni przez wszystkich, bronimy podstawowych praw człowieka w Polsce”.

Incydent ten charakteryzuje sposób myślenia zdarzający się ludziom wstępującym na arenę działania publicznego. W naszych czasach nabiera szczególnej wymowy.

## VII

Jesteśmy w sytuacji, w której władze państwowe zdecydowanie odmawiają udzielania posłuchu społeczeństwu, zwalczają brutalnie każdą próbę ratowania państwa zagrożonego katastrofą nie tylko gospodarczą lecz i polityczną. Raz po raz rozlegają się głosy domagające się, by Kościół wziął na siebie „zadania zastępcze”. Czyż jednak nie oddaje On słusznej sprawie największej usługi, zachowując dla siebie rolę arbitra; może nawet myśląc o czasie, kiedy Prymas Polski będzie znowu musiał przejąć obowiązki *interrexa*.

Nie ma już dziś potrzeby budzić świadomości społecznej. Jest żywa, zaś walka o dyktowane przez nią postulaty spoczywa na powołanych przez społeczeństwo organizacjach i przewodzących im ludziach. Faktem jest, że w naszym kraju ruchy i organizacje społeczne — jeśli chcą zachować autentyczność — muszą się liczyć ze społeczeństwem, które w swej znakomitej większości jest katolickie, muszą więc być kierowane przez katolików. Stwa-

rza to wiele problemów, z których bynajmniej nie najmniejszymi są te, które zaistniały już przed wieloma dziesiątkami lat, kiedy katolickie ruchy społeczne i polityczne zaczynały dopiero się kształtować. Warto więc być może przypomnieć słowa wypowiedziane podówczas przez arcybiskupa Józefa Teodorowicza:

„Przed wszystkim należy przestrzec przed fałszywym pojęciem organizacji katolickiej. Zbyt często identyfikują akcję Kościoła z działalnością partii katolickich, czy społecznych czy politycznych. Jest to błąd zasadniczy; partie katolickie mogą, względnie muszą mieć pewne postulaty, które nie zawsze tym samym są postulatami Kościoła. Co do wielu punktów życia społecznego i politycznego, Kościół jako taki nie angażuje się swym zdaniem i, *servatis servandis*, pozostawia wolność pod tym względem działającym. Tymczasem partia katolicka musi zająć jakieś pewne i określone stanowisko, które wcale nie wyklucza zdania przeciwnego politycznego, dającego się równie dobrze pogodzić z katolicyzmem.

Z fałszywego pojęcia organizacji katolickiej wyływa dążność w organizacjach katolickich, również nie zawsze dobrze pojęta, do angażowania zbyt bezpośredniego hierarchii Kościoła, a jednak wszelkie zbyteczne i za daleko idące pretensje, domagające się anonsowania się dostojników Kościoła w akcji organizacyjnej, mogą być zarówno utrudnieniem dla samej akcji katolickiej, jak i dla książy Kościoła. Akcja bowiem, jako taka, potrzebuje swobody ruchów, nieraz silniejszych akcentów, które trudno pogodzić czasem z wysokim nastrojem atmosfery, jaka musi otaczać każdy akt wychodzący spod pieczęci hierarchicznej (...). Jeżeli jednak nie należy nadto bezpośrednio angażować hierarchii, to nie wynika bynajmniej z tego, by książy Kościoła miano z akcji katolickiej wyłączać. Wszak oni są regulatorami życia duchowego i wewnętrznego; wszak oni mają głos przede wszystkim tam, gdzie idzie o główne wytyczne idei katolickiej w jej przystosowaniu do potrzeb i życia publicznego i politycznego. Gdzież akcja katolicka znajdzie lepszą zachętę, jeżeli nie u nich? Gdzież hasło jeśli nie stamtąd? Gdzież indziej będzie szukał kapłan, rzucający się do pracy na niwie społecznej dla siebie umocnienia i utwierdzenia, jeżeli nie znowu w tymże samym źródle”. (Z odpowiedzi na ankietę *Przeglądu Powszechnego* w roku 1906).

## VIII

Pokolenia, którym przyszło żyć świadomie w czasach, kiedy wychowawcą narodu był Kardynał Stefan Wyszyński Prymas Polski, dziś stanowią o przyszłości Polski. Kardynał Wojtyła we wzmiankowanej wyżej pracy wspomina, że Papież Paweł VI powiedział o Kardynale Wyszyńskim, iż „jego głos wznosi się z tak wielką siłą, że musi go słuchać cały Kościół Powszechny”.

Mikołaj SAWULAK

## Vatzlav

Utarła się opinia, iż Mrożek do *Rzeźni* (1973), a jak chcą niektórzy nawet do *Emigrantów* (1975) nie napisał niczego, co dorównywałoby *Tangu*. Tymczasem między *Tangiem* a *Rzeźnią* Mrożek napisał dwie sztuki — i to świetne sztuki — którym los spletał figła: autor odpisał je na straty i prawie o nich zapomniał. Pierwsza to *Krawiec*, napisany w roku 1964 — a więc tuż po *Tangu*, a na dwa lata przed ukazaniem się identycznej w pomysłach *Operetki* — opublikowany dopiero w roku 1977<sup>1</sup>. Druga to *Vatzlav*, napisany latem roku 1968<sup>2</sup>, który po raz pierwszy po polsku (wydany wcześniej po niemiecku i po angielsku) ukazuje się teraz razem z *Ambasadorem*<sup>3</sup>.

Prapremiera światowa *Vatzlawa* odbyła się w Zurychu w roku 1970. Prapremiera polska, w inscenizacji Dejmka, w Teatrze Nowym w Łodzi w roku 1979. Przedstawienie było pół zakazane, nie zostało także należycie docenione przez koła opiniodawcze. „Dopiero z Solidarnością — pisze mi Mrożek — wybuchł *Vatzlav* na Polskę: objazdy, nagrody na festiwalach, między innymi granie w Stoczni Gdańskiej”. Sztuka, w której szanse polityczne Mrożek przez długie lata nie wierzył, ujrzała w kraju światło dzienne wyłącznie dzięki entuzjazmowi i uporowi Dejmka. Dejmek wyrzucił z *Vatzlawa* obszerny wątek freudowski, a Mrożek przygotowując tekst do publikacji poszedł za intuicją reżysera i skrócił sztukę z 77 do 60 scen.

*Vatzlav* łączy się ściśle z *Krawcem*, ale sztuki różnią się od siebie tym, co różni od siebie ich głównych bohaterów. Odpowiednikiem tytułowego Krawca jest w *Vatzlavie* — Geniusz. Krawiec jest artystą, Geniusz — ideologiem i intelektualistą. Jako postać Krawiec przypomina najbardziej Fiora, dyktatora mody w *Operetce*, tyle że jest od Fiora groźniejszy i mądrzejszy: „Niby to straszne miny robią — powiada o barbarzyńcach — grymasy i wygrażania, ale mnie nie zmylą. Oni po prostu przyszli porządnie się ubrać. Jak wszyscy, jak zawsze”. W *Operetce* Gombrowicz zaleca nagość i młodość jako antidotum na wszelkie ideologiczne kostiumy. Mrożek w *Krawcu* nie wybiera ani cywilizowanego kostiumu, ani barbarzyńskiej nagości, kompromitu-

1. *Dialog* nr 11.

2. Według informacji Autora.

3. *Vatzlav* — *Ambasador*, Instytut Literacki, Paryż 1982, str. 123.

Ograniczam się tu tylko do szkicu o *Vatzlavie*, ponieważ Herling-Grudziński omówił *Ambasadora* w swoim „Dzienniku...” w *Kulturze* (nr 3/1983). Dodam jednak, że w Danii sztuka stała się ogromnym ludowym sukcesem. Na prowincji przedstawienie grane było często w obecności blisko tysiąca osób.

jąc i jedno i drugie. Idea *Krawca*, idea kostiumu, który stwara człowieka okazała się nader aktualna i Mrozek przeniósł ją niemal dosłownie do opowiadania *Pogadanka z historii najnowszej*<sup>4</sup>, którego bohaterem jest obecny zarządca Polski.

W obydwu sztukach, *Krawcu* i *Vatzlavie*, barbarzyńcy najeżdżają na fikcyjny kraj i wprowadzają doń, lub usiłują wprowadzić nową ideologię. W *Krawcu*, pod wodzą Onucego, pojawiają się prawie dosłownie nadzy, politycznie niezaprogramowani. W *Vatzlavie*, pod wodzą Barbarę, przychodzą pod osłoną ideologii, którą wcześniej dostarczył im Geniusz. Paradoksalnie to *Krawiec* bardziej niż *Vatzlav* robi wrażenie, jakby był pisany pod wpływem zajęć w Paryżu w maju 1968 roku. Barbarzyńcy w *Krawcu* znajdują sprzymierzeńca w młodym Karlosie, odrzuconym przez matkę, Nanę. W *Vatzlavie* potencjalnym sprzymierzeńcem barbarzyńców jest Józio, syn rządzącego na wyspie Nietoperza. Onucy likwiduje Karlosa, żołdacy Barbara wykastrowują Józia. Nikt nie kocha kontestatorów. Obydwie matki, Nana i Nietoperzowa, zdradzają swoich synów. Ale kobiety w sztukach Mrożka to całkiem inna historia.

*Vatzlav* jest pierwszą sztuką Mrożka, którą można nazwać tragedią. (Wbrew potocznej opinii, iż tragedia nie jest możliwa we współczesnym teatrze). Dwie następne to *Emigranci* i *Ambasador*. Przez tragedię rozumiem sztukę, której istotą jest nagłe rozpoznanie przez bohatera jego sytuacji i zmiana postępowania — którą publiczność odczuwa jako zmianę na lepsze — motywowana owym rozpoznaniami<sup>5</sup>. Mniejsza o to, czy są to „tragedie absurdu” i czy w ogóle określenia „absurd” i „teatr absurdu” wnoszą jeszcze cokolwiek do rozumienia nowszej twórczości Mrożka. W eseju pt. *Ionesco albo śmierć w ciąży*<sup>6</sup> Jan Kott cytuje autora *Łysej śpiewaczki*: „Nigdy nie mogłem zrozumieć różnicy, jaka się ciągle utrzymuje między komicznym a tragicznym. Komizm będący intuicją absurdu wydaje mi się bardziej beznadziejny od tragizmu. Komizm nie daje żadnego wyjścia... komizm jest tragiczny, a tragedia człowieka warta śmiechu”. Wątpię, aby Mrozek uważał iż tragedia człowieka warta jest tylko śmiechu. Ale inaczej jak przez śmiech nie chce — lub nie potrafi — o niej się wypowiadać. Jak prawie każdy wielki pisarz, Mrozek jest więźniem własnego języka i stylu.

*Vatzlav* składa się ze scen, a nie z aktów, jak inne sztuki Mrożka. Otwarta na wszystkie przestrzeń zdaje się być jedyną dekoracją w tej sztuce. „Scena pusta — pisze Mrozek. — Podłoga-podest nachylona ku widowni. Żadnych dekoracji”. Czemu służy ta rzadka u Mrożka — który lubi tradycyjne wnętrza z meblami — nowoczesna prostota sceny? Przewala się przez nią burza dziejowa, przechadzają się po niej ludzie z różnych epok i stanów. Edyp, lub Edypus, jak go Mrozek nazywa, postać-

4. *Kultura* nr 10/1982.

5. Maxwell Anderson, „Istota tragedii”, *Dialog* nr 2/1982.

6. *Puls* nr 15-16.

symbol, należąca zarówno do mitologii, jak do współczesnej nauki i sztuki. Dwaj polscy chłopci, Maciej i Przepiórka, typy chłopków-roztropków, zawsze bitych, lecz zawsze w końcu uchodzących cało. Cham, czyli Barbar, figura znana ze wszystkich sztuk Mrożka od *Tanga*, gdzie nosił imię Edek. Geniusz-ideolog i jego córka Justyna — wcielona Sprawiedliwość. Kim jest *Vatzlav*, tytułowy bohater sztuki? *Vatzlav* to rozbitek, emigrant, obcy, *Gastarbeiter*: „Ojciec spłodził mnie w strachu, a matka powiła w trwodze. Już jako oseskowi zdarzyło mi się ssać pierś, zamiast piersi matki, dlatego nawet kiedy mi podawano pierś, bałem się, że to miecz. Posłano mnie do szkoły, którą ukończyłem z odznaczeniem: magister-doktor strachu”.

*Vatzlav* jest sztuką mistrzowską i na różne sposoby stylizowaną. Są tu pastisze z sielanek i sparodiowane pomysły z *Baladyny*, *Burzy* i *Hamleta*. Są „rozmówki chłopskie” i własne dowcipy Mrożka z tomu opowiadań *Wesele w Atomicach*. Całe partie pisane są do rymu, tak śmiesznie i tak gładko, jakby Mrozek nie mógł się od rymowania powstrzymać. Czemu to wszystko służy? Zabawie i dowcipowi, bo w tej ponurej sztuce Mrozek nie przestał być humorystą i chciał nas — a zapewne i siebie — jak zwykle dobrze rozbawić. Ale pomieszany język *Vatzlawa* — i ten wysoki i niski — służy przede wszystkim ukazaniu treści, jakie kryją za sobą pojęcia abstrakcyjne. Czyli podobnie jak w innych sztukach Mrożka. *Vatzlav* jednak, tak jak o wiele lat późniejszy *Ambasador*, jest sztuką z niespodzianką psychologiczną. Z bohaterem, który rozpoznaje własną sytuację i dokonuje wyboru. *Vatzlawa* uczyłowieca własna klęska i poniżenie. Mrozek w drodze wyjątku pozwala mu wyciągnąć naukę z rozbieżności między jego wyobrażeniami o świecie i własnych w nim możliwościach a rzeczywistością, którą mu w swojej sztuce zgotował.

Pisząc *Vatzlawa* Mrozek był mądrzejszy od Gombrowicza o dwa lata doświadczeń z kontestacją młodych i o rewoltę w Paryżu. Justyna, czyli wcielona Sprawiedliwość — której ojciec-Geniusz przykazuje rozbierać się przed ludem — jest wyraźną polemiką z Albertynką z *Operetki*, której młodości i nagości Gombrowicz kazał zatriumfować nad ideologią i strojem. Geniusz obiecuje Justynie, że zostanie królową w państwie sprawiedliwości i wbrew ostrzeżeniom — o kastrowaniu wielbłądów! — udaje się do sąsiedniego kraju, aby zamieszkałemu tam ludowi zanieść dobrą nowinę. Barbarzyńcy zabijają go, mumifikują i malują mu na czerwono policzki. Wcześniej jednak przejmują jego ideologię. Nazywają trupa „świętym ojczulkiem” i niosą go na włóczy na czele zwycięskiego pochodu. W międzyczasie przebiegły *Vatzlav* organizuje *strip-tease* Justynie-Sprawiedliwości i wałąc w bęben zachwala jej ideowe wdzięki. Do czasu nadejścia barbarzyńców interes idzie wybornie.

Mrozek dokonuje tutaj bardzo prostego w gruncie rzeczy zabiegu: konkretyzuje (czyli sprowadza do absurdu) potoczne okre-

slenia typu „naga prawda”, „wcielona sprawiedliwość”. Niegdyś w polemice z Leszkiem Kołakowskim o treść słowa „socjalizm”<sup>7</sup> pisał, iż wyobraża sobie „wolność” jako „tłustą kobietę z trąbą”, a „socjalizm” jako „gipsowego golasa z maczugą”. Wcielona Sprawiedliwość w *Vatzlavie* źle kończy: Justyna zostaje sama z bękartem, spółdzionym zapewne przez jednego z żołądków Barbara.

We wstępie do sztuki Mrozek wyjątkowo oddzielił spis osób od ich charakterystyki. O *Vatzlavie* napisał: „Jego imię sugeruje słowiańskość. Jednakże *Vatzlav* jest przedstawicielem „gorszej” ludzkości w ogóle, ludzkości na dorobku, pełnej pożądań i kompleksów. Jego szczerłość jest raczej dziecinna niż cyniczna. Jego przebiegłość wynika raczej z instynktu samozachowawczego niż ze złej woli. Pod koniec sztuki zdobywa się na bezinteresowną refleksyjność, co świadczy o zdolności rozwoju. Postać złożona”.

Wydaje się, iż były powody — niechęć do psychologizowania jako jeden z głównych — dla których pisarz zadbał o ukierunkowanie wyobraźni czytelnika i reżysera. Poza desperacką gotowością przystosowania się do wszelkich okoliczności nic nie wskazuje na to, że ten Kaliban — od początku obdarzony przez Mrożka miodopłynną mową, pełną wspaniale artykułowanej wściekłości — ten rozbitek niewiadomego pochodzenia, wyrzucony tutaj na ląd, zdobędzie się w końcu na refleksyjność, w dodatku bezinteresowną. Przy końcu sztuki *Vatzlav* działa na zasadzie odruchu podyktowanego zdrowym, głęboko moralnym instynktem. Tym odruchem zdaje się być sam zaskoczony. Prowadzony na śmierć, *Vatzlav* wyrывa się katu, pokazując mu kukielkę pierrotta na sznurku, czyli uwodząc barbarzyńcę sztuką. Spotyka Justynę, która pragnie utopić swoje dziecko, „oddać je rybkom”, jak to wdzięcznie nazywa, nauczona przez ojca-Geniusza, „iż przyroda jest rozumna”. *Vatzlav* zabiera jej dziecko i wchodzi z nim do wody. Jeszcze kusi go szansa przechrztenia Barbara, ale już wie, że nie ma dłań powrotu. „Widzisz drugą stronę? — pyta, zanurzając się w wodę. — Ja też nie. Ale gdybyśmy tam doszli, to może byś wyrósł na coś dobrego. Bo tu w najlepszym wypadku dostaniesz się katu na wychowanie”. I żeby nie zostawiać nas z żadnym złudzeniem, Mrozek każe *Vatzlavowi* odwrócić się do publiczności i — widocznemu już tylko do połowy — powiedzieć: „Wy tu zaczekajcie. Jeżeli nie wrócę, to znaczy, że mi się udało. Wtedy możecie pójść za mną”.

*Vatzlav* toczy się w baśniowo-upiornym, abstrakcyjnym kraju, który jest alegorią historycznych procesów i parodystyczną antologią dowolnie wybranych kawałków ze światowej i polskiej literatury. Gombrowicz także przemyślał swoją mądrość parodiując wielką literaturę. Ale podobnie jak *Tango*, podobnie jak wszystkie sztuki Szekspira i starożytnych Greków (i podobnie jak *Iwona i Ślub*) *Vatzlav* toczy się także na łonie pewnej rodziny. Państwo w którym ląduje tytułowy rozbitek jest rządzone przez parę małżeńską, Nietoperza i Nietoperzową. Choć Nieto-

perz w opisie Mrożka ma przypominać karykaturę kapitalisty — tyle że chudego — jest to państwo feudalne. W każdym razie dopóki *Vatzlav* nie dorobi się pieniędzy na Sprawiedliwości-Justynie i nie zostanie burżujem. Nietoperz żywi się krwią poddanych chłopów, których, jak zwykle u Mrożka dosłownie — wysysa. W rodzinie, szczególnie w obecności przymuszanego do dzieciństwa Józia, nazywa się to chodzeniem „na malinki”. Józio odkrywa tajemnicę ojca i postanawia go zabić. Ale Nietoperza wykańczają wcześniej barbarzyńcy, a Józio wykastrowują, aby „cienko śpiewał”. Najokrutniejsza kara, czyli kara śmieszności, spotyka ślepego Edypa, który snuje się po tym państwie jako „prawo wcielone” i „stróż moralności”. Edyp zostanie... wychędzony przez barbarzyńców, aby się nauczył, „kto górą, a kto spodem”.

Wróćmy jednak na moment do samego początku sztuki. *Vatzlav* ląduje jako rozbitek nie sam, lecz w towarzystwie topielca, własnego sobowtóra, którego jeszcze raz topi. Chce zacząć od nowa, bez świadków swojej niewolniczej przeszłości. Pragnie być wolny, bogaty i szczęśliwy. Czyż nie tak zaczynaliśmy wszyscy? (Niech mi Autor wybaczy, jeśli moja interpretacja za bardzo pachnie Marksem i Freudem; chodzi mi tylko o to, że na *Vatzlava* można także spojrzeć jako na symbol Żyda-Wiecznego Tułacza, Obcego pod każdym niebem i w każdym systemie, i nigdy całkiem bez winy). Topiąc swego sobowtóra *Vatzlav* wyrzeka się własnej tożsamości. I to jest jego grzech pierwszy. W państwie Nietoperza *Vatzlav* kramarzy Sprawiedliwością i oszukuje naiwnych i biednych. To jest jego grzech drugi. Teraz odchodzi w morze, czyli wraca skąd przyszedł. Gdzie wyląduje, nie wiemy, a raczej wiemy zbyt dobrze. W państwie Barbara zostają tylko żołądacy i oglupiali chłopci. Jeden z nich konkluduje — wcale nie tak głupio — że teraz sami się będą wysysać.

Janina KATZ HEWETSON

## Gruntowna biografia Conrada

„Zadaniem krytyki literackiej jest ukazać przedmiot takim jakim on jest sam w sobie”.

(Matthew Arnold)

W swojej książce z dziedziny teorii wartości Zdzisław Najder porównuje sytuację współczesnego aksjologa do człowieka,

\* Zdzisław Najder, *Życie Conrada-Korzeniowskiego*, PIW, Warszawa 1980.

7. „Słowo”, *Kultura* nr 7-8/1971.

„który przypadkowo trafił na trybuny stadionu sportowego i obserwuje zachowanie zawodników uganiających się po boisku za piłką. Panuje wśród nich zamęt; gra jest szybka i zawrotnie skomplikowana; nikt spośród widzów nie potrafi odpowiedzieć na pytanie... jakie są tej gry zasady i czy jakiegokolwiek zasady obowiązują”.

Przypowiastkę o niepojętej, kafkowskiej grze można by przenieść i rozszerzyć na domenę sztuki, nauk humanistycznych i w ogóle współczesnej kultury. Gdziekolwiek się spojrzy, spotykamy beład, przemieszanie tradycyjnych systemów wartości, zafłamanie konwencji, spiętrzenia paradoksów. Kiedy teoretycy literatury obwieszają śmierć autora, podkreślając samoistość tekstu i twierdząc za Heideggerem, że „język sam się mówi”, zwykły czytelnik namiętnie sięga po biografie, listy, pamiętniki i wspomnienia. Co więcej można podejrzewać, że tego rodzaju lektura cieszy się dziś większym powodzeniem niż beletrystyka.

Nie znaczy to jednak, że pisanie biografii jest obecnie sprawą prostą, zwłaszcza dla pisarza tak wyczulonego na problemy metodologiczne jak Najder. Wskazują zresztą na to wyraźnie refleksje zawarte w nocy odautorskiej, która poprzedza *Życie Conrada Korzeniowskiego*.

Na skutek głębokich przemian, jakie zaszły w ciągu ostatnich stu lat w naszej świadomości metafizycznej, historycznej i psychologicznej, zmieniła się koncepcja życia ludzkiego. Skłonność do przedstawiania życiorysu według takich czy innych przesłanek normatywnych zaczęła ustępować podejściu coraz bardziej opisowemu. Pociąga to za sobą niebezpieczeństwo zatraty hierarchii w traktowaniu materiału, tak że o upodobaniach kulinarnych mówi się z tą samą naukową powagą co o światopoglądzie. Wprawdzie ścisłe przestrzeganie metod analityczno-opisowych chroni biografę od czczej idolatrii, może jednak przyczynić się do zbanalizowania opisywanej postaci przez uwydatnienie cech i elementów powszechnych. W rezultacie człowiek, którym się interesujemy, ponieważ był niezwykły, jest przedstawiony przede wszystkim w kategoriach przeciętności. Inne podejście, które w efekcie degraduje bohatera biografii, to metoda psychoanalityczna; zakładając bowiem wyższy stopień świadomości u analityka, *eo ipso* traktuje obiekt analizy z góry. Toteż podważając, względnie wychodząc poza tradycyjne konwencje i kanony, współczesny biograf musi dążyć do wypracowania w sposób całkiem świadomy własnych wzorców i struktur dyskursywnych.

U podłoża podejścia Najdera zarówno w tej książce jak i w pracy o wartościach i ocenach leży swoisty pragmatyzm. Całym przedsięwzięciem kieruje jasno sformułowany i określony cel. We wstępie do książki Najder pisze: „Jej projekt zrodził się z konkretnej potrzeby, nie z osobistych zainteresowań czy skłonności, które — muszę uczciwie wyznać — są od biografistyki dość odległe. Istniało zapotrzebowanie na biografię możliwie szeroko omawiającą polskie składniki życia Conrada, zrywającą z tradycyjnym przyjmowaniem jego wspomnień i tekstów

autobiograficznych za odzwierciedlenie rzeczywistych wydarzeń w jego życiu, a także analizującą jego poglądy filozoficzne, społeczne, polityczne i estetyczne wyrażone poza tekstami powieściowymi — tak aby je można było konfrontować z ich artystycznym ujęciem”.

W odróżnieniu od np. Bernarda Meyera z jego psychoanalitycznym schematem czy też niektórych polskich krytyków, którzy na siłę interpretują każdy aspekt życia i twórczości Conrada *sub specie* polskości. Najder nie ma z góry przyjętej tezy, którą chce udowodnić. Pracuje indukcyjnie, porządkując i przesiewając uważnie dokumentację. Stara się nie tylko, by każde stwierdzenie i wniosek opierały się na materiale dowodowym (o czym świadczą obfite i liczne cytaty oraz skrupulatnie opracowane przypisy), ale bez przerwy poddaje analizie utarte opinie, sprawdza fakty, rewiduje interpretacje. Jest to książka dogłębnie krytyczna, nacechowana naukowym sceptycyzmem i duchem rewizjonistycznym.

Legendy wybujałe wokół okresu marsylskiego Conrada (współpracowali z jego bujną fantazją wspomnieniową Jean-Aubry i panna Jerry Allen) sprowadził na ziemię Jocelyn Baines przeszło dwadzieścia lat temu. Od tego czasu trochę dodatkowych informacji zebrali, szperając w śródziemnomorskich archiwach, inni badacze, zwłaszcza niestrudzony Hans van Marle. Najder raz jeszcze przewertował cały materiał dokumentacyjny, w rezultacie czego otrzymujemy bodajże najpełniejszy, a na pewno najjaśniejszy przedstawiony opis takich dramatycznych momentów młodzieńczej biografii Conrada jak tragiczny romans, epizod szmuglerski oraz próba samobójstwa. Może zdarcie romantycznej aury jakiego dokonuje Najder konfrontując mity Conradowskie z udokumentowaną rzeczywistością rozczaruje niektórych czytelników, innych może nawet oburzy, ale jak słusznie zauważył Jan Józef Szczepański w znakomitej recenzji w *Tygodniku Powszechnym*, przeanalizowanie związków między rzeczywistością nagą a rzeczywistością artystycznie wysublimowaną wiele mówi o wyobraźni, pisarstwie i umyśle Conrada. Fakt, że w zmitologizowanej wersji przeżyć marsylskich „polityczna konspiracja zastąpiła przymet, a pojedynek o kobietę zajął miejsce próby samobójstwa z powodu długów” jest, jak wnikliwie stwierdza Szczepański, „faktem światopoglądowym”.

Innym szczególnie wartościowym wkładem Najdera (jest on zresztą w tej dziedzinie od dawna uznanym autorytetem) jest szerokie, szczegółowe i trzeźwe prześledzenie polskich związków Conrada: zaplecza rodzinnego i kulturowego, kontaktów po wyjeździe za granicę, działalności polityczno-publicystycznej podczas i tuż po pierwszej wojnie światowej oraz uczuciowych powikłań wynikających z pochodzenia i tradycji patriotycznej, której był spadkobiercą. Reagując na skłonność polskiej krytyki do przesadzania wpływu spraw polskich na życie i twórczość Conrada, może tu i ówdzie Najder jest zbyt ostrożny i powściągliwy. Prawda, *Lorda Jima* można czytać bez odniesienia

do ataku Orzeszkowej na Conrada, ale, jak nieraz stwierdziłem omawiając tę powieść z kanadyjskimi studentami, jej problematyka zyskuje nowy wymiar i nabiera swoistej ostrości, gdy ma się w tle ideologiczny klimat i język „Emigracji zdolności”. Mniej jest istotne, czy artykuł Orzeszkowej dotarł do Conrada w trakcie pracy nad *Lordem Jimem* niż to, że chwilami tekst brzmi wręcz jak głos w dyskusji. „Wędrujemy tysiącami po obliczu ziemi” — mówi Marlow w XXI rozdziale — „sławni lub nieznan, zarabiając za oceanem na rozgłos, na bogactwo, lub tylko na suchy chleb; ale zdaje mi się, że dla każdego z nas powrót do kraju musi być jakby zdaniem rachunku. Wracamy, aby stanąć wobec naszych zwierzchników, krewnych, przyjaciół — tych, którym jesteśmy posłuszni i tych, których kochamy; lecz nawet ludzie nie mający ani jednych, ani drugich, zupełnie swobodni, samotni, pozbawieni wszelkich więzów i obowiązków — nawet ci, których nie oczekują kochane twarze i dobrze znane głosy — muszą się spotkać z duchem przenikającym kraj... Mówcie sobie co się wam podoba, lecz jeśli chcemy użyć radości w swym kraju, odetchnąć jego spokojem, spojrzeć w oczy jego prawdzie, musimy wrócić z czystym sumieniem”. Tak nie czuł ani nie pisał żaden Anglik na przełomie XIX i XX wieku. Ale wkraczamy tu na teren krytyki i interpretacji literackiej, których w tej książce Najder z zasady stara się unikać.

Ponieważ jest on bardziej niż którykolwiek z poprzednich biografów świadomy, jak wyjątkowo złożony jest związek między życiem Conrada a jego twórczością, dąży do naświetlenia tego związku przez ściśle ograniczenie głównego wątku książki do strony biograficznej. W odróżnieniu od Bainesa czy Fredericka Karla, Najder redukuje do minimum omawianie samych dzieł Conrada. W rezultacie otrzymujemy tekst bardziej jednolity i spoisty. Aczkolwiek od Bainesa można dowiedzieć się więcej o pisarstwie Conrada, w sumie jego omówienia krytyczne są z konieczności dość ogólnikowe, a materiał biograficzny nieco uboższy i mniej klarownie podany (zwłaszcza w drugiej części książki), niż w biografii Najdera. Najbardziej ambitny i najmniej zdyscyplinowany jest Karl. Przeplata on życiorys Conrada interpretacjami poszczególnych dzieł oraz próbą umiejscowienia twórczości Conrada w kontekście modernizmu. Jest to bogata lecz chaotyczna i w praktyce nieczytelna książka.

Najder stara się oddzielić życie od literatury nie tylko przez skoncentrowanie się na wątku biograficznym, ale i przez próbę radykalnej rekonstrukcji życiorysu Conrada, która polega na rewidowaniu tak stereotypów tradycyjnej conradystyki jak i mitów pochodzących od samego Conrada. *Życie Conrada-Korzeniowskiego* ukazuje zatem jaśniej niż inne biografie, jak Conrad „modelował własną przeszłość”, jak usiłował nadać sens i kształt historii własnego życia, tak niespójnej i pełnej sprzeczności.

Swoją wersję życia pisarza kształtuje Najder na wzór dyskursu historycznego. Przestrzega konsekwentnie chronologii wydarzeń, nie bawiąc się w modne dziś chwytły konstrukcyjne

zapożyczone z techniki powieściowej. *Nota bene* używa ich, zresztą z niezbyt szczęśliwym skutkiem, Karl, a mniej ostentacyjnie Roger Tennant w swojej popularnej biografii. Najderowi zależy bardziej na klarownym przedstawieniu materiału niż na efektach literackich. Głównym tworzywem jego relacji są fakty i wydarzenia, oparte w dużej mierze na dokumentacji listownej. Cytuje względnie odwołuje się do setek nieogłoszonych jeszcze a rozproszonych po całym świecie listów. Oprócz listów samego Conrada, dokumentów dotyczących jego życia zachowało się niewiele. Żył on na uboczu, z dala od środowiska kulturalnego, najpierw prowadząc życie wólcze i marynarza, potem mieszkając na wsi. Z usposobienia dyskretny, nie prowadził dziennika, niszczył notatki i większość otrzymywanej korespondencji. A jego własne listy i wypowiedzi autobiograficzne, pisane zawsze z dużą świadomością odbiorcy i efektu, wymagają bardzo uważnej, a nieraz wręcz ironicznej interpretacji. Stąd nie ma tu mowy (jeśli tak jak Najder nie jest się skorym do domysłów i spekulacji) o uzyskaniu prawdziwie intymnego portretu. Zadbał o to sam Conrad, który oświadczył kiedyś, że ma „organiczną niezdolność” do występowania publicznie w szlafroku i pantoflach. Czyli ogólnie biorąc metoda książki odpowiada inklinacjom jej bohatera. Co jednak jest ciekawsze i bardziej istotne, Najder widzi i ukazuje Conrada przede wszystkim w wymiarze układów międzyludzkich i społecznych, opisując z jednej strony jego stosunek do przyjaciół, rodziny, środowisk z którymi się stykał, kraju pochodzenia, kraju młodości przyciąg, kraju w którym się osiedlił, a z drugiej, poniekąd negatywnej strony — analizując formy sieroctwa, wyobcowania społecznego i kulturowego. Jest to widzenie człowieka w kategoriach bardzo bliskich samemu Conradowi, z jego historyczną i społeczną koncepcją ludzkiej natury, z etyką opartą na zasadach odpowiedzialności, obowiązku i solidarności, z jego charakterystyczną obsesją problemu zdrady i piętnowaniem egoizmu tak indywidualnego jak i zbiorowego. Obok portretu Conrada znajdziemy w książce także liczne sylwetki jego przyjaciół i znajomych: Garnetta, Grahama, Galsworthy'ego, Wellsa, Retingera, Russella i innych, a w tle opisy ważniejszych wydarzeń politycznych, warunków społecznych, życia intelektualnego i praktycznego, słowem kontekst w którym najpierw kształtowała się, a później wyrażała świadomość pisarza.

Najder zbierał materiały i pisał książkę długie lata, i może dlatego oddaje ona w sposób wyjątkowo autentyczny i przekonujący proces ewolucji Conrada — od tragicznego dzieciństwa przez rozwichrzoną młodość, stopniową stabilizację i opanowanie zawodu marynarza, przez początki kariery pisarskiej i lata zmagania się z rzemiosłem, z brakiem popularności, trudnościami finansowymi i zdrowotnymi — po okres wzrastających sukcesów, sławy i artystycznego schyłku. I chociaż Najder ukazuje nam bez retuszu i dokumentuje szczegółowo liczne wady i ułomności Conrada, w sumie ujawnia się postać „wielkiego człowie-

ka serca", który, jak czytamy w posłowniu, „był przekonany, że życie ludzkie może mieć sens — ale sami musimy mu go nadać. Sens ten nie jest skutkiem rozumowego poznania, ale wyrazem wiary; nie wynika z żadnej kalkulacji, ale z wysiłku woli. Treści tej wiary i kierunek wysiłku nie są u Conrada pozostawione indywidualnemu i dowolnemu wyborowi. Mają jednoznacznie określone odniesienie: odwołują się do zasady wierności. Jest to wierność ludzkiej wspólnocie, wierność moralnemu dorobkowi ludzkości”.

Najder, który bardziej wierzy w możliwości rozumowego poznania niż Conrad, w ostatecznym rozrachunku nadaje jego życiu i osobowości sens niewiele różniący się od mglistego ideału, do którego dążył sam Conrad. Czyż realista Marlow nie wystąpił, aby dać świadectwo nieugiętej wierności romantyka Jima?

*Życie Conrada-Korzeniowskiego* to nie tylko obszerna, starannie opracowana i czysto napisana relacja z życia Conrada, ale i krytyczne podsumowanie aktualnej wiedzy o tym życiu. Z chwilą ukazania się jej po angielsku książka Najdera z pewnością zajmie w conradowskiej biografistyce miejsce podobne do tego, jakie niedawno zajęła w dziedzinie krytyki praca Iana Watta.

Andrzej BUSZA

## Następstwo pokoleń

*Nie, nigdy (...)  
(...) nie byłem tak pewny  
zapachu mokrych trawa, okrzyków, ech  
I tej wziętej pod szorstkim dębem obietnicy:  
Nieskończonego następstwa pokoleń.*

Czesław Miłosz

Na okładce krajowego wydania pierwszej amerykańskiej książki Wojciecha Karpińskiego, „W Central Parku” (Klin 1980) figuruje uroczy rysunek Steinberga: na pierwszym planie nowojorska 9th Avenue, dalej dziesiąta, Hudson River, wyżej gdzieś niegdzie góry Nebraski czy Colorado jak czarne kamyczki, Los Angeles, wreszcie Pacyfik, a za nim na horyzoncie Chiny, Syberia. Gdyby Steinberg miał zaprojektować okładkę dla „Amerykańskich cieni\*”, nowej książki swego młodego polskiego admiratora, przedłużyłby perspektywę aż do Polski, zwiększając zwierciadlanie jej skalę od połowy rysunku, tak że starym drapaczom

\* „Biblioteka Kultury”, Instytut Literacki, Paryż 1983, str. 132.

chmur dziewiętej Avenue odpowiadałyby u szczytu odbudowane pałace Krakowskiego Przedmieścia.

W 1978 roku mógł się Wojtek Karpiński oderwać od Polski i zakosztować w Stanach, jak pisał wówczas, „poczucia niedostępnej, błogosławionej prywatności”. Zawdzięczamy temu swobodne i mądre eseje o Tocqueville’u, Miłoszu, Nabokowie, Sołżenicynie, Hockneyu, zawarte w tym pierwszym tomie.

Tym razem spędził w Ameryce cztery miesiące — od września do grudnia 1981 — ostatnie strony „Amerykańskich cieni” to 13 grudnia i „wojna przeciw społeczeństwu”. Pierwsze zdania natomiast, zapisane w samolocie Frankfurt - Nowy Jork, to: „Rok odsłonięcia prawdy, polski rok. Trudno myśleć o czymś innym teraz”. Mamy zatem książkę zawieszoną między Polską i Stanami Zjednoczonymi, między nadzieją i troską, dziennik podzielony na przeszło sześćdziesiąt „mini-esejów”.

Od lat zastanawia mnie pozorny paradoks (wspomina o tym Karpiński), że polskie pokolenie powojenne, produkt komunistycznej indoktrynacji, peerelowskich stosunków, liczy tyle jednostek tak intelektualnie chłonnych, o tak rozległej kulturze uniwersalnej (ja i moi rówieśnicy — 17 lat w roku 1939 — byliśmy w porównaniu z nimi, tak mi się przynajmniej dziś wydaje, prowincjonalni i nierozgarnięci). Trudno Wojtkę Karpińskiego uważać za „typowego” przedstawiciela swego pokolenia, ale mamy tu — po raz pierwszy bodaj — precyzyjną analizę postawy i rozwoju spowodowanego wrodzoną alergią do systemu, w którym się wychował. Wypadek może rzadki, ale nie całkownie odosobniony, o czym świadczy pełen mądrej autoironii wiersz Herberta, który mi często chodził po głowie przy tej lekturze:

*To wcale nie wymagało wielkiego charakteru  
nasza odmowa niezgoda i upór  
mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi  
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku.*

Postawa ta wyraża się w zdrowej pogardzie dla uprzywilejowanej warstwy cynicznych czynowników rządzących Peerelem i pozwala na trzeźwą analizę ich motywacji. W samolocie jeszcze notuje Karpiński swoją reakcję na przemówienie Rakowskiego z sierpnia 1981 zwrócone przeciw Solidarności: „Skoncentrowany atak oczywistych kłamstw wprowadził mnie w stan osłupienia. Zobaczyłem wyraźną linię taktyki. Rakowski nikogo nie zamierzał przekonać. Nie, to było zbyt brutalne. Gdy mówił o utracie przez Solidarność społecznego zaufania i o rosnącym zaufaniu do partii, przekazywał taką oto informację: Widzicie, mogę bezkarnie kłamać. Nic się nie zmieniło. Telewizja jest i pozostanie nasza. Władza jest i pozostanie nasza. Za każdą cenę” (podkreślenie moje).

Motto do tego artykułu wziętem z wiersza Miłosza z roku 1959, „Młodzi polscy poeci”, napisanego po przeczytaniu „Almanachu młodych 1958-59” i nagłej rewelacji, że poezji, swobody,



wyobraźni, ciągłości polskiej kultury nie udało się stalinowcom zlikwidować. Po 25 latach książka Karpińskiego szczerze kwituje to, co zawdzięcza on emigracyjnej literaturze: Miłozewi, Gombrowiczowi, Herlingowi, Czapskiemu, *Kulturze*, która mu jest najbliższa, a również — co bodaj w jego krajowym środowisku rzadsze — *Wiadomościom*. Ostatni ich numer czytał z nostalgią w Sterling Library w New Haven, wyrażając nadzieję że „wejdą teraz do polskiego obiegu umysłowego” szkice Stanisława Mackiewicz, „Dziennik” Tyrmanda, „Puszka Pandory” Pragiera, szkice Kajetana Morawskiego...

Zacząłem od „polskich cieni”, w sytuacji tak przenikliwie przez autora ocenionej przesłaniającego mu nieraz Amerykę. Ale Karpiński reaguje przeciw niebezpieczeństwu *idée fixe*: „Co robić? Bacznie przyglądać się teraźniejszości i wyznaczonej przyszłości. Nie dać się wciągnąć przez wsysający lej. Nie ulegać stadnym instyktom. Nie dać się podzielić. W zespolonym sprzeciwie suwerennych jednostek tkwi źródło ratunku. Sierpień był lekcją zbiorowego działania i lekcją indywidualizmu”.

Ameryka uchwycona jest tym razem w uprzywilejowanym momencie „wizji wtórnej”, jeszcze nowa, a już wibrująca wspomnieniami poprzednich pobytów: „Szukam tu ważnych dla mnie cieni”, pisze Karpiński. Autochton muzeów i bibliotek, nie ma on nic z mola książkowego, z gombrowiczowskich czytelników z „Trans-Atlantyku”, przeżuwiających „dzieła” na półkach biblioteki Gonzala. Jego wzory to Valéry Larbaud, Edmund Wilson, Jerzy Stempowski, niespieszni przechodnie, erudyci, dla których przeszłość jest kluczem do teraźniejszości, książka osobistym przeżyciem, obraz lekcją wizji codziennej. Poza Józefem Czapskim nie znam chyba nikogo, kto by miał „oko” tak wyrobione i tak *własne*, nic dziwnego, że ich spojrzenia są często odmienne, a zawsze rewelacyjne. Kapitalna „lekcja spojrzenia” Karpińskiego, bliska tak częstej u Nabokowa „fizjologii wzroku”: „Czasem w rozpalony od słońca dzień powietrze we Włoszech drga pod powiekami. Porażonym oczom kolory ukazują się jakby wyblakłe, pokryte wybielającą warstwą. Jak na martwych naturach Morandiego”.

Zaproszony tym razem do Ameryki przez International Center, mógł sobie Karpiński sam ułożyć „menu” swej podróży. Odwiedza Mormonów w Salt Lake City i opisuje ich polowanie na przodków, których należy *ex post* „ochrzcić”, aby im zapewnić zbawienie, stąd szaleńcze genealogie na komputerach, kilometry mikrofilmów w schronach przeciwoatomowych, miliony zmarłych cieni pod kluczem na Elizejskich Polach ze *science-fiction*. A więc *curiosum*, anachronizm tym dziwniejszy, że promieniuje w zamierzchną przeszłość i w końcowy Armageddon. Ale Karpiński zamawia sobie również rejs z patrolem nowojorskich policjantów, „hyperrealistyczną” wizję metropolitańskiego dnia powszedniego. Do najcelniejszych stron książki zaliczam spotkania z ludźmi. Lunch z Miłozsem, kilka dni spędzonych u Mary McCarthy w jej pięknym starym domu w Maine, świetne wize-

runki Brzezińskiego, Normana Podhoretza, Irvinga Kristola („Amerykańskie cienie” są również wiernym przewodnikiem po intelektualnym *establishmentie* Wschodniego Wybrzeża).

Najbliższy jest mi jednak Wojtek Karpiński tym, że jak mało kto dzisiaj zachował zdolność podziwu i przyswajania sobie tego, co podziwia w sposób — powiedziałbym — organiczny. Dlatego tak mnie wzrusza opis spotkania z synem Władimira Nabokowa, który zamieściłbym bez wahania w idealnej antologii „czytelników z urodzenia”. Albo to zdanie napisane najszczerzej „od siebie”, w którym Gombrowicz rozpoznałby skierowany do niego z daleka uśmiech: „Jesteśmy — różni, rozrzućni w czasie, przez przestrzeń rozmaicie formowani — spółką z ograniczoną odpowiedzialnością”.

K. A. JELEŃSKI

## Płatonow

Porewolucyjna literatura rosyjska przypomina zgłiszcza nie tylko tym, że *gros* jej stanowi popiół o ile nie coś gorszego, ale i tym, że od czasu do czasu udaje się z niej wyłowić nie-liczne cenne przedmioty, których jakimś cudem nie strawił ogień. Takim „przedmiotem” jest odkrywane stopniowo dzieło Andrieja Płatonowa (1889-1951), którego poważna krytyka stawia obecnie na jednym poziomie z Bułhakowem, Bablem i Zoszczenką. Płatonow (prawdziwe nazwisko Klimentow) urodził się w rodzinie robotniczej na przedmieściach Woroneża, był przez pewien czas robotnikiem, po rewolucji (a więc „dzięki rewolucji”) ukończył studia inżynierskie, pracował potem jako elektryk i meliorator gruntów, wierzył w młodości w utopiotwórczą moc komunizmu — miał więc wszelkie dane na zostanie „inżynierem dusz ludzkich” w sensie stalinowskim i zrobienie kariery niegorszej od Szołochowa i jemu podobnych. Tymczasem stało się inaczej: niemal od początku zawodowej pracy pisarskiej, którą zaczął w drugiej połowie lat dwudziestych, znalazł się na niebezpiecznym marginesie literatury ledwo-ledwo tolerowanej, wydawanej rzadko i niechętnie, natomiast często i gromko krytykowanej przez literackich politruków. Dlaczego?

Na to pytanie odpowiada obszernie książka Michała Hellera „Andriej Płatonow w poszukiwaniu szczęścia”, wydana niedawno w Paryżu\*. Jest to najszersze, najlepiej udokumentowane i — jak się zdaje — najlepiej napisane studium na temat całej do-

\* Michaił Geller, *Andriej Płatonow w poszukiwaniu szczęścia*, YMCA-Press, Paris 1982, str. 404.

tychczas ujawnionej i opublikowanej twórczości Płatonowa. Płatonow od pewnego czasu wraca w Sowietach do łask, ale, jak zwykle tam bywa, pewne jego utwory nadal są niecenzuralne z różnych, często idiotycznych względów (np. w noweli „Nieśmiertelność”, skądinąd nader „socjalistycznej”, wymieniony jest po nazwisku Kaganowicz, a więc dziś *anatema*) i większość jego prac znana jest tylko z rosyjskich wydań zagranicznych i w tłumaczeniach. Z tych względów nie można pracy Hellera nazwać definitywną, bo nie wiadomo co jeszcze mogą ujawnić pozostałe po Płatonowie rękopisy. Natomiast z pewnością można powiedzieć, że książka ta jest trwałym wkładem w „płatonologię” i historię nowszej literatury rosyjskiej. Z analiz Hellera jasno wynika, że powodem, dla którego Płatonow stał się niechcianym dzieckiem literatury sowieckiej był fakt, iż miał on rzeczywisty talent pisarski w sensie orwellowskim, to znaczy prawdziwe przekonania i uczciwość intelektualną.

W twórczości Płatonowa wyróżnić można trzy dziedziny, których te przekonania dotyczą i które wspólnie — przenikając się wzajemnie w różnym stopniu — kształtują świat jego prozy. Dziedziny te to: utopia, fantasmagoryczność rzeczywistości, poczucie kruchości jednostkowego losu. Nazywam te elementy niezręcznie „dziedzinami”, ponieważ chodzi tu o coś, co dotyczy zarówno treści, a więc wizji pisarskiej, jak i formy, a więc sposobu przekazania tej wizji słowami. Płatonowa w młodości fascynowały idee Nikołaja Fiodorowa, filozofa, stanowiącego rodzaj rosyjskiego Teilharda de Chardin. Fiodorow był mistykiem postępu technicznego: zapowiadał nieograniczony niczym rozwój ludzkich możliwości aż po zdolność wskrzeszania zmarłych w przyszłym, docelowym „punkcie X”. W jego ujęciu technika i wiedza stanowiły narzędzia zbawienia ludzkości w sensie niemal religijnym. Płatonow, człowiek jak się zdaje bardzo wrażliwy a niezbyt szczęśliwy (stałym motywem jego utworów jest sieroctwo i zagrożenie jednostki, a miłość traktuje w nich zawsze jako rodzaj cudu, zbyt niezmiernego by można go dotknąć i „korzystać” zeń) przystąpił do tej utopijnej wiary w przyszłą ludzkość tak jak inni wstępują do Kościoła: z potrzeby jakiegoś schronienia wśród padółu też. Sam zaś „padół” jawił mu się jako swoisty koszmar, złożony zarówno z realiów jak i ich przedłużeń i deformacji, narzucanych przez ludzką fantazję. Płatonow był typowym, choć nieświadomym może kontynuatorem linii mocno zaznaczonej w literaturze rosyjskiej, a wiodącej od Gogola poprzez Biełowa i Andrejewa aż po Zinowiewa dziś: linii groteski, deformacji, odbicia w krzywym zwierciadle czy wręcz maligny.

Francuski sławista Georges Nivat trafnie określił drogę pisarską Płatonowa jako ewolucję „od niemożliwej rewolucji po niekończącą się rewoltę”. W młodości Płatonow utożsamiał swój „fiodorowizm” z komunizmem, pojętym jako droga do realizacji utopii, ale długo nie wytrwał w tym złudzeniu. Przypuszczalnie momentem otrzeźwiającym było doświadczenie kolektywizacji. Świadczy o tym zbiór jego szkiców „Na korzyść” (*Wprok*), któ-

rych okrutny realizm przeczy urzędowemu optymizmowi tytułu. Te obrazy z okresu „likwidacji kułaków jako klasy” dają w tę sprawę taki mniej więcej wgląd, jak „Konarmia” Babla w wojnę 1920 roku: obie rzeczy to *desastros de la guerra* i akcent pada w nich wyraźnie na pierwszy rzeczownik. Utwór *Wprok* został wprawdzie w Rosji opublikowany (w piśmie *Krasnaja Now* w 1931 roku), ale też niezwłocznie został napiętnowany jako „kronika kułacka” i spowodował, że Płatonow popadł w stan niełaski, z którego na dobre nie wyszedł już aż do śmierci. Z tego samego okresu pochodzą dwa inne jego utwory, uznane w Rosji za absolutnie niedrukowalne, natomiast uważane obecnie przez entuzjastów Płatonowa za jedno z jego najlepszych dzieł. Są to powieści zawieszona w pół drogi między fantastyką a alegorią: „Czewengur” i „Wykop” (*Kotłowan*). Tytuł pierwszego utworu jest nazwą osiedla, założonego w odległych, na pół realnych stepach przez „entuzjastycznych idealistów” (komunistów oczywiście), których entuzjazm wyraża się głównie w destrukcji i morderstwach. Ta dziwna powieść, nostalgiczno-ironiczna transpozycja Don Kichota, jest nie tyle satyrą na komunizm, co wyrazem rozczarowania eks-idealisty systemem, który zaapelował do szlachetnych ludzkich uczuć i potrzeb, obiecując ich pełne i rychłe zaspokojenie, a następnie zawiódł wiernych całkowicie. Podobną myśl wyraża też „Wykop”, w którym praca nad fundamentami przyszłego „pałacu socjalizmu” — wyniszczająca i dość wyraźnie zbędna — symbolizuje praktykę komunizmu.

Za arcydzieło Płatonowa uważa się powszechnie jego powieść „Dżan”, napisaną w połowie lat trzydziestych (i bez złudzeń oddaną przez pisarza natychmiast po napisaniu do szuflady). Jest to fantasmagoryczna przypowieść o ginącym z głodu narodzie Dżan, koczującym w infernalnej stonej pustyni Sar-Kamysz gdzieś w Centralnej Azji i przybyłym na ratunek „wysłanniku partii” Czagatajewie. „Partia” jest tu symbolem siły opiekuńczej, a postać Czagatajewa ma w sobie więcej z Mojżesza czy Chrystusa, niż z typowego politruka. Powieść ma klimat podobny do klimatu „Dżumy” Camusa, realia są w niej tylko symbolami, akcja jest alegorią, a „przekaz” książki pobrzmiwa egzystencjalistyczną rezygnacją: uratowany od śmierci naród Dżan po straszliwej wędrówce przez pustynie *nie* dociera do żadnej Ziemi Obiecanej. W momencie, gdy zagłada zmienia się w zwykłą kondycję ludzką, naród rozpada się, a jego członkowie rozpieczętują się na wszystkie strony świata w poszukiwaniu w pojedynkę nieosiągalnego szczęścia.

Osobliwością prozy Płatonowa jest też język, świadomie igrający z komunistyczną nowomową, żargonami różnych środowisk i skrótami mowy potocznej, będący jakby karykaturą i kroniką zarazem żywego języka jego czasu. *Mutatis mutandis* styl ten można porównać ze sposobem pisania Witkacego. Dla czytelników rosyjskich jest to dodatkowa atrakcja, ale niewątpliwie utrudnia ona przekłady. Bardzo rozczarowała mnie przeczytana po francusku przed kilku laty powieść Płatonowa „Młodzieńcze

morze" („La mer de jeunesse", Albin Michel, 1976; tytuł oryginalny *Juwenalnoje morie*), gdyż podnoszone w poślowiu Josifa Brodskiego zalety jej stylu trzeba było brać na słowo.

Można przypuszczać, że Płatonow pozostanie mimo wszystko „pisarzem rusycystów" i to nie tylko ze względu na język. Podejrzewam, że jego pisarstwo uderza jako oryginalne i dużej miary głównie z uwagi na *tło* pozostającej produkcji sowieckiej tamtych lat (a i obecnych również) i że bez znajomości tego tła jego powieści i opowiadania pozostaną trudno przyswajalne. Rosja Sowiecka to rzeczywistość „inny świat", nawet poza Gułagiem, toteż utwory zanadto w nią wtopione (a tak się rzecz ma z Płatonowem, który nigdy w życiu nie był za granicą i nic o zewnętrznym świecie nie wiedział) zawsze będą jakoś chybiać czytelnika z zewnątrz, choćby przez dobór materiału do najszlachetniejszej w swym sensie alegorii. Nic na to nie poradzę, że szlachetny komunista jako symbol obowiązku wobec bliźnich będzie mi się — bez dużego wkładu dobrej woli w każdym razie — wydawał równie nieadekwatny jak „sympatyczny Sturmbannführer" w tej samej roli. Literatura jest językiem, w którym postaci, obrazy i sceny pełnią funkcję słów, czyli nośników znaczeń. Język zaś jest w pełni zrozumiały tylko wówczas, gdy i nadawca i odbiorca używają tych samych słów, o tych samych dla obu stron znaczeniach i asocjacjach.

Nie było winą Płatonowa, że bolszewizm zrobił z jego kraju kawałek Marsa, ale jest to niestety fakt, toteż utwory tego naprawdę utalentowanego pisarza o oryginalnej wizji świata sprawiają na pierwszy rzut oka wrażenie czegoś odległego i nie całkiem zrozumiałego. Zastugą książki Hellera jest więc i to, że przybliży Płatonowa i tłumaczy go potencjalnym czytelnikom dobrej woli.

M. BRONSKI

## Nadesłane nowości wydawnicze

MIKOŁAJCZYK (Stanisław). *Polska zgnana*. Str. 291 i 5 nlb. (Wyd. Wici, Chicago 1981).

KORABIEWICZ (Wacław, dr med.). *Wiara leczy. Rzecz o dziwnych lekach*. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1982).

ZAHORSKI (Witold). *Polak we Włoszech*. Str. 368 + XXIV i 4 nlb. (Wyd. V, Rzym 1983).

MARCINKOWSKI (Karol). *Czar-*

*niecki na sejmie i wódz jesiennozimowej wyprawy na Moskwę 1661/1662*. Str. 204. (Wyd. Wydawnictwa Towarzystwa im. Romana Dmowskiego jako pozycje 22, Filadelfia 1981).

KONECZNY (Feliks). *Prawa dziejowe oraz dodatek Bizantyzm niemiecki*. Str. 377 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwa Towarzystwa im. Romana Dmowskiego jako pozycje 21, Londyn 1982).

CIEPLIŃSKI (Jan). *A History of Polish Ballet 1518-1945*. Str. 82 i 4 nlb. Tłum. i redakcja Anna Ema Lesiecka. (Wyd. Veritas, Londyn 1983).

PASZKIEWICZ (Mieczysław). *Granice Europy. (Notatki podróżne)*. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1982).

*Literatura i folklor. Prace poświęcone IX Międzynarodowemu Kongresowi Sławistów w Kijowie*. W: „Studia z filologii rosyjskiej i słowiańskiej" tom 12. (Wyd. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1982, cena zł 139).

*W kręgu tradycji i współczesności literatur słowiańskich*. W: „Studia z filologii rosyjskiej i słowiańskiej" tom 9. (Wyd. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1982, cena zł 104).

JARCZYŃSKA-BUKOWSKA (Maria). *Etiudy i kaprysy*. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 120).

HENNELOWA (Józefa, wybór, redakcja i wstęp). *Powołanie i przegoda. Rodzice i wychowawcy o sobie*. Str. 273 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 160).

GRABSKA (Stanisława). *Pacierz w Biblii zakorzeniony*. Str. 250 i 6 nlb. (Wyd. Biblioteka „Wigil", Warszawa 1983, cena zł 240).

TABORSKI (Bolesław). *Cudza teźniejszość. Wiersze*. Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983, cena zł 20).

LISTOWSKI (Cezary). *Zawieszeni na drodze. Wiersze*. Str. 14 i 2 nlb. (Wyd. Galeria Poezji i Plastyki, Biała Podlaska).

KRYSTA-TARSKI (T.). *Materiały do historii Wojska Polskiego*. Nr 4, Londyn 1982. (Wyd. nakładem Autora, c/o Polish Institute, Londyn).

*Almanach Polonii 1983*. Str. 372 i 20 nlb. (Wyd. Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną i Interpress, Warszawa).

MICHNIK (Adam). *Penser la Pologne. Morale et politique de la résistance*. Wybór tekstów Z. Erard, wstęp L. Kołakowski, wprowadzenie A. Smolar. Str. 221 i 7 nlb. (Wyd. La Découverte-Maspero w serii „Cahiers libres", Paryż 1983, cena F. 72).

PARIZEAU (Alice). *La charge des sangliers*. Powieść. Str. 384. (Wyd. Pierre Tisseyre, Montreal 1982).

EPSZTEIN (Leon). *La justice sociale dans le Proche-Orient ancien et le peuple de la Bible*. Str. 272 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Cerf, Paryż 1983, cena F. 69,50).

*Le KOR. Du Comité de défense des ouvriers au Comité d'autodéfense sociale. Une opposition démocratique en Pologne*. Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. wspólnie Komitet Koordynacyjny Solidarności we Francji i Alternative. Maj 1983, cena F. 55).

XI *Festival International du Film des Droits de l'Homme*. Strasbourg, 22-29 marca 1983. Katalog. (Wyd. Institut International des Droits de l'Homme).

TARGOWSKI (Andrew). *Red Fascism. Polish Revolution 1980*. Str. 176 i 8 nlb. (Wyd. Brunswick Publ. Co., Lawrenceville Virginia, USA, 1982).

KOLANKIWSKY (Mykola). *Niagara Falls Art Gallery. The Passion of Christ. W. Kurelek Collection*. Str. 86. (Wyd. Niagara Falls Art Gallery, Niagara Falls, Ont., Kanada 1983).

MARUNCHAK (Michael H.). *The Ukrainian Canadians: A History*. Str. 970 i 8 nlb. (Wyd. Ukrainian Academy of Arts and Sciences in Canada, Winnipeg-Ottawa 1982).

BRUS (W.), KENDE (P.), MLYNAR (Z.). „Normalization" processes in Soviet-dominated Central Europe. Hungary, Czechoslovakia, Poland. Str. 45 i 3 nlb. (Wyd. w ramach Research Project „Crises in Soviet-type Systems" pod dyr. Z. Mlynara, 1982).

SAWICKI (Stanisław J.), SAWICKA-BROCKIE (Theresa). *Embattled Poland. A Historical Reflection. Reflections on an Ethnic Journey*. Str. 82. (Wyd. Victoria University Press i New Zealand Institute of International Affairs, 1982, cena NZ \$ 7,50).

PAKULSKI (Jan). *Polish Migrants in Hobart: A Study of Community Formation*. Str. 67. (Wyd. Dept. of Sociology, University of Tasmania, Hobart 1982).

SADYKIEWICZ (Michael). *The Media and Intra-Elite Communication in Poland: The Role of Military Journals Annex*. Str. 12. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica Ca, USA, 1983).

DZIRKALS (Lilita), GUSTAFSON (Thane), ROSS JOHNSON (A.). *The Media and Intra-Elite Communication in the USSR*. Str. 137 i 1 nlb. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, Ca, USA, 1982).

MOŻEJKO (Edward). *On the Edge of Reason: The Writing of Mirosław Krleza*. (Nadbitka z World Literature Today, vol. 57 nr 1, University of Oklahoma, str. 24-30).

HOENSCH (Jörg K.). *Geschichte Polens*. Str. 333 i 1 nlb. (Wyd. Eugen Ulmer, Stuttgart 1983).

WILKIEWICZ (Leszek A.). *Das Diskursmodell von Jürgen Habermas. Ein Beitrag zur Rezeptionsproblematik in der gegenwärtigen pädagogischen Diskussion*. Str. 196 i 2 nlb. (Wyd. Peter Lang, Frankfurt/Main-Bern, 1983).

*Ord and Bild 1/82. W piśmie m.in. ZAREMBA (Maciej): Solidaritets ideologi. Religionen och kampen om människovärdet.* (Sztokholm 1982).

HERBERT (Zbigniew). *Hr. Cogitos hjemkomst*. Wiersze. Na duński przełożyli Janina Katz i Willy Dähnhardt. Ilustr. Jorgen Romer. Str. 95 i 9 nlb. (Wyd. Brondum, Kopenhaga 1983).

*L'Ottavogiorno. Studi e documentazione sui paesi dell'Est*. Nr 2. (Wyd. Fondazione Seveso i edizioni Lavoro, Milan 1982).

ZINOWIEW (Kirił) — FITZLYON. *Rossija nakanunie rewolucji*. Str. 123 i 5 nlb. (Wyd. Overseas Publ., Londyn 1983).

LIMONOW (Eduard). *Dniewnik nieudacznika ili sekretnejaja tie-trad'*. Str. 249 i 5 nlb. (Wyd. Index Publishers, Nowy Jork 1982).

JEŻEWSKI (Leonid). *Katyń 1940*. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Telex 1983, m.w. nie podane).

WOJCENKO (Olha). *Litopys ukrajinskoho zytia w Kanadi*. Tom VI. *Doba dalszych konsolidacyjnych zachodów i demograficznych peresuwiw (dyspersyja 1950-1959)*. Str. 416 i 6 nlb. (Wyd. Kanadyjski Instytut Ukrajńskich studiów przy University of Alberta, Edmonton 1982).

*Ukraiński studentyjski ruch w Polsce SÚSP. Dokumenty*. Str. 32. (Wyd. Sojuz Ukrajńskoho Studenstwa Kanady, 1982, cena \$ 1).

## WSCHÓD — BLOK WSCHODNI

## 1-4-83

Czystka na Uniwersytecie A. Mickiewicza w Poznaniu. Aresztowano Tatiane Pietrowicz (psychologia), Marię Pietrowicz (biologia), Jerzego Rychlewskiego (botanika), Władysławę Paszkiewicz (biologia). Przeprowadzono rewizję w kilku zakładach m.in. w antropologii, morfologii zwierząt i ekologii roślin. Poza tym aresztowania objęły Polską Akademię Nauk, Politechnikę oraz Akademię Rolniczą (Roma Szeffke).

## 23-4-83

Zmarł w Warszawie w wieku 77 lat Jan Szczawiej, poeta i krytyk literacki.

## 26-4-83

W Moskwie podpisano protokół o współpracy gospodarczej i technicznej przy budowie warszawskiego metra. Dotyczy to w szczególności dostaw sowieckich maszyn i materiałów.

## 28-4-83

Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat płk Jan Rzepecki. Był on szefem Biura Informacji i Propagandy KG AK w latach 1940-1944. W 1944 roku został mianowany delegatem Polskich Sił Zbrojnych na Kraj. W okresie powojennym był samodzielnym pracownikiem naukowym Instytutu Historii PAN, jak również czynnym działaczem ZBOWiD-u.

## 3-5-83

„Nieznani sprawcy” napadli wieczorem 3 maja na kościół św. Marcina, punkt pomocy dla ofiar stanu wojennego, i przylegający doń klasztor ss. Franciszkanek na Pivnej. Wyposażeni w pałki milicyjne bojówkarze zniszczyli magazyn nadesłanych z Zachodu leków, zdemolowali pomieszczenia i bestialsko pobili pracujących tam działaczy Prymasowskiego Komitetu Pomocy Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. Pobito m.in. dwie kobiety: Lidę Grajner i Barbarę Sadowską i czterech mężczyzn: Wojciecha Sawickiego, Łukasza Kądziałę, Jacka Sieradzkiego i Włodzimierza Żarneckiego — tych ostatnich odnaleziono pobitych na szosie modlińskiej. ■ Jerzy Urban, rzecznik prasowy gen. Jaruzelskiego, na konferencji prasowej poinformował, że w okresie od 13. 12. 1981 do 31. 3. 1983 zostało aresztowanych 3.048 osób za naruszenie przepisów stanu wojennego. Według danych z 30. 4. br. w zakładach karnych przebywało 215 osób. Ponadto p. Urban poinformował, że w zespołach filmowych zwolniono 3 osoby z funkcji kierowniczych. Są to: kierownik zespołu Andrzej Wajda, kierownik literacki Bolesław Michałek i szef produkcji Barbara Pec-Slesicka. W zespole filmowym „Aneks” zwolniony został ze stanowiska kierownika Grzegorz Królikiewicz.

## 4-5-83

Z okazji 500-letniej rocznicy śmierci błogosławionego Michała Giedroycia w kościele św. Marka w Krakowie odbyło się uroczyste nabożeństwo, które będzie powtarzane przez cały rok — od maja 1984 raz na miesiąc. Rozpoczęto również starania o jego beatyfikację. W kościele św. Marka istnieje tzw. Giedroycianum, gdzie zgromadzone obrazy i pamiątki po Michał Giedroyciu.

P

NOWOŚĆ



**KSIĘGARNIA**  
**POLEMIKA**  
 WYDAWNICTWA POLSKIE  
 I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT  
 POLSKI I EUROPY  
 WSCHODNIEJ  
 ANTYKWARIAT  
 49, RUE GAY LUSSAC  
 75005 PARIS  
 TÉLÉPHONE : 354.25.48

MÉTRO : LUXEMBOURG  
 AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

**12-5-83**

Dziewiętnastoletni Grzegorz Przymek, syn poetki Barbary Sadowskiej, aktywnej działaczki Prymasowskiego Komitetu Pomocy ofiarom stanu wojennego, został zamordowany w jednym z warszawskich komisariatów. Zatrzymany wraz z kolegą na Starym Mieście po wyjściu z kawiarni, skatowany, Grzegorz Przymek zmarł następnego dnia w trakcie operacji nie odzyskawszy przytomności. Lekarze stwierdzili pęknięcie wątroby i uszkodzenie przewodów pokarmowych.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**22-4-83**

Parlament Nowej Szkocji (Kanada) jednogłośnie uchwalił rezolucję „bezapelacyjnie potępiającą reżym wojskowy w Polsce za jego brutalną represję praw obywatelskich i ludzkich, jaskrawe pogwałcenie konwencji międzynarodowych i umów helsińskich i zagrożenie pokojowi i bezpieczeństwu międzynarodowemu”.

**26-4-83**

Ośrodek Studiów Sławistycznych (sekcja polska) przy Instytucie Katolickim w Paryżu zorganizował szereg wykładów, a mianowicie: 19 kwietnia — „Polska XVII wieku — dekadencja państwa” — referował Jean Myciński; 26 kwietnia — „Różnice i podobieństwa w rozwoju Polski i Europy” — ref. Jacek Woźniakowski; 10 maja — „Dwaj królowie, którzy rozczarowali Polskę u schyłku XVII wieku — Michał Korybut Wiśniowiecki i Jan III Sobieski” — ref. Jean Myciński; „Człowiek według Edith Stein i Karola Wojtyły” — ref. Jerzy Kalinowski. ■ 25 kwietnia odbył się w Narodowym Instytucie Studiów Sławistycznych w Paryżu wykład prof. Jacka Woźniakowskiego nt. „Literatura i społeczeństwo polskie od romantyzmu po dzień dzisiejszy”.

**27-4-83**

W „Videotece” paryskiej odbył się pokaz filmu Agnieszki Holland „Gorączka”; pokaz połączony był z dyskusją z udziałem realizatorki. ■ Zmarł w Sydney (Australia) płk Andrzej Racięski, uczestnik kampanii wrześniowej 1939, oficer samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich i II DSK, publicysta i historyk, pierwszy prezes Zjednoczonego Związku Polaków w Victorii. ■ W Londynie odbyło się zebranie sprawozdawcze Funduszu Pomocy Krajowi pod przewodnictwem Prezydenta R.P. Edwarda Raczyńskiego. Fundusz ten powstał w listopadzie 1980 roku przez połączenie Funduszu Pomocy Robotnikom Polskim, Funduszu Pomocy Ofiarom Prześladowań oraz Funduszu Wolności. Do kwietnia 1983 przekazano na różne formy pomocy £ 115.000.

**6-5-83**

Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku obchodził 40-tą rocznicę swego założenia. Na uroczystym bankiecie, wydanym z tej okazji, przemawiał dr Zbigniew Brzeziński mówiąc o stosunkach między Polską a Ameryką.

**11-5-83**

Zmarł w Londynie w wieku 79 lat Wacław Radulski, wybitny teatrolog i reżyser. M.in. był reżyserem w teatrze wojskowym w Drugim Korpusie, a po wojnie kierował teatrem w Radio Wolna Europa.

**13-5-83**

Stowarzyszenie Polskich Komitantów w Paryżu zorganizowało koncert Nataszy Czerwińskiej, która śpiewała pieśni z tekstów Leśmiana, Gałczyńskiego i Herberta.

**14-5-83**

W Londynie odbył się zjazd wychowanków szkół średnich z Massindi, Koi, Tangerangu, Rodezji i USA. Szkoły te istniały w okresie ostatniej wojny.

**24-5-83**

W Newman Association, Oxford Circle Michał Giedroyc wygłosił odczyt „The arrival of christianity in Lithuania”.

**2-6-83**

W Galerie Lambert w Paryżu miał miejsce wernisaż wystawy p. Verène de Hutten.

## SPOTKANIE ZE ZBIGNIEWEM ROMASZEWSKIM

Na początku 1979 roku odwiedził mnie niespodziewanie nieznan mi człowiek. Kiedy wpuściłem go do mieszkania, upewnił się, czy jestem Sacharowem, po czym oznajmił mi, że adres mój dostał od W. i że przyjeżdża z Polski, z Komitetu Obrony Robotników, i chciałby ze mną porozmawiać. Spotkałem się z nim dwukrotnie, po raz drugi następnego dnia. Równocześnie z Romaszewskim przyszła — nie wiem, czy przypadkowo — Tania Wielikanowa. Druga rozmowa toczyła się w jej obecności. Rozmawialiśmy częściowo w pokoju moim i Lusi (Lusia była wtedy niestety za granicą), a częściowo w kuchni przy herbacie. Romaszewski był dość wysoki, szczerpły, starannie ubrany w po europejsku dobrze skrojony garnitur, o energicznej, wyrazistej twarzy. Po rosyjsku mówił niezbyt szybko, ale całkiem niezłe, poprawnie zbudowanymi, jasnymi zdaniami. Interesowały go nasze dysydenckie sprawy, o których był dobrze poinformowany (rzadka to rzecz u cudzoziemców, ale też nie był on dla mnie cudzoziemcem). Ze swej strony krótko ale treściwie zrelacjonował nam sytuację w Polsce, nastroje ludności i cele KOR-u. Twierdził, że robotnicy są na ogół bardzo zdecydowani, często słychać zdania typu: „Teraz, kiedyście do nas przyszli (mowa o inteligencji), razem 'im' (czyli wierchuszcze partyjnej) pokażemy, wywalczymy sprawiedliwość” (czy też porządek, nie pamiętam dokładnie). Korowey wciąż muszą powstrzymywać robotników przed zbyt pochopnymi działaniami i zapobiegać ewentualnym ekscesom. Celem KOR-u jest m.in. zbadanie wydarzeń 70-go roku, działań organów władzy, materialna i prawnicza pomoc robotnikom, którzy padli ofiarą represji. Jednak badanie często napotyka ogromne sprzeciwy. Romaszewski opowiadał o naciskach władz na ofiary milicyjnej samowoli i na świadków, o zastraszaniu i nawet zabójstwach świadków, którzy byli obecni przy katowaniu robotników na śmierć. Zdaniem Romaszewskiego robotnicy polscy odnoszą się do inteligencji z dużym szacunkiem i są z niej dumni. Powiedział też, że rozumie, iż z wielu powodów sytuacja w ZSSR znacznie się różni od polskiej i że cele i możliwości ruchu obrony praw człowieka są u nas siłą rzeczy inne, ale że mają one mimo wszystko wspólny mianownik (a może ja to powiedziałem, a on się zgodził). Romaszewski zaproponował mi napisanie artykułu dla pisma *Kultura*, obiecując, że na pewno zostanie wydrukowany. Powiedziałem, że się zastanowię,

ale niestety w 1979 roku artykułu nie napisałem. Pisanie w ogóle przychodzi mi z trudem, nie wiedziałem też, co miałbym napisać, aby nie powtarzać czytelnikom ogólnie znanych prawd. A potem zmieniły się okoliczności i było mi tym trudniej. Zbigniew Romaszewski bardzo się spodobał i mnie, i Tani Wielikanowej, bo był inteligentny, rozumny, odpowiedzialny i doskonale poinformowany. Dzięki spotkaniu z nim lepiej rozumiem źródła Solidarności.

Wiem (piszę to w październiku 1982 roku), że kilka miesięcy temu Zbigniew Romaszewski został wespół z innymi uczestnikami słynnych wydarzeń lat 80-81 aresztowany i że oczekuje sądu<sup>1</sup>. Moja sympatia i głęboki szacunek są po ich stronie. Życzę im, aby dzielnie znieśli czekający ich los.

Andrzej SACHAROW

1. Zbigniew Romaszewski, oskarżony o współkierowanie radiem Solidarność, skazany został 17 lutego 1983 na 4, i pół roku więzienia.

Przedruk z „Materiały Samizdata” (wydawane przez „Radio Liberty” nr 19/83 z 6 maja 1983.

## KONTAKT

Miesięcznik redagowany przez członków  
i współpracowników NSZZ Solidarność

Adres Redakcji 31, rue Dauphine, 75006 Paris.

Zamówienia kierować na adres:

55, rue Montorgueil, Paris 75002.

Cena egzemplarza F. 28; Roczna prenumerata F. 300;  
półroczna F. 155.

Konto bankowe: Credit Lyonnais, 3, rue de Turbigo,  
75001 Paris, Agence 404, compte N° 5214156

KONTAKT.

## Listy do Redakcji

Nowy Jork, 9 maja 1983.

Szanowny Panie Redaktorze!

W moim artykule, opublikowanym w listopadowym numerze *Kultury* (Nr 11/422) z roku 1982 pt.: „Konflikt na Środkowym Wschodzie trwa”, na str. 53 przypisałem rządowi Begina zamknięcie Uniwersytetu Hebrajskiego jako głównego siedliska „niepodległościowej zarazy”. Oczywiście był to błąd, który w sposób niezrozumiały dla mnie wśliznął się do mojego tekstu. Miałem na myśli uniwersytet arabski, a użyłem nazwy uniwersytet hebrajski. Na błąd ten zwróciło mi uwagę szereg czytelników *Kultury* — a ostatnio Anna Pratt z Birzeit University, West Bank, Izrael. Pomyłkę tę obecnie prostuję i przepraszam czytelników *Kultury* i Redakcję.

Z poważaniem

Zbigniew BYRSKI

Bruksela, 6 maja 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ogłoszona w kwietniowej *Kulturze* notatka p. Chileckiego o dwóch spotkaniach Seweryna Blumsztajna ze słuchaczami na terenie RFN kończy się zdaniem: „Warto zapytać czołówkę Solidarności w Brukseli, czy akceptuje ona wyłącznie kontakty z lewackim marginesem życia politycznego w krajach zachodnich?”. Pozostawię bez komentarza ton tego pytania, raczej zniechęcający do udzielania odpowiedzi. Czytelnikom rzeczywiście zainteresowanym zasadami działania Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” Za Granicą wyjaśniam, co następuje:

Biuro jest akredytowane przy Światowej Konfederacji Pracy i Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych, nadto zaś utrzymuje kontakty ze wszystkimi centralami związkowymi, które uznają NSZZ „Solidarność” i udzielają mu pomocy. Orientacje tych central są bardzo różne, niekiedy nawet przeciwstawne. Tak np. we Francji Biuro współpracuje ze wszystkimi związkami zawodowymi z wyjątkiem komunistycznej CGT. Będąc ekspozyturą zagraniczną związku zawodowego, Biuro nie współpracuje natomiast z partiami i organizacjami politycznymi bez względu na to, czy są „prawicowe” czy „lewicowe”.

Nie wyklucza to udziału członków Biura czy przebywających za granicą działaczy „Solidarności” w zebraniach partii i ugrupowań politycznych, o ile są poświęcone sprawom polskim. Ich rolą tam jest informowanie o sytuacji i przedstawianie stanowiska naszego Związku, co bynajmniej nie jest tożsame z aprobatą dla poglądów głoszonych przez organizatorów czy uczestników tych spotkań. Jest rzeczą oczywistą, że zależy nam nie tyle na prezentacji stanowiska NSZZ „Solidarność” osobom już zjednanym dla naszej sprawy, ile na przekonywaniu tych, których dopiero trzeba przekonać. W tym punkcie różnimy się zapewne z p. Chileckim.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Jerzy MILEWSKI  
Kierownik Biura

Johannesburg 26 kwietnia 1983.

### LIST OTWARTY DO PANA J. MILEWSKIEGO

Prasa miejscowa opublikowała w dniu wczorajszym relację z za północnej granicy, zatytułowaną „Solidarność przeciwko emigracji Polaków do Południowej Afryki”. Z kompletnym zdumieniem stwierdziliśmy, że tym razem w roli krytyka tego kraju wystąpił nasz rodak i to nie zmuszony do tego bezpośrednio przez Moskwę.

Tajemnicą poliszynela jest fakt, że „wyzwolenie” Południowej Afryki jest jednym z priorytetów imperium spod znaku sierpa i młota. Czy rzeczywiście cele te są zbieżne z prawdziwymi interesami „Solidarności” i narodu polskiego? Jakże naiwni jesteśmy, oczekując w Panu potencjalnego sojusznika w walce z ostatnim zaborcą! O ile nietrudno zgodzić się, że wielu działaczy Związkowej Międzynarodówki przemycia polecenia z Kremla, fakt ten jest zastanawiający u człowieka, który z racji swojej funkcji powinien godnie i właściwie reprezentować interesy uwieczonych działaczy „Solidarności”.

Sprawa ostatniej emigracji Polaków do Południowej Afryki posiada dość długą historię, ponieważ znaczna ich większość przybyła tutaj przed niespełna dwoma laty. Po usilnych staraniach naszej organizacji rząd miejscowy zgodził się (nie po raz pierwszy) pomóc Polakom na zasadach humanitarnych. Pierwsza polska emigracja, dzieci polskich, datuje się z 1943 roku, przez Bliski Wschód, z „wycieczki krajoznawczej” po łąkach Syberii, o której Pan na pewno nie słyszał. Nieznany Panu jest również fakt samobójczej pomocy niesionej naszemu narodowi przez miejscowych pilotów w dniach Powstania Warszawskiego. Johannesburg jest też jedynym miejscem na świecie, gdzie Pomnik Katyński stoi w miejscu publicznym.

Wypowiedzi Pana są zbieżne z ulotką napisaną pod agendą tzw. „Komisji do Spraw Pokoju i Sprawiedliwości” przy Konferencji Biskupów Południowo-Afrykańskich. Ulotka ta, kursująca po świecie, jest bardzo krępująca dla miejscowego episkopatu z uwagi na swoje kłamstwa oraz prokomunistyczne zabarwienie. Punktem ataku jest nieprawdziwe stwierdzenie, że Polacy odbierają pracę Czarnym, które byłoby uzasadnione, gdyby polscy robotnicy emigrowali do tego kraju. W praktyce to się nie zdarza z uwagi na protesty miejscowych związków zawodowych oraz kierowane tym kryteria doboru, które stawiają na ludzi o wysokich kwalifikacjach. W wyniku tej selekcji poprzez pracę Polaków tworzy się wiele dodatkowych miejsc pracy, głównie dla czarnego robotnika. Może to brzmieć zabawnie, ale Polacy cieszą się serdecznością i szacunkiem wśród miejscowych Czarnych.

Jakie posiada Pan prawo moralne, aby decydować o losie Rodaka, który wyjechał z kraju po to, aby za niego nie decydowano? Czyż nie jest zaprzeczeniem praw człowieka uniemożliwianie rodakom pracy w wyuczonym zawodzie, w miejscu przez siebie wybranym? Ubolewamy, że jadąc do dalekiej Afryki nie zadał Pan sobie trudu skontaktowania się z organizacjami polskimi na tym terenie, aby zapoznać się z ich punktem widzenia.

Akcja pomocy narodowi polskiemu, a obecnie „Solidarności”, ma ustalone tradycje w miejscowym społeczeństwie. Pana wypowiedzi powodują poważne zakłopotanie ludzi, którzy te akcje prowadzą i z całą pewnością odbijają się ujemnie na ogólnej pomocy dla Polski. Czy rzeczywiście jest to potrzebne, żeby mieszać się w sprawy nie związane z potrzebami i aspiracjami Polaków powodować dodatkowe rozbięcie oraz niechęć do „Solidarności”?

Swoje oświadczenie wypowiedział Pan w Zimbabwie, państwie, które znajduje się na równi pochyłej w drodze do przekształcenia zachodniej de-

mokracji parlamentarnej w kraj wzorowany na modelu kremlońskim, gdzie klika rządząca, na podobnych zasadach jak reżym warszawski, przemocą odbiera prawa i aspiracje mieszkańców ziemi Matabele. Z pewnością można by się spodziewać trochę więcej dyplomacji i znajomości rzeczy po człowieku, który przedstawia się jako doradca Lecha Wałęsy. Czy nie lepiej byłoby zająć się bardziej efektywną pracą dla dobra Narodu i „Solidarności” zamiast stawać po stronie zaborców w rozgrywce o Południową Afrykę?

Zacznijmy walczyć o wolność naszą przede wszystkim!

Za Radę Polonii Afryka-Południe  
Edward de VIRION  
Prezes

Dostaliśmy z Afryki Południowej szereg listów od zamieszkałych tam Polaków (w tym z najnowszej emigracji), ostro protestujących przeciwko wypowiedziom p. Milewskiego w Zimbabwie.

Monachium, 5 maja 1983.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Jak słusznie wytyka mi p. Stefania Kossowska (list w nr. 9/420 *Kultury*) uśmiercenie Jana Badeniego! Że podobna wpadka, odnośnie innej osoby, zdarzyć się mogła *Wiadomościom* (por. nr 1421), w niczym nie umniejsza ogromu mego błędu; fakt, że dotknął znanego mecenasa literatury potęguje jego wymowę.

Mogłem oczywiście uniknąć tej przykrości, gdybym się powołał w nr. 4/415 *Kultury* na p. Barbarę Szubską i dziś już nieżyjącego Alfonsa Jacewicza; jako że im właśnie, inicjatorom Koła Przyjaciół Twórczości Józefa Mackiewicza, należało przypisać przysłowiowe *dimidium facti*.

Ale stało się, naprawić tego nie podołam, o wybaczenie proszę głupio. Zwykła przyzwoitość woła jednak o znak, symbol bodaj zadośćuczynienia. Więc za pośrednictwem Redakcji *Kultury* zwracam się do p. Jana Badeniego, by był uprzejmy przystać na taką propozycję: zobowiązuję się przekazać 150 funtów sterlingów lub równowartość w dowolnej walucie, jako skromne wyróżnienie za twórczość, osobie, którą zechce wskazać.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Kazimierz ZAMORSKI

Stanford, California, 2 maja 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

W zbiorze „Polska 'Solidarności'” (Biblioteka *Kultury*, tom 366) błędnie przypisano mi współautorstwo reportażu pt.: „Z tamtej strony bramy” (rozdział 2, „Narodziny 'Solidarności'”). Miło by mieć swój udział w tak interesującej publikacji, ale fakty są bezlitosne; wymieniony reportaż został w rzeczywistości napisany tylko przez p. Stefana Kozickiego. Za pomyłkę tę nie sposób winić jednak autorki wyboru, pani Grażyny Pomian, ponieważ ówczesna kolumna warszawskiej „Kultury” z reportażami ze strajków gdańskich została — celowo — tak rozplanowana przez redakcję, aby trudno było połapać się w autorstwie poszczególnych tekstów. Było to więc celowe zaciemnienie. Muszę tu dodać, że doszło do niego na skutek moich protes-

tów z powodu drastycznego okrojania mojego reportażu, chociaż nie o takie rozwiązanie rzecz jasna mi chodziło.

Skąd ten łamaniec? Incydent na pewno drobny, ale charakterystyczny dla ówczesnych nastrojów i kombinacji prasy oficjalnej, więc pozwolę sobie krótko opisać.

W ciągu pierwszych dni po podpisaniu znanych porozumień naczelni nie bardzo wiedzieli, czy wolno im drukować relacje swoich reporterów ze stoczni. „Kultura” nie była tu wyjątkiem; przynajmniej siedmiu (jeżeli o kimś nie zapominałem) jej reporterów było na Wybrzeżu w trakcie strajków, z czego aż pięciu — wliczając niżej podpisanego — znajdowało się tam „nielegalnie”, tj. na własną rękę, bez błogosławieństwa redakcji lub nawet, jak Michał Monko, wbrew jej kategorycznym zakazom. Po ogłoszeniu „Porozumienia Społecznego” nie było już co prawda mowy o wywaleniu nas z pracy (a takie pogrożki wcześniej docierały z wydziału prasy KC), ale też nikt nie kwapił się z drukowaniem naszych pośpiesznie pisanych reportaży. Z perspektywy stolicy zmiany personalne nadal wydawały się podstawowym elementem sytuacji, i naczelstwo czekało czy Gierek utrzyma się, czy też padnie. „Jeżeli padnie, to może... coś... będziemy drukować”. Na nasze nalegania, że Gierek już nieważny, że rozszady w biurze i w partii nieważne, że trzeba drukować, bo inaczej pismo też się stanie nieważne — reagowano wrzuszaniem ramion: naiwniaki, nie wiedzą o co idzie GRA. I tak sobie grali w pierwsze dni września 1980, aż do piątku, kiedy nadszedł ostatni termin wysyłania materiałów do drukarni. A w piątek rano nagle krzyk, gwałt, awantura: natychmiast dawać teksty z Wybrzeża! Coś się przejaśniło: aha, mamy odnowę.

Ale w ramach teźje odnowy my, dziennikarze (przede wszystkim reporterzy) mieliśmy już swoje warunki: nie będzie żadnych „poprawek” cenzury. Albo idzie wszystko, albo nic. Spanikowane kierownictwo przyrzekło wszystko, mimo to ryzyko „ingerencji” było ogromne. Michał Monko w ostatniej chwili zabrał swój tekst, Kozicki i ja postanowiliśmy spróbować. Tekst Kozickiego opublikowano, o ile się nie mylę, bez okaleczeń. Mój nie ukazał się, z wyjątkiem drobnego fragmentu. I o ten fragment właśnie poszło.

Otóż mój reportaż, prawie w całości poświęcony opisowi wypadków wewnątrz Stoczni Lenina i Komuny Paryskiej, zawierał też niewielki fragment z wypowiedziami, dwóch badajże, partyjnych dygnitarzy z komitetu wojewódzkiego w Gdańsku. (Wydawało mi się rzeczą ciekawą, jak partia rządząca reaguje na taki, bądź co bądź, ogromny cios, i — po raz pierwszy w 7-letniej karierze dziennikarskiej — „skierowałem swe kroki do Komitetu”). Łatwo sobie więc wyobrazić jakie uczucia mnie ogarnęły, kiedy na świeżo przysłanych z drukarni szczerkach zobaczyłem... tylko ten fragment. Reszta znikła. Potem nastąpiła pewna ilość dramatycznych gestów i ultimatów. Usłyszałem, że i mój i Kozickiego reportaż są bardzo podobne, że się powtarzają, że wobec tego drukuje się jeden. Że fragment wycięty z mojego, wydrukowany obok tamtego, funkcjonuje dokładnie w takim samym kontekście o jaki mi chodziło, i że w zasadzie oba te teksty stanowią jedność. Obstawałem przy swoim: zdejmować tego obrzyna natychmiast! Tyle, że w piątek po południu było już za późno na taką operację. Jedyne co zrobiono, to przeniesiono nasze oba nazwiska na górę kolumny, aby umocnić wrażenie, że teksty są nierozłączne.

Trudno powiedzieć, abym był zachwycony takim rozwiązaniem, ale trudno było o lepsze. Sądzę zresztą, że nie mieliśmy do czynienia ze świadomą złą wolą; teksty były rzeczywiście podobne, chociaż różniła je stylistyka i długość. Planując co wejście a co nie, sekretariat „komponował numer”, jak czynił przez wiele lat przedtem, a partia dotąd stanowiła zawsze istotny element tej kompozycji. Odruchowo ją więc wyjęli nie wiedząc, że zaczynają się czasy, kiedy rzeczywistość „komponuje” gazety, a nie odwrotnie.

Oczywiście nikt nie pofatygował się żeby zawiadomić Kozickiego o całej kombinacji, więc rozłościł się ogromnie i rąbnął sprostowanie do następnego numeru. Sam bym zrobił to samo na jego miejscu. Wiedziałem, że pozwoliłem się wymanewrować i chodziłem jak struty przez kilka dni. Potem szybko zapomniałem; tyle ważniejszych rzeczy działa się dokoła.

I nie pamiętałbym o całym incydencie, gdyby nie wybór pani Pomian. Nie jestem pewien, czy Pan Redaktor uzna za stosowne opublikować to sprostowanie, podobnie jak nie wiem, czy Stefan Kozicki przyjmie z zadowoleniem ujawnienie faktu, że jest wyłącznym autorem tekstu przedrukowanego przez „dywersyjną instytucję”. Wydaje mi się jednak, że sprostowanie jest moim obowiązkiem. Takie były bowiem, pełne rozgorączkowania i nieoczekiwanych „wpadek” początki naszej przygody z wolnością. Przygody, która Stefana Kozickiego doprowadziła do „Przeglądu Tygodniowego” a mnie na emigrację.

Z poważaniem,

Mariusz ZIOMECKI

Meadville, USA, 14 kwietnia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Piszę do Pana, aby wyrazić uznanie p. J. P. Horzelskiemu za jego ciekawy artykuł pt. „Przygodne notatki o słowach” (*Kultura* nr 1-2/1983) a także, by wziąć go w obronę przed takiego rodzaju krytyką, z jaką wystąpił p. Adam Zieliński (*Kultura* nr 3/1983). Artykuł p. Horzelskiego, mimo swojego skromnego tytułu, jest cenną rozprawką, która wykazuje jego znajomość literatury fachowej i wysuwa bardzo przekonującą, moim zdaniem, hipotezę pochodzenia słowa „kobieta” w języku polskim.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego p. Zieliński twierdzi, że p. Horzelski nie wyjaśnił pochodzenia tego słowa. Chyba dlatego tak myśli, bo mu się wydaje, że dla niego wszystko w tej sprawie jest „proste i oczywiste”: wyraz „kobieta” pochodzi z łaciny, w której istnieje słowo *cubo*, *cubui*, *cubitum* w znaczeniu leżeć w łóżku, spoczywać. *Mulier cubita* to kobieta leżąca w łóżku w przeciwieństwie do *virgo intacta*, która jeszcze nie „leżała”.

Mógłbym przeciwko tej prostej teorii przytoczyć zdanie największego autorytetu polskiej etymologii, Aleksandra Brücknera, który pisze m.in., że: „żacy łwowscy od *cubare*, *accubitus* (łac. leżeć) słowo to wywodzili, ale to żart”. Ponieważ jednak p. Zieliński wydaje się wierzyć głęboko w to, co pisze, wolę nie ograniczać się do tej cytaty, choć wykazuje ona dobrze zdradliwość pośpieszonych wniosków etymologicznych, nawet takich, co są oparte na „seksuologii”.

Według Brücknera wyraz „kobieta” pojawił się w języku polskim pomiędzy rokiem 1500 a 1700. Występuje on niemal wyłącznie w literaturze sowizdrzańskiej, dopiero od początków wieku XVIII zaczyna wypierać dawniejszy polski synonim „niewiasta”. Brückner zwraca uwagę, że początkowo znaczenie wyrazu było „obelżywe” i sugeruje, że zapewne pochodzi on od „koby” (kobyły) albo od „kobu” (chlewu), bo chów świń należał do obowiązków gospodyni. Nie wyjaśnia, czy obelżywość tego słowa była związana z tym pochodzeniem, bo właściwie nie jest go pewien.

P. Horzelski słusznie zacieśnia czas pojawienia się wyrazu do wieku XVI i niemniej słusznie krytykuje wywody Brücknera na temat jego pochodzenia. Zwraca też uwagę, że Marcin Bielski, na którego Brückner się powołuje, określając ten wyraz jako „zelżywy”, miał na myśli raczej jego pierwotne znaczenie — „lekceważące”, nie obelżywe, jakbyśmy rozumieli to dzisiaj. Pojawienie się wyrazu w literaturze sowizdrzańskiej i jego akceptacja w życiu i literaturze świadczą o tym samym, tj. o jego raczej „swawol-



nym" niż obraźliwym lub nieprzyzwoitym znaczeniu. Wszystko to plus ciekawa etymologia tokańsko-włoska, którą p. Horzelski hipotezę swoją popiera, czynią ją bardzo prawdopodobną.

Najważniejszym argumentem jednak przeciwko naiwnemu wyprowadzeniu słowa kobieta od łacińskiego „leżec” jest fakt, że zjawiska językowe nie mogą być traktowane w próżni, tylko muszą być umieszczone w czasie i w odniesieniu do ich kulturowego podłoża. Ani w języku staropolskim, ani w starosłowiańskim, ani w innych językach słowiańskich nie ma, jak p. Horzelski zaznacza, śladów tego słowa. Polski wyraz żona, pierwotnie żena (stąd żeński, żenić się, nowożeńiec, ożenek itd.) też pierwotnie znaczył kobietę. W innych językach słowiańskich do dziś te dwa wyrazy są sobie pokrewne (języki rosyjski, ukraiński, białoruski) lub oba pojęcia są określane identycznie (języki czeski lub serbski). Sam wyraz żona-żena i pochodne wywodzą się z pnia indoeuropejskiego *gen* (greckie *gyne* — żona, łacińskie *genus* — rodzaj itd.), ma związek z rodzeniem, nie ze stosunkiem płciowym. Można to znaleźć u Brücknera, ale także u etymologów słowiańskich i angielskich.

Skoro słowo kobieta pojawia się w wieku XVI, czy można sobie wyobrazić, by pożyczone zostało z łaciny w celu określenia różnicy między kobietą, co już „leży”, a tą, co jeszcze „nie leży”? Łacina, jak wiadomo, nie może być uważana za żaden „pra-język”. Mamy w naszym języku wiele i pięknych pożyczek z łaciny, ale nie trzeba zapominać, że my Polacy mamy swój, nie geśi, język i mieliśmy go od dawna, na długo przed jakimikolwiek wpływami łaciny. Zresztą żaden język na świecie, jak uczy nas etnologia, nie potrzebuje zapożyczać z innych języków słów na oznaczenie takich pierwotnych pojęć jak płeć, wiek, rodzina, pokrewieństwo, części ciała itp.

Chociaż p. Zieliński, chcąc uprawdopodobnić wywód, mówi o „kubicie”, jakby to była jakaś forma równorzędna wyrazowi, o który chodzi, nie to jego argumentacji nie pomoże. Gdyby nawet ktoś upierał się, że Polacy brali z łaciny wszystko, co tylko mogli (na co nie ma żadnych dowodów), skąd i przez kogo taka pożyczka trafiłaby do literatury i w jaki sposób nabrałaby charakteru „swawolnego”? Nie, pod tym względem stary Brückner ma niewątpliwie rację — to nie żadna teoria, to żart!

Inna rzecz, że i jego własne, czysto fonetyczne łączenie słowa kobieta z „kobem” jest nie tylko historycznie niemożliwe, jak p. Horzelski słusznie podnosi, ale także i kulturalnie bardzo wątpliwe: dlaczego by starożytny polski synonim chlewu miała przypomnieć i połączyć z kobietą literatura polska wieku XVI, dworska i „scholarska” raczej, niż ludowa? Nie mówię tu już o kobyle, którą Brückner także wymienia, ale której związku z kobietą nawet nie próbuje udowodnić, jako że co chlew, to nie stajnia.

Muszę dodać wreszcie, że nazwanie przez p. Horzelskiego Zygmunta Starogo „Wazą”, jest zwykłym *lapsus calami*, który w żadnej mierze nie osłabia kompetentnych i ciekawie napisanych historyczno-kulturalnych i etymologicznych wywodów.

Konstanty SYMONOLEWICZ-SYMONS  
Profesor Emeritus socjologii i etnologii

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

Jan Rozłucki, Szwecja. — Nie zamieścimy. Pana list jest niepočitany, bo trudno inaczej określić koncepcję zrobienia z Polski Afganistanu.  
K.F., Chicago (USA). — Nie zamieścimy. Pana rozumowanie opiera się na mylnym interpretowaniu faktów, no i na demagogii. W jednym

tylko ma Pan rację: niewątpliwie brak poważnych opracowań dotyczących kardynałów Hlonda i Sapięhy.

M.T.K., L'Hay-les-Roses (Francja). — Nie zamieścimy. Replika na felieton Jacka Bierezina jest nieprzekonywująca, a w każdym razie świadczy o braku zrozumienia satyry i poczucia humoru.

K.St., Ottawa. — List Pana przekazaliśmy Zbigniewowi Byrskiemu.

B.J., Krankenhaus (Australja). — List Pana przekazaliśmy Z. S. Siemaszko.  
J.P., Rzym. — Polemika Pana z Andrzejem Chileckim jest nieprzekonywująca. Jest zupełnie zrozumiałe, że w walce o sprawę polską na Zachodzie trzeba mieć kontakty ze wszystkimi ugrupowaniami, niezależnie od ich poglądów politycznych. Uważamy jednak za szkodliwe zbyt wiązanie się ze skrajnymi ruchami lewackimi i pacyfistycznymi.

## SPROSTOWANIE

Od pewnego czasu przysłowiowy chochlik drukarski zadomowił się w rubryce *Kronika niemiecka*. Nie będę wyszczególniał drobnych i nieistotnych jego wybrków. Zatrzymam się tylko na dwóch: pisząc o odznaczeniu w warszawskiej ambasadzie NRD reżymowych propagandystów — Daniela Lulińskiego i Tadeusza Derlatki (*Kultura* nr 3/1983) — cytowałem *Trybunę Ludu*: za „wybitne osiągnięcia na polu rozwijania i pogłębiania stosunków między PRL i NRD”. Złośliwy chochlik zamienił „NRD” na „RFN”... Stąd ironiczny list p. Wojciecha Krzyżanowskiego ze Lwiej Góry (czy to jakaś polska osada koło Stuttgartu?), zamieszczony w *Kulturze* nr 5/1983.

W tymże numerze spekulowałem (zresztą za *Der Spiegel*), że nowym ambasadorem PRL w RFN „zostanie Stefan Olszewski” — tak ukazało się w druku. Oczywiście chodziło o Tadeusza Olechowskiego. Zresztą podane w tej notatce dane biograficzne są tego najlepszym dowodem. Będę wdzięczny za zamieszczenie powyższego sprostowania.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Andrzej J. CHILECKI

# LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE  
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JEZYKA  
POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 370 — CZESŁAW MIŁOSZ

## ŚWIADECTWO POEZJI

(Sześć wykładów o dotkliwościach naszego wieku)

Str. 96.

Cena F. 40,00.

TOM 372 — WOJCIECH KARPIŃSKI

## AMERYKAŃSKIE CIEŃ

O Ameryce, „Solidarności”, sztuce i literaturze

Str. 192.

Cena F. 65,00.

### „ORZEŁ BIAŁY”

Miesięcznik Stowarzyszenia Polskich Kombatantów

Redaguje Komitet Redakcyjny — Czesław Czapliński, Wiesław Lasocki, Eugeniusz Romiszewski, Zygmunt Szadkowski; sekretarz Redakcji — Janusz Kowalewski.

Cena pojedynczego numeru £ 1.50.

Adres Redakcji:

240, King St., London W6 ORF, Great Britain

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 2<sup>e</sup> trimestre 1983.

Imprimé en France



# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
ARGENTYNA : « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
AUSTRALIA : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248 .....	\$ A. 4,50	\$ A. 26,00	\$ A. 48,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, wien I, Schönla- sterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-40-762 .....	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
BELGIA : Maria Rondomska, 132, Avenue Coghén, 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310. 0334324. 51 w Banque de Bruxelles .....	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2500,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adminis- tracji « Kultury » .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księ- garniach polskich w Paryżu .....	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wiellingeniaan 6, Vlissingen. Tel. (01 184) 14073, Postglo 1379176 .....	Fl h 15,00	Fl h 70 00	Fl h 130,00
IZRAEL : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311 .....	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa, St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hillard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W Toronto 145 Ont. Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec », 1636 Blood St., w., Toronto, Ont. M6P 1A7 .....	\$ Can. 6,00 DM 12,00 F. 33,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 175,00	\$ Can. 60,00 DM 110,00 F. 340,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss. ...	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postglokonto Nr 48 82 34-6.	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475-8886; Ada Dziewa- nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mil- waukee Avenue, Chicago, Il. 60617. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, 2233, El Camino Real Palo Alto, Cal. 94306. Tel. (415) Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492 .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken- way Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210 .....	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27. Tel. 75167-241 .....	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.340; półroczna — F.175.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 3,50.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 373 — MAREK NOWAKOWSKI

### **RAPORT O STANIE WOJENNYM**

II

Ciąg dalszy opowiadań o polskiej rzeczywistości.

Str. 96.

Cena F. 40,00.



TOM 374 — ADAM ZAGAJEWSKI

### **LIST — ODA DO WIELOŚCI**

POEZJE

Str. 64.

Cena F. 35,00.



TOM 375 — ZYGMUNT KORYBUTOWICZ

### **GRUDZIEŃ 1970**

Pierwsze źródłowe opracowanie wypadków  
w Stoczni Szczecińskiej.

Str. 160.

Cena F. 55,00.



TOM 376 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### **ZESZYT SZESCDZIESIĄTY CZWĄRTY**

Zawiera m.in. opracowania: A. Michnika — *Rozmowa w Cytadeli*; J. Łojka — *Idea niepodległości w okresie zaborów*; A. Margolis — *Pamięci getta warszawskiego*; H. Martinowej — *Łączność zagraniczna Komendy Głównej AK*; L. Marszałka — *Michał Grażyński*; A. Kobylińskiego — *Zw. Artystów Scen Polskich*; *Korupcja polskiej „nomenklatury”* (Z tajnych akt NIK-u PRL) oraz działy: RECENZJE i OKRUCHY HISTORII.

Str. 240.

Cena F. 60,00.

**Cena 33 F**